MOCNA ROZMOWA

Korwin-Mikke: Trzeba zacząć od wsadzenia PO-PiS za kratki

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 37/289 10–16 WRZEŚNIA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Co się dzieje w Kancelarii Prezydenta

RAPORT „DO RZECZY"
O CZYM DUDA POWINIEN POROZMAWIAĆ Z TRUMPEM

Bojańczyk na tropie rosyjskiej oszustki

Spisek, wszędzie SPISEK!

Ziemkiewicz o nowej obsesji „Gazety Wyborczej"

ADAM MECHNIK / WOJCIECH CZUCHNOWSKI

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 37

Nakład: 86 tys. egzemplarzy

epressa.pl cfc5ba4834

Born to fly

Blue Angels to amerykańska specjalna edycja zegarków CITIZEN charakteryzująca się niezwykłą precyzją oraz gracją nawiązującą do umiejętności elitarnych eskadr zespołu akrobacyjnego Marynarki Stanów Zjednoczonych.
Zasilany światłem, synchronizowany radiowo, wyposażony w suwak logarytmiczny i inne funkcje nie tylko dla pilotów.

PROMASTER Eco-Drive

citizen.pl

CITIZEN®
BETTER STARTS NOW

eprasa.pl cfc5ba4834

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polska lepsza od Turcji

To, że papier wytrzyma wszystko, co komu przyjdzie do głowy na nim napisać, jest prawdą starą jak świat. Cóż, głupota i niezborność ujawniają się w różnych ludzkich dyskusjach. A jednak obecna debata nad polską demokracją ma w sobie chyba coś nadzwyczajnego. Niekiedy czuję się tak, jakbym czytał teksty tylko pozornie napisane po polsku. Znam słowa, rozumiem zdania, a nie mogę pozbyć się wrażenia, że to, co przedstawia mi się jako wywód, jest najzwyczajniej w świecie jakimś nieuporządkowanym, nieuładzonym strumieniem świadomości. Autorzy tych elukubracji zachowują się tak, jakby brakowało im elementarnej wiedzy albo jakby posługiwali się nie do końca zrozumiałym kodem, szyfrem, swoistą nowomową. Może jest tak, że Polaków dzielą już nie tylko poglądy i opinie, lecz także wręcz języki?

Oto na łamach „Gazety Wyborczej" prof. Marcin Matczak, specjalista w zakresie teorii na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, a poza godzinami pracy guru walki z PiS i stały komentator w różnych programach publicystycznych, ogłosił, że Polska zmierza w stronę Turcji. Na wszelki wypadek cały cytat: „Niszczenie sądów i sędziów rzadko odbywa się współcześnie tak jak w Turcji. Tam prezydent wsadza sędziów do więzienia za rzekome popieranie przebywającego za granicą odpowiednika naszego Sorosa. Mimo że zgodnie z planami naszych przywódców chcemy być Turcją, w Polsce, którą od Turcji różni to, że jesteśmy członkiem UE, instytucje sądowe niszczy się w inny, znany z najnowszej historii sposób – przez ich wydrążanie". Warto było przytoczyć te słowa prof. Matczaka nie tyle ze względu na ich odkrywczość, ile żeby nikt nie mógł zarzucić manipulacji. Tak, on naprawdę to napisał, „GW" naprawdę to opublikowała i idę o zakład, że jakaś grupa czytelników przeczytała ten tekst i go zaaprobowała. A przecież to czysty obłęd!

Wynika przecież ze słów profesora, że „zgodnie z planami naszych przywódców [...] chcemy być Turcją" i wsadzać sędziów do więzienia. Do licha! Skąd prof. Matczak to wie? Gdzie to wyczytał? Jakie tajemne plany rządzących wpadły w jego ręce? Albo gdzie znalazł w Polsce przykłady tych zamykanych, prześladowanych, niszczonych przez władzę sędziów?

Profesor oczywiście nie musi niczego znajdować ani udowadniać. Nie musi, bo wie, że „powoływanie ludzi niekompetentnych i pozbawionych kręgosłupa to nie wypadek przy pracy, lecz istota polityki kadrowej władzy". Dlaczego jednak ta władza tak ma? Dlaczego chce Polskę zniszczyć? I jeszcze ważniejsze pytanie: Dlaczego Polacy wybierają władzę, która powołuje do urzędów, powiedzmy to bez eufemizmów, idiotów? Polacy najwyraźniej chcą żyć w zepsutym państwie, z niekompetentnymi urzędnikami durniami i w systemie pozorowanej sprawiedliwości. No naprawdę, to się nazywa logika.

Jednak profesor idzie jeszcze dalej. O tak, kiedy się rozpędził, to już nic go nie zatrzyma. „W ten sposób zawsze można powiedzieć, że trybunał, sąd czy rada działają, podczas gdy są już tylko wydmuszkami. Działanie takie [dokonywane przez PiS] jest bardziej skuteczne [od zamykania w więzieniach sędziów przez Erdoğana], bo zlikwidowanie sądu albo wsadzenie sędziów za kratki mogłoby spowodować w niektórych krajach poważne protesty. A tak jest spokojniej". Proszę państwa, prof. Matczak odkrył, że nie tyle Polska chce być jak Turcja, ile polscy politycy skuteczniej niszczą demokrację niż prezydent Recep Erdoğan! Tak, to Erdoğan musi się uczyć od Kaczyńskiego dyktatury, a nie Kaczyński od Erdoğana.

Doprawdy nie ma sensu oglądać kabaretów. Wystarczy poczytać teksty wybitnych obrońców obecnego systemu. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl cfc5ba4834

TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TOTALNY SPISEK
Opozycyjny świat kontra rzeczywistość

KRAJ

24 ROZMOWA Z ADAMEM BIELANEM
SCHETYNA PRÓBUJE SIĘ NA NAS WZOROWAĆ
W wielu sejmikach władzę przejmie PiS

28 PIOTR SEMKA
LEWICA W OGONIE

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ŁAPIŃSKI NA OUCIE

34 ŁUKASZ WARZECHA
PATRIOTYCZNY LIŚĆ?

36 JACEK PRZYBYLSKI
STRACH PRZED WOLNOŚCIĄ?

40 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
RODZINA TO PRZYSZŁOŚĆ

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ŻEROWANIE NA TRAGEDII

KULTURA

44 ROZMOWA Z NATALIĄ KUKULSKĄ
NATALIA ZNÓW ŚPIEWA DZIECIOM
Nowy album z kołysankami

48 PIOTR GOCIEK
PSY 3: POWRÓT DESPERO

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z JANUSZEM KORWIN-MIKKEM
KAŻDA ZMIANA ZACZYNA SIĘ OD UTOPII
Myślę o Polsce moich wnuków i prawnuków

60 JAN PARYS
NADCHODZI NOWY ŚWIAT

62 TOMASZ WRÓBLEWSKI
POLSKA A „PLAN MARSHALLA 2.0"

HISTORIA

66 GRZEGORZ KUCHARCZYK
ULEGŁOŚĆ W WIEDNIU
Polski pomnik na cenzurowanym

ŚWIAT

72 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM
ROSJA NIE UMIE NIE BYĆ IMPERIUM
Miejsce Polski w karcie dań Putina

76 PIOTR WŁOCZYK
KONTRREWOLUCJONIŚCI Z FACEBOOKA

78 JOANNA BOJAŃCZYK
TRIUMF I UPADEK

EKONOMIA

80 STEFAN SĘKOWSKI
O LUCE VAT BEZ CEPA
Co naprawdę będzie badać komisja śledcza?

84 RADOSŁAW WOJTAS
SZLABAN NA CHIŃSZCZYZNĘ

86 ŁUKASZ ZBORALSKI
SPOSÓB NA GOSPODARKĘ

SPORT

88 ŁUKASZ MAJCHRZYK
BIZNES POŻERA PIŁKĘ
Stadiony tylko dla bogatych?

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
LECZENIE ONKOLOGICZNE
Forma ma znaczenie

FELIETONY:
SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (64), ZYCHOWICZ, KOPER (69), KOWALCZUK (75), GABRYEL, RYBIŃSKI (83), KOMUDA (92), TYRMAND (96), JASTRZĘBOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl cfc5ba4834

Porzućmy złe nawyki

FOT. FOTOLIA

Eksperci ostrzegają, że wkrótce czeka nas prawdziwe nowotworowe tsunami. Te czarne prognozy nie muszą się jednak sprawdzić, jeśli tylko zmienimy styl życia na zdrowszy.

Według prognoz co czwarty Polak zachoruje na nowotwór, a co piąty z tego powodu umrze. Dzisiaj w Polsce diagnozuje się 165 tys. nowych zachorowań. Jednak od 40 do 50 proc. zachorowań na nowotwory można zapobiec, eliminując 5 największych czynników rakotwórczych.

1. PALENIE PAPIEROSÓW

To czynnik rakotwórczy numer 1. Powoduje nie tylko raka płuca, lecz także zwiększa ryzyko zachorowania na raka jelita grubego, piersi, nerek, pęcherza moczowego, żołądka, trzustki, gardła, jamy ustnej, przełyku. Produkty spalania tytoniu wywołują wiele mutacji w DNA, które prowadzą do zmian nowotworowych. Równie niebezpieczne jest palenie bierne, czyli wdychanie dymu tytoniowego, gdy przebywamy w pomieszczeniu, gdzie palą inni. Dobrą wiadomością jest to, że rzucenie palenia daje efekty: po pięciu latach ryzyko raka jest mniejsze o 39 proc.

2. NADWAGA I OTYŁOŚĆ

Otyłości zwykle towarzyszy tzw. przewlekły proces zapalny niskiego stopnia, który może prowadzić do uszkodzenia DNA. Otyłość powoduje też wyższe poziomy hormonów estrogenowych, co może sprzyjać powstawaniu i przyspieszaniu rozwoju niektórych nowotworów. Nadwaga i otyłość o 11 proc. zwiększają ryzyko raka jelita grubego, o 9 proc. – raka piersi. Aż o 57 proc. – raka przełyku, o 39 proc. – trzonu macicy, o 25 proc. – raka nerki, o 24 proc. – raka pęcherzyka żółciowego.

3. ZŁE ODŻYWIANIE

Największy grzech to spożywanie zbyt dużej ilości tłuszczów nasyconych i produktów wysoko przetworzonych. Międzynarodowa Agencja Badań nad Rakiem zakwalifikowała wędliny, do których dodaje się w procesie produkcyjnym azotyny, do grupy rakotwórczych. Pod wpływem wysokiej temperatury podczas smażenia i grillowania mięsa, zwłaszcza czerwonego, może powstawać wiele szkodliwych związków, takich jak WVA (wielonienasycone węglowodory aromatyczne), w tym rakotwórczy benzo(a)piren.

4. ALKOHOL

Co prawda kieliszek czerwonego wina może chronić przed chorobami serca, jednak każda ilość alkoholu powoduje wzrost ryzyka nowotworów, zwłaszcza u osób, które mają też inny czynnik ryzyka – np. zakażenie HCV i HBV. Aldehyd octowy – produkt metabolizmu alkoholu – może uszkadzać DNA komórek i zaburzać mechanizmy jego naprawy. Alkohol jest zwłaszcza niebezpieczny dla osób, które palą papierosy.

5. PROMIENIOWANIE UV

Udowodniono już związek pomiędzy promieniowaniem UV (zwłaszcza UVB) i nowotworami skóry także z jednym z najgroźniejszych: czerniakiem. Dlatego zaleca się, by latem unikać przebywania na słońcu w godzinach między 11 a 15, stosować ochronę przeciwsłoneczną (ubrania, kremy z odpowiednio wysokim do karnacji naszej skóry filtrem UV).

Korzystną zmianą w Polsce jest wprowadzenie zakazu korzystania przez dzieci i młodzież poniżej 18. roku życia z solariów. Od lat apelowali o to onkolodzy: niedojrzała skóra jest najbardziej narażona na uszkodzenie.

Katarzyna Pinkosz,
konsultacja: dr n. med. Janusz Meder, prezes Polskiej Unii Onkologii

PLANUJĘ DŁUGIE ŻYCIE

„Planuję długie życie" to kampania informacyjno-promocyjna i indywidualny manifest. Plan na długie życie jest prosty: ruch codziennie. Warzywa i owoce – codziennie. Badanie przeciw rakowi – regularnie. Więcej informacji: www.planujedlugiezycie.pl

PRACO DAWCA ZDROWIA

Zapraszamy do ubiegania się o certyfikat przedsiębiorstwa, instytucje, urzędy, które wykażą ponadprzeciętną troskę o zdrowie swoich pracowników i skuteczność we wdrażaniu programów promocji zdrowia wewnątrz firmy. Więcej informacji: www.gov.pl/zdrowie/pracodawcazdrowia.

Ministerstwo Zdrowia

Kampania realizowana w ramach Narodowego Programu Zwalczania Chorób Nowotworowych, zadanie: Promocja zdrowia i profilaktyka nowotworów, finansowana ze środków Ministra Zdrowia.

eprasa.pl cfc5ba4834

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu w listach stanowisko „SW" w związku ze słowami Kornela Morawieckiego, które padły m.in. w wywiadzie w „DRz", a także głos poznanianki zbulwersowanej pewną wystawą. Na państwa e-maile czekamy pod adresem: listy@dorzeczy.pl.

Kontrowersyjna wystawa

Droga Redakcjo, piszę z Poznania, jestem bardzo zaniepokojona tym, co pokazuje się na billboardach w mieście, czyli o plakatach promujących wystawę [...] prac Amerykanina Davida LaChapelle'a, który promuje nie tylko rozwiązły tryb życia, lecz także obraża uczucia religijne. Znalazłam w Internecie wiele informacji zarówno o artyście, jak i jego licznych wystawach. Wiem, że wiele prac/wystaw zostało wycofanych z krajów religijnych w Ameryce Południowej za obrazę uczuć religijnych, a we włoskim mieście Palermo mieszkańcy oburzeni jego pracami zdjęli plakaty promujące jego wystawę.

Fotograf niszczy naszą religijność poprzez obrażanie samego Jezusa Chrystusa, ubierając celebrytów w korony cierniowe czy pokazując Jezusa podczas narkotycznych imprez. To, w jaki sposób obrażane są uczucia religijne osób wierzących, jest nie do opisania.

Mam nadzieję, że uda się Państwu upublicznić prośbę co najmniej o wycofanie prac z wystawy, które obrażają religijność naszego kraju, tak jak się to wydarzyło w wielu innych krajach, gdzie były wystawy Davida LaChapelle'a. [...]

Ważne jest to, że wystawa jest w miejscu, w którym przebywa bardzo dużo młodzieży, mowa tutaj o galerii w Starym Browarze.

Zaniepokojona mieszkanka Poznania
Malwina Węgrowska

Stanowisko Solidarności Walczącej

Jako inicjator powołania Solidarności Walczącej oraz pomysłodawca jej nazwy zwracam się do wszystkich członków „SW" w obronie dobrego imienia naszej organizacji, za którą wielu z nas zapłaciło więzieniami, utratą zdrowia oraz koniecznością wyjazdu z Ojczyzny. Głoszone przez Kornela Morawieckiego rusofilskie tezy są uwłaczające naszej godności i złożonej przez nas przysiędze. Jego poglądy na temat Europy od Pacyfiku do Atlantyku z wiodącą rolą Rosji znamy nie od dziś. Publicznie wypowiedział je po ataku Rosji na Gruzję. Szczególnie nasilił swoje rusofilskie wypowiedzi po katastrofie smoleńskiej, gdy na jednym ze spotkań w kilkunastoosobowym gronie stwierdził, że za katastrofę odpowiedzialni są polscy piloci wraz z pijanym generałem. Kuriozum było jego sprzeciwianie się ekshumacjom i propozycja jednego grobu dla wszystkich ofiar. Kornel Morawiecki twierdzi również, że powinniśmy być wdzięczni Rosjanom za oswobodzenie nas i nie należy niszczyć ich pomników. To pisał również w swojej „Gazecie Obywatelskiej", mówił także w TV Republika w wywiadzie z Dorotą Kanią. Czarę goryczy dopełnił wywiadem udzielonym w „Do Rzeczy" 31/2018 z 30 lipca 2018 r.

Według Piotra Hlebowicza, który śledzi rosyjskie media: „Z lubością i estymą całe te Kornelowe gadanie od razu cytują i komentują rosyjskie media, zwłaszcza RIA NOWOSTI i SPUTNIK. Śledzę w Internecie te putinowskie propagandowe trąby".

Swoimi „teoriami" szkodzi swojemu synowi, rządowi i Polsce. Nie można tego przemilczeć dla dobra naszej wspólnej przeszłości, lecz powinniśmy gremialnie potępić jego teorie. Solidarność Walcząca była dla nas marzeniem o wolności i niepodległości Ojczyzny. Teraz, kiedy to osiągnęliśmy, on to niszczy.

Apelem naszym powinniśmy zainteresować środki masowego przekazu.

Tadeusz Świerczewski

Popieram:

1. Jadwiga Chmielowska – przewodnicząca Ogólnopolskiego Komitetu Wyk. SW
2. Ewa Kubasiewicz – członek Komitetu Egzekucyjnego i szef przedstawicielstw SW za granicą
3. Jerzy Jankowski – członek SW, przedstawiciel na kraje skandynawskie
4. Piotr Hlebowicz, przewodniczący Autonomicznego Wydziału Wschodniego SW
5. Krzysztof Tenerowicz – członek SW
6. Witold Bator – członek SW Kraków

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Paweł Wiśniewski/East News, Adam Chełstowski/FORUM**
oprac. graf. JAN

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 86 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl cfc5ba4834

Odsiedzi wyrok za aferę FOZZ

Skazany prawomocnie w 2005 r. Dariusz Przywieczerski, jedna z najważniejszych osób w tzw. aferze FOZZ, został zatrzymany w USA i trafi do polskiego więzienia.

Przywieczerski został skazany na 3,5 roku za wyprowadzenie z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego ok. 1,5 mln dol. Rok później karę zmniejszono do 2,5 roku. Niemal 13 lat temu uciekł z Polski. Przebywał głównie w Stanach Zjednoczonych, gdzie zajmował się m.in. biznesem. Został zatrzymany na Florydzie.

Afera FOZZ nazywana jest matką wszystkich afer III RP. W 1989 r. Sejm PRL powołał Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego po to, by potajemnie, m.in. za pośrednictwem podstawionych spółek, skupował na rynku wtórnym zagraniczne długi komunistycznej Polski. Cała operacja była niezgodna z prawem międzynarodowym. Od początku istnienia instytucji pojawiały się sygnały

FOT. ADAM TUCHLIŃSKI/REPORTER

o nieprawidłowościach. Wyszły one na jaw po kontroli NIK w 1991 r. Pieniądze, które miały trafiać na wykup długów, były przywłaszczane. Według prokuratury straty z lat 1989–1990 sięgały 350 mln zł.

Proces oskarżonych rozpoczął się w 2000 r. W 2005 r. zapadły wyroki. Najwyższy dla byłego dyrektora FOZZ Grzegorza Żemka – dziewięć lat więzienia i 720 tys. zł grzywny. Dariusz Przywieczerski uciekł z Polski krótko po rozpoczęciu procesu i został skazany na 3,5 roku więzienia. Rok później sąd apelacyjny obniżył wyroki. Żemkowi na osiem lat więzienia i zaledwie 5 tys. zł grzywny, a Przywieczerskiemu, mimo że uciekł, zmniejszył karę do odsiadki o rok. Były dyrektor FOZZ przyznał, że był agentem służb PRL, które stały za aferą.

Miejsce przebywania Przywieczerskiego udało się ustalić polskiemu wymiarowi sprawiedliwości już w 2008 r., ale Stany Zjednoczone nie wydały zgody na ekstradycję. Sprawa ciągnęła się latami. Według niepotwierdzonych informacji Polak podjął współpracę z CIA, co dawało mu parasol ochronny. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", według nieoficjalnych informacji do Polski miał trafić w sobotę 8 września. ©℗ ***(raw)***

REKLAMA

eprasa.pl cfc5ba4834

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ameryka spolonizowana

Pracuję dla prezydenta [Donalda Trumpa], ale ja i myślący podobnie do mnie koledzy [z administracji] poprzysięgliśmy sobie, że pokrzyżujemy część jego planów i staniemy na drodze jego najgorszym skłonnościom" – pisze w „New York Timesie" osoba, która – jak przekonuje dziennik – zajmuje wysoką pozycję w administracji prezydenta. Gazeta nie ujawnia personaliów autora, ale zaklina się, że je zna. Cała postępowa Ameryka zachwyca się odwagą i pryncypialnością anonima. A w ślad za nią w zachwyt wpadają polscy obrońcy demokracji. „Jeszcze czegoś takiego nie czytaliśmy" – pisze jeden z nich, sugerując, że rewelacje „NYT". Naprawdę nie czytaliśmy?

Przypomniał mi się tekst z „Gazety Wyborczej" z 26 października 2007 r., gdy wiadomo już było, że PiS nie utrzyma władzy po wyborach i nowy rząd stworzy PO. „Wyborcza" pisała wówczas: „Nowy szef dyplomacji na dzień dobry dostanie plan »defotygizacji« MSZ. Przygotowali go ludzie tzw. korporacji Geremka i Bartoszewskiego, związani od 1989 r. z dyplomacją. Licząca kilkanaście osób grupa zawiązała się kilka miesięcy temu, kiedy nie było jeszcze jasne, że PiS przegra wybory. Dyplomaci, urzędnicy, byli dyrektorzy w MSZ spotykali się regularnie między sobą i z przedstawicielami opozycyjnej wówczas Platformy. Chociaż nie reprezentowali tej samej opcji politycznej, różnili się co do sposobu i głębokości zmian w MSZ, łączyło ich jedno – złość na to, co partia Kaczyńskich zrobiła z dyplomacją, i chęć jak najszybszego powrotu do normalności. [...] Dyplomaci, którzy przygotowali plan powyborczych zmian w resorcie spraw zagranicznych, uważają, że stanowiska kierownicze (czyli dyrektorów i wicedyrektorów) powinno stracić 20–25 osób z liczącej ok. 80 kierowniczej kadry".

Ktoś zapyta: Co łączy obie sprawy? Łączy je przekonanie pewnej grupy politycznego establishmentu, że posiada – nadane nie wiadomo przez kogo – prawo do bycia ośrodkiem kierowniczym – w polskim MSZ, a teraz w Białym Domu. I werdykt wyborczy wynoszący do władzy PiS czy Donalda Trumpa nie ma żadnego znaczenia.

To oni są państwem i oni będą o nie – według swojej oceny – dbać.

Gdyby jeszcze anonim z „NYT" ujawnił jakieś konkretne działania prezydenta USA przeciw demokracji. Ale nie, on tylko ogólnikowo opowiada, że on i koledzy próbują stopować „szkodliwe działania dla zdrowia naszej republiki".

Aby rozwiać ewentualne rozterki wynikające z tak jawnie antydemokratycznego sposobu myślenia, członkowie takich grup zaznaczają, że zmuszają ich do działania nadzwyczajne okoliczności – niszczenie dyplomacji przez Fotygę czy złe skłonności Trumpa. A oni nie chcą, ale muszą.

Wtedy, w 2007 r., „Wyborcza" opisywała zjawisko konspiracji w MSZ jako coś najzwyczajniejszego pod słońcem. Teraz w USA „New York Times" także pisze o ruchu oporu w Białym Domu jako czymś pozytywnym.

W obu wypadkach akceptuje się zachowania nadzwyczajne, aby ugodzić w nielubianą władzę. A potem można liczyć na reakcje typu: „Skoro ktoś używa tak nadzwyczajnych środków, to tylko pokazuje grozę sytuacji".

Działacze KOD mogą być dumni. Ameryka się spolonizowała. ©℗

FOT. RICARDO MORAES/REUTERS/FORUM

SPALONE MUZEUM W RIO DE JANEIRO

Pożar, który w ubiegłym tygodniu wybuchł w zabytkowym budynku Muzeum Narodowego w Rio de Janeiro, strawił 90 proc. przechowywanych tam cennych eksponatów. Ogień pochłonął m.in. zbiór egipskich mumii, jedną z największych kolekcji skamielin dinozaurów, kolekcję sztuki greckiej i rzymskiej cesarzowej Teresy Krystyny oraz czaszkę uznawaną za część jednego z najstarszych odnalezionych ludzkich szkieletów. Ocalała jedynie kolekcja meteorytów, które są odporne na ogień. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl cfc5ba4834

eprasa.pl cfc5ba4834

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Obywatele ze Scrutona

Trudno tej akcji Obywateli RP nie uznać za kuriozalną – ale wiele ona mówi o nich samych. Otóż lubelskie ogniwo tej organizacji ogłosiło swego rodzaju odezwę stwierdzającą, że żołnierze Polski podziemnej dokonywali podczas II wojny światowej „zbrodni ludobójstwa" na Ukraińcach i że były to „zbrodnie przeciwko ludzkości", które „powinny być przypominane każdego dnia", albowiem dokonywali ich „członkowie narodu polskiego". Całość odezwy ma charakter „samodonosu", który został złożony w lubelskiej prokuraturze i jednocześnie upubliczniony jako akt demonstracyjnego łamania ustawy o IPN. Oznajmiając o tym urbi et orbi, Obywatele nie kryją nadziei, że za powyższe stwierdzenia spotkają ich jakieś represje.

Niszczenie dobrego samopoczucia Polaków uważają za rodzaj misji

Mamy tu bardzo ciekawy i charakterystyczny splot psychicznych i emocjonalnych problemów, które napędzają tę organizację. Na wierzchu wspólna wielu wcieleniom totalnej opozycji potrzeba męczeństwa i bycia prześladowanym przez „państwo PiS", ale pod nią coś jeszcze bardziej charakterystycznego: chęć małpiego robienia na złość nie tyle partii rządzącej, ile temu, z czym stereotypowo się ona zwolennikom opozycji totalnej kojarzy. A jest PiS dla nich symbolem odwoływania się do polskiego patriotyzmu, tradycyjnych wartości. To właśnie, w głębokiej warstwie, jest obiektem irytacji i nienawiści „obywateli".

Właśnie dlatego członkowie tej organizacji pojawili się na obchodach w Jedwabnem z bannerem oskarżającym Polaków, dlatego też regularnie próbują zakłócać Marsz Niepodległości i inne patriotyczne uroczystości. Niszczenie dobrego samopoczucia Polaków, ich dumy z własnej historii, uważają za rodzaj misji – nic nowego, zjawisko to opisał już dawno temu Roger Scruton, nazywając je z grecka „oikofobią".

Takie zdarzenia pokazują, jaki jest istotny sens nazwy, którą przyjęła radykalna fronda z KOD. Wbrew pozorom nie chodzi o podkreślenie, że jej członkowie są, jako obywatele, częścią państwa i poczuwają się do odpowiedzialności za nie. Chodzi o podkreślenie, że nic ich z mieszkańcami „tego kraju" nie łączy, poza papierkiem. Polakami się nie czują i zapewne by się nawet za nazywanie w taki sposób obrazili. Są tylko mieszkającymi tu obywatelami narodowości europejskiej. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Biedroniowy balonik

Tradycją tzw. opozycji totalnej i bliskich jej mediów stało się, że robią wszystko na opak. Nic więc dziwnego, że idąc na wojnę z Biedroniem, który z gwiazdy lewicowo-liberalnych mediów stał się „wrogiem numer trzy" (pierwsze pozycje dożywotnio zarezerwowane są dla Kaczyńskiego i o. Rydzyka), wojują z nim tak nieudolnie, że wzbudzają zainteresowanie Biedroniem.

Ot, Monika Olejnik, która to właśnie przyatakowała go, bo nie podjął żadnych działań w sprawie pedofilii w Słupsku. Biedroń odpowiedział dziennikarce w swoim infantylnym stylu, że w TVN też molestowano kobiety. A media społecznościowe zareagowały wzrostem pozytywnych dla Biedronia komentarzy. Niby taki niepokorny się zrobił.

Prosty mechanizm. Ludzie słusznie minionej władzy PO-PSL i medialne gwiazdeczki z nią związane w młodym pokoleniu nadal uważani są za tak obciachowych, że każdy ich atak na polityka czy społecznika natychmiast owocuje wybuchem – nieważne słusznej czy nie – sympatii dla atakowanego. Nie chodzi tylko o Biedronia – im bardziej zwalczają narodowców, tym więcej osób przychodzi na Marsz Niepodległości.

Wystarczy, by prezydent Słupska rzeczywiście zaczął realizować swój projekt polityczny, by ten umarł na etapie przedprodukcyjnym. Już zabrał się do jego realizacji od d...y strony, czyli wywiadów w mediach, totalnie zaniedbując struktury czy media społecznościowe. Nie ma twojego projektu politycznego w Internecie, nie będzie go też w polityce. Polityczna nieudolność Biedronia nie dziwi – jego kadencje, zarówno w parlamencie, jak i w Słupsku, pokazały, że politykiem wiedzącym, co to praca organiczna, nie jest.

Biedroniowy balonik został nadmuchany, wyłącznie przez media. I jak to z balonikami bywa, skończy się dmuchanie, zostanie tylko wspomnienie. ©℗

eprasa.pl cfc5ba4834

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zmierzch etatowego homoseksualisty

Półtora roku temu Rafał A. Ziemkiewicz poprosił w „Saloniku politycznym" telewizji Republika, w którym brałem udział, aby porozmawiać o poważnych pomysłach opozycji. Wyjaśnił, że takim poważnym pomysłem jest, aby kandydatem na prezydenta RP został Robert Biedroń. Zareagowałem całkowicie nieplanowanym atakiem duszącego śmiechu. Popłakałem się. Nie byłem w stanie się powstrzymać. Nagranie wciąż można znaleźć w Internecie.

Ktoś nowy, czyli urzędujący od czterech lat prezydent Słupska

Wówczas, jak widać, Robert Biedroń budził przynajmniej emocje. Zgoda – może niekoniecznie takie, o jakie mogłoby mu chodzić, ale zawsze. Dzisiaj reakcją na jego nową inicjatywę polityczną in spe może być tylko wzruszenie ramion.

Chociaż nie, pośmiać się jednak wciąż trochę można. Oto co Biedroń mówi o swoim wybitnym politycznym planie: „Dziś potrzebna jest formacja, która otwarcie przeciwstawi się PiS i powie, że stoimy dziś przed fundamentalnym wyborem: albo Białoruś, albo Francja. Albo Wschód, albo Zachód. PO nie ma dziś tej energii i autentyczności. Potrzebny jest ktoś nowy". Ktoś nowy, czyli urzędujący od czterech lat prezydent Słupska, zgrany gwiazdor lewicowych mediów, do tego stopnia nieperspektywiczny, że zwalczać go zaczął nawet „Newsweek", a w TVN24 postawiono mu niewygodne pytanie o rzekome skandale seksualne w podległym mu ośrodku kultury w Słupsku. Tak nowy, że opisując swój polityczny plan, klepie formułki powtarzane do znudzenia przez totalną opozycję od trzech lat. Biedroń na spisanie w szczegółach tej porażającej świeżością i oryginalnością propozycji politycznej potrzebuje pół roku – bo za tyle ma przedstawić program nowego ugrupowania.

Dobrze, dość żartów, bo leżącego się nie kopie. Zwłaszcza gdy można przy tym zostać oskarżonym o homofobię.

Muszę się natomiast przyznać do błędu, może nierażącego, ale jednak. Gdy Biedroń wygrał wybory w Słupsku, postawiłem tezę, że ma szansę pokazać, iż nawet będąc etatowym homoseksualistą polskiej polityki, nie trzeba robić kariery na tej jednej sprawie. Że można być skutecznym prezydentem miasta kompletnie w oderwaniu od swojej seksualnej orientacji. Biedroń dowiódł, że się myliłem. Prezydentem był tak słabym, że nie próbuje nawet startować po raz drugi, a cała jego obecność w polityce wciąż opiera się na tym, że woli panów niż panie. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Orka na ugorze

Ten odcinek „Między tweetami" ogłaszam „tygodniem zaorań". Przed państwem same perełki.

„Jestem zdumiona, znałam Pana tatę i resztę rodziny. Źle Pan wybrał partię, Pana tata stałby po stronie obrony Konstytucji i demokracji. Przykro mi, jest Pan młody i żal mieć skazę w życiorysie" – wyznała nieskazitelna Ligia Krajewska.

„Tata opuścił PO w 2003 roku, popierał Lecha Kaczyńskiego, startował z poparciem PiS do Senatu i do Sejmu z listy PiS. Powiem Pani szczerze, tata bardzo się zawiódł na środowisku, które Pani reprezentuje. Swoją drogą, jak idzie Pani sprawa karna o przyjmowanie łapówek?" – odpowiedział wywołany do tablicy Kacper Płażyński. I na tym dialog niestety się urwał.

„Zapowiedź ucieczki do Europarlamentu najbardziej skompromitowanych działaczy (marszałek Kuchciński, wicepremier Szydło, minister Zalewska) pokazuje brak wiary na szczytach PiS w dalsze rządy. Nigdy osoby na tak wysokich stanowiskach nie odchodziły z krajowej polityki do PE" – pochwalił się z kolei analizą sytuacji wewnątrzpisowskiej Tomasz Siemoniak.

Niestety dla byłego ministra, z wyjaśnieniami pospieszyła pamiętliwa Żelazna Logika. „Nie no nigdy. Raz tylko najwyższy rangą premier Tusk wyjechał i druga osoba w rządzie po nim, pani »superminister« Bieńkowska. Oprócz tego eurokomisarz Huebner, były minister cyfryzacji Boni, była minister nauki Kudrycka, były premier Buzek. A tak to nigdy :)".

Na koniec o tym, co boskie, co cesarskie, a co ignoranckie. „Prezydent na kolanach przed klerem przyjmujący komunię. Smutny widok, uwłaczający nie tylko głowie państwa, ale podważający zapis w Konstytucji RP, gdzie mowa o równości Kościołów i związków wyznaniowych. Ekshibicjonizm religijny w czystej formie" – oburzył się nowoczesny Krzysztof Mieszkowski.

„Co za bzdury, Pan jest kompletnym ignorantem. Podczas Komunii św. nie klęka się przed księdzem, tylko przed Chrystusem pod postacią chleba. Tak wierzą katolicy, tak wierzy każdy przyjmujący Komunię. Jeśli Pan się nie zna, to niech lepiej milczy" – skomentował Stefan Sękowski.
I – o dziwo – Krzysztof Mieszkowski zamilkł. Mały ewangelizacyjny sukces, a cieszy. ©℗

eprasa.pl cfc5ba4834

Pokłosie zabójstwa Jarosława Ziętary?

Krzysztofowi M. Kaźmierczakowi kilkakrotnie grożono
FOT. ADRIAN WYKROTA/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Poznański dziennikarz Krzysztof M. Kaźmierczak przez wiele lat badał sprawę porwania i zamordowania Jarosława Ziętary. Mocno przyczynił się do wznowienia śledztwa w tej sprawie. Od pewnego czasu dostawał pogróżki, a kilka dni temu nieznani sprawcy próbowali podpalić jego mieszkanie.

– Nie doszło do podłożenia ognia, ale wszystko było przygotowane tak, że gdyby rzeczywiście ktoś przyłożył zapałkę, mieszkanie stanęłoby w ogniu – mówi nam Krzysztof M. Kaźmierczak, dziennikarz śledczy, autor kilku książek, m.in. „Sprawa Ziętary" i „Tajne spec. znaczenia".

– Nie wiem, czy ktoś ich spłoszył, czy też miał to być sygnał dla mnie, że następnym razem mogą mnie dopaść – dodaje Kaźmierczak, który o zdarzeniu zawiadomił Prokuraturę Krajową i policję. Sprawą zajęli się policyjni eksperci.

Do zdarzenia doszło w nocy z 1 na 2 września, dosłownie kilka godzin po zorganizowanych przez Krzysztofa Kaźmierczaka uroczystościach upamiętniających porwanie i śmierć innego poznańskiego dziennikarza Jarosława Ziętary – 1 września 1992 r.

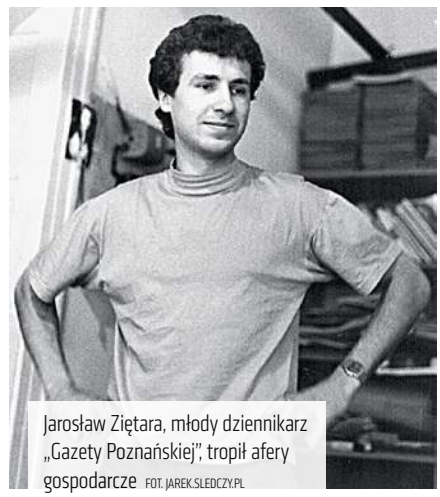
Jarosław Ziętara, młody dziennikarz „Gazety Poznańskiej", tropił afery gospodarcze FOT. JAREK.SLEDCZY.PL

Ziętara, młody dziennikarz „Gazety Poznańskiej", tropił afery gospodarcze rozgrywające się na styku polityki i biznesu. 1 września 1992 r. wyszedł z domu do redakcji, ale nigdy tam nie dotarł. Śledztwo w sprawie jego zaginięcia przez wiele lat prowadzone było nieudolnie i kilka razy umarzane. Prokuratorzy przyjmowali – opisywaliśmy to także w „Do Rzeczy" – hipotezy sprzeczne z materiałami dowodowymi, np. o wyjeździe Ziętary za granicę lub zmianie tożsamości. Wiele dowodów wskazujących na prawdziwe tło zbrodni było przez śledczych lekceważone. Dzisiaj już wiadomo, że Jarosław Ziętara został porwany i zamordowany.

To właśnie Krzysztof Kaźmierczak przez wiele lat badał całą sprawę, wskazywał na błędy śledczych, docierał do świadków i ujawniał informacje, którym oficjalnie organa państwa wcześniej zaprzeczały, m.in. o zainteresowaniu Ziętarą ze strony Urzędu Ochrony Państwa. Miał też swój udział w powstaniu wspólnego apelu redaktorów naczelnych największych gazet – podpisał go także Paweł Lisicki – o wznowienie śledztwa. To rzeczywiście zostało ponownie rozpoczęte w 2012 r. w Krakowie.

W 2014 r., pod zarzutem podżegania do zabójstwa Ziętary, zatrzymano byłego senatora Aleksandra Gawronika. Kaźmierczak w swoich publikacjach ujawnił także sieć powiązań łączącą Gawronika z porwaniem dziennikarza i zamieszanymi w jego śmierć: Mirosławem R. ps. Ryba i Dariuszem L. ps. Lala, byłymi policyjnymi antyterrorystami, a później ochroniarzami w Elektromisie – spółce należącej do Mariusza Świtalskiego. Prokuratura zarzuca im porwanie i pomoc w zabójstwie Ziętary.

Kaźmierczakowi kilkukrotnie grożono. Wszyscy oskarżeni o podżeganie do śmierci Jarosława Ziętary i pomoc w tej zbrodni są na wolności, odpowiadają przed sądem z tzw. wolnej stopy. ©℗

Wojciech Wybranowski

SOLIDARYZUJEMY SIĘ Z REDAKTOREM KAŹMIERCZAKIEM

Oświadczenie Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Dziennikarze skupieni w Oddziale Warszawskim Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich z wielkim niepokojem przyjmują informację o próbie podpalenia mieszkania redaktora Krzysztofa M. Kaźmierczaka.

Czyn, który miał miejsce w nocy z 1 na 2 września, w najlepszym przypadku należy traktować jako próbę zastraszenia dziennikarza śledczego w związku z jego pracą. Krzysztof M. Kaźmierczak konsekwentnie stara się wyjaśnić okoliczności śmierci innego poznańskiego dziennikarza śledczego – Jarosława Ziętary. Jesteśmy pełni podziwu dla pracy oraz działalności społecznej red. Kaźmierczaka i solidaryzujemy się z nim w tym trudnym momencie.

Mamy nadzieję, że organy ścigania szybko doprowadzą do wyjaśnienia inkryminowanego wydarzenia. Jesteśmy przekonani, że tylko zdecydowane działanie kompetentnych władz oraz jednoznaczne, publiczne potępienie takich czynów jest standardem demokratycznego państwa.

W imieniu stowarzyszonych dziennikarzy

Zbigniew Rytel, prezes OW SDP

eprasa.pl cfc5ba4834

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

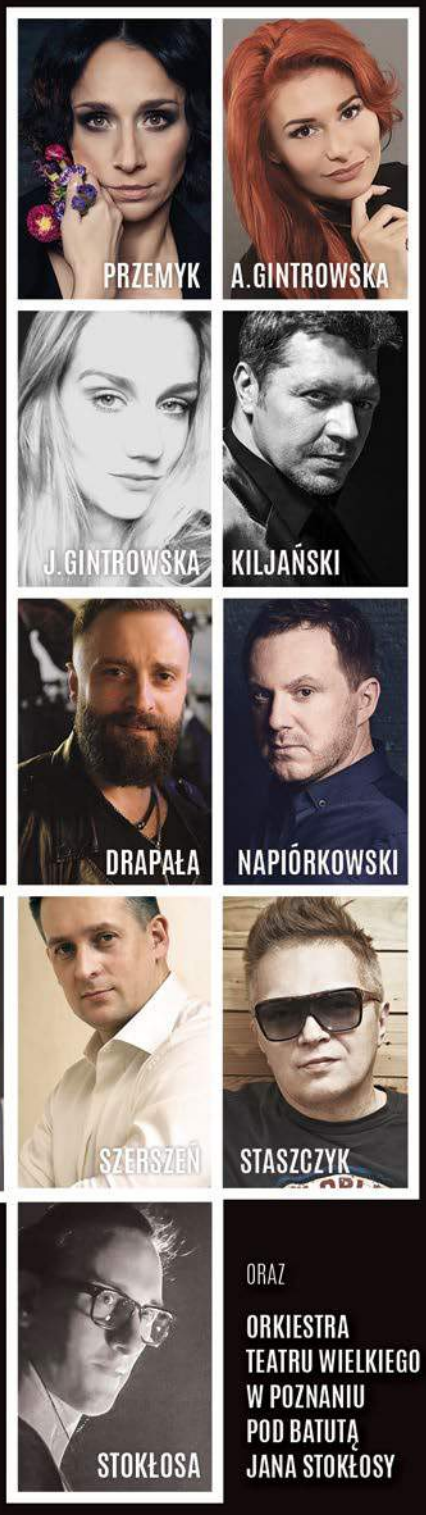

ORAZ

ORKIESTRA TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

JUŻ W ŚRODĘ 12 WRZEŚNIA POZNAŃ GODZ. 20.00

TEATR WIELKI IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

OSTATNIE BILETY NA: BILETY24.PL

ORAZ **W KASACH TEATRU PRZY UL. FREDRY 9**

KASY/REZERWACJA TEL. 61 65 90 231

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

MECENAS KONCERTU Enea

PARTNERZY LOTTO, PKO Bank Polski

WSPÓŁORGANIZATOR PMPG POLSKIE MEDIA SA

PATRONI MEDIALNI wprost, Do Rzeczy, TVP, GŁOS WIELKOPOLSKI

eprasa.pl cfc5ba4834

FOT. PAWEŁ GROMADA

OSOBA PUBLICZNA NADAJE

Julia Wieniawa to celebrytka młodszego pokolenia, która zasłynęła rolą w jednym z popularnych seriali. Teraz robi karierę, biorąc udział w reklamach i zostając twarzą popularnych marek. Powiodło jej się do tego stopnia, że właśnie przeprowadziła się do nowego apartamentu, wartego – jak donoszą kolorowe media – milion złotych. Julia specjalnie nie kryje, że bardzo odpowiada jej kariera celebrytki i dobrze się w niej odnalazła. Mówi, że nie rozumie gwiazd, które narzekają na brak prywatności. – Widziały gały, co brały. Trzeba się do tego dostosować. Jak się żyje w symbiozie ze wszystkimi ludźmi show-biznesu, w tym paparazzi i fotoreporterami, to nikt nie jest zbytnio nachalny – mówi w „Super Expressie". – Jak nie mam ochoty na paparazzi, to nie idę do Flaminga, gdzie wszystkie gwiazdy chodzą, gdy chcą być niby przypadkiem sfotografowane. Przecież wiadomo, że tam są paparuchy – zdradza. – Nie będę udawać, że nie jestem osobą publiczną – oznajmia. Co byśmy dali, żeby jednak trochę poudawała! Chociaż przez tydzień!

SZCZEROŚĆ NIE POPŁACA

Piosenkarka Ewa Farna nie należy do najszczuplejszych gwiazd polskiego show-biznesu i specjalnie się z tym nie kryje. Wręcz przeciwnie, mówi wprost o tym, że akceptuje siebie taką, jaka jest. Dzięki temu staje się oparciem dla wielu młodych dziewczyn. – Czasami podchodzą do mnie dziewczyny na ulicy i mówią: „Dzięki, Ewka, że cię mamy!". To jest bardzo miłe – opowiada „Faktowi" Farna. – Super są sytuacje, gdy podchodzą do mnie np. w warzywniaku i dziękują mi za to, że opowiadam o swojej wadze. Przekonuję dziewczyny, żeby zaakceptowały siebie – dodaje.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

Przy okazji zapewnia też, że choć prowadzi zdrowy styl życia, nie objada się ani na nic nie choruje, to nie chudnie. – Oczywiście, że trzeba się ruszać i prowadzić zdrowy styl życia. Ja też się ruszam. U jednych po prostu efekty ćwiczeń są bardziej widoczne, a u innych mniej – przyznaje. Taka szczerość Ewy może nie popłacać. Nie, nie samej Ewie! Biznesom tych wszystkich Chodakowskich i Lewandowskich.

MIŁOŚĆ Z LITOŚCI

Żona Cezarego Pazury Edyta postanowiła opowiedzieć o początkach swojego związku ze znanym aktorem. Para poznała się w pociągu 10 lat temu, a Edyta twierdzi, że nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Szybko jednak zdecydowała się, że chce z Czarkiem założyć rodzinę i mieć z nim dzieci. – Miałam 20 lat. Wydaje mi się, że mało jest kobiet w tym wieku, które świadomie decydują się na macierzyństwo. Ja to zrobiłam absolutnie w 100 proc. świadomie, wiedziałam, na co się piszę – wyznała. Czym Czarek ją ujął i przekonał? – On jest bardzo opiekuńczy, potrafi ładnie opowiadać, uzewnętrzniać siebie, roztoczył przede mną wizję naszej przyszłości i tym mnie kupił. Pamiętam, że powiedział mi, że chciałby stworzyć szczęśliwą rodzinę, której nigdy nie udało mu się zbudować, dom pełen dzieci. Jego ciągnęło do takiego książkowego, przykładnego modelu. I mi się go żal zrobiło: był taki szczery w tym, co mówił, tak pragnął normalności. Pomyślałam sobie: No dobra! Raz kozie śmierć! – tłumaczy. Zdecydowała się na małżeństwo, bo żal jej było Czarka. Cóż, nie jest to najbardziej romantyczne wyznanie na świecie, ale przynajmniej plus za szczerość!

ŻYCIE LEPSZE NIŻ SERIAL

Artur Ł., wrocławski adwokat, który zasłynął rolą w popularnym serialu paradokumentalnym TVN „Sędzia Anna Maria Wesołowska", gdzie wcielał się w rolę bezkompromisowego prokuratora, dwa lata temu został prawomocnie skazany za oszustwa i wyłudzenia pieniędzy. Nie trafił jednak za kratki, bo wyrok zawieszono. Teraz nad znanym mecenasem znów zawisły czarne chmury, bo jego kurator wniósł o odwieszenie kary! Powodem było to, że – jak informuje „Fakt" (za „Gazetą Wrocławską") – Artur Ł. unikał z kuratorem kontaktu i nie oddał pieniędzy poszkodowanym, do czego zobowiązał go sąd. Już nie możemy się doczekać finału tej historii. To tysiąc razy lepsze niż wszystkie odcinki „Sędzi Anny Marii Wesołowskiej" razem wzięte! Może TVN powinien przemyśleć wznowienie serialu z nowym wątkiem?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Partia Razem zgłosiła rewolucyjny (a jakże!) pomysł, iżby szkoły były finansowane z podatków, a nie z kieszeni rodziców. Jak bowiem wiadomo, pieniądze z podatków pochodzą nie od rodziców, a od wielkich korporacji, a jeśli wielkie korporacje nie mają akurat ochoty płacić podatków w tym kraju, to przecież zawsze rząd może dodrukować pieniędzy i przeznaczyć je na dowolnie wybrane cele.

Wielka wezyra Kara Mustafa została przepędzona z Europy i dlatego po dziś dzień imigranci z Bliskiego Wschodu próbują dostać się do wymarzonej Europy

Dlatego też, pogłębiając pomysł poddany przez towarzyszy z Razem, chcemy zaproponować również, iżby nie tylko szkołę ogłosić prawem, nie towarem. Finansowane z podatków, a nie z kieszeni obywatela, powinny być też: komunikacja miejska, prąd, wywóz śmieci, zakupy w ekologicznym markecie i piwerko ze sprajtem.

W ogóle postulat ten powinien w prostej linii doprowadzić do likwidacji pieniądza jako środka płatniczego. Za wszystko niech płaci państwo w podatkach z dodrukowanych pieniędzy. Inna ekonomia jest możliwa.

Znów nadchodzi ta krępująca rocznica bitwy pod Wiedniem, kiedy król – Janusz III Sobieski (czy tam może Jan, to to samo) – zatrzymał pochód islamododatnich kobiet, starców i dzieci do Europy.

Po co on w ogóle pod ten Wiedeń się pchał?

To jest tak okropnie polskie, wtrącanie się w sprawy sąsiadów, zamiast siedzieć w Sieradzu, czy co to tam było wtedy stolicą tego kraju, i czekać na rozwój wypadków, ewentualnie powitać imigrantów jakimiś latyfundiami, bo te kresy były przecież w chooy duże, albo jakimś zasiłkiem, to nie: jazda pod Wiedeń i robimy rozróbę.

Tak naprawdę to jedna z najbardziej pigmentalnie uposażonych kart naszej historii, opisująca ksenofobię, nietolerancję, islamofobię, no i fashysm. Wielka wezyra Kara Mustafa została przepędzona z Europy i dlatego po dziś dzień imigranci z Bliskiego Wschodu próbują dostać się do wymarzonej Europy. Cały ten „kryzys" migracyjny to dzieło polskiego króla Janusza.

W licznych e-mailach pytacie: „Redakcjo, a co u Was w korpo?". Otósh nie jest dobrze. Nowy z Tarnowa ma coraz większe nadzieje na dostanie się do zarządu jakiejś spółki Skarbu Państwa i w związku z tym śrubuje nam normy i kej pi aje.

Na przykład co rano sprawdza liczbę świętych obrazków z Kaczafim, Morawieckim i Szczerskim, które mamy na biurkach, iż obawia się, że w każdej chwili może zostać skontrolowany ze stanu uświadomienia partyjnego swojej załogi. Wprowadził więc taryfikator, według którego Morawiecki warty jest trzech Szczerskich, ale już tylko pół Kaczafiego. Kto na koniec dnia ma na biurku mniej niż trzech Kaczafich, ten wyrabia dodatkowe niepłatne nadgodziny.

Jako iż mamy dyskalkulię, nie wiemy, czy nas wkręca, czy nie, ale od kilku tygodni pracujemy po 12 godzin dziennie, co jednak chyba jest mało OSOM. Co prawda Nowy nam za to płaci, ale płatne nadgodziny też są mało OSOM. Kiedyś zostawało się dłużej dla korpo i realizacji targetu, nie dla pieniędzy. Nie chcemy brać udziału w tym neoliberalnym wyścigu szczuroosób, ale padamy niestety ofiarami wybujałych ambicji Nowego. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl cfc5ba4834

dwaj panowie g

Konwencje, konwencje, i po konwencjach. Chcielibyśmy wrócić do tej PiS-owskiej z przedostatniego weekendu. Zakończyło ją posiedzenie klubu PiS, podczas którego Kaczor-Dyktator wypowiedział z całą mocą interesujące zdanie. To znaczy najpierw pogroził palcem. A potem ostrzegł, że wszelkie niesnaski, niedoróbki i ociąganie się podczas kampanii samorządowej odcisną piętno na listach do Sejmu. Może i Litwin został Człowiekiem Roku w Krynicy, ale Kaczor-Dyktator ma od nas dożywotni tytuł Mistrza Motywacji.

Apropos Krynicy. Rozwożący gości taksówkarz zwierzył się w tym roku szczerze, a jego wywód brzmiał tak: „Ech, panie, kiedyś to były Krynice! Za Kwacha to tu się tak strumieniami lało, że wszyscy ze wszystkimi pili, lewica z prawicą, prawica z lewicą, i wszyscy byli przyjaciele! A teraz? Ledwie który minister dziubek umoczy, to już go asystent po cichu do hotelu wywozi". Jak żyć, panie premierze, jak żyć?

Wracając do konwencji PiS: mało kto zwrócił uwagę, że kiedy liderzy Zjednoczonej Prawicy już uroczyście podpisali się pod samorządowym porozumieniem i wrócili na miejsca, teczki ze świeżo sygnowanymi kwitami dyskretnie zgarnęli ochroniarze Kaczora-Dyktatora z Grom Group. I dobrze. Mistrz Motywacji jest także Mistrzem Organizacji.

No i już po Łapce. Krzysiek Łapiński, rzecznik prezydenta Andrzeja Sebastiana, chce się sprawdzić w biznesie. Tak przynajmniej mówi oficjalnie. Nieoficjalnie do kolegów mówi, że coraz trudniej było mu udawać Bardzo Ważną Figurę Kancelarii, więc rzucił robotę w diabły.

Ziew. Nowym Łapką u prezydenta Andrzeja Sebastiana został Błażej Spychalski. Ziew. Wiewiórki mówią, że układny, spokojny i będzie tonował zamiast rozniecać. Ziew. Pozdrawiamy Kancelarię Prezydenta. Ziew. Nie ma takiego nudnego miejsca na świecie, którego nie dałoby się uczynić bardziej nudnym. Ziew. Dobranoc.

Jak wiadomo, nie ma takiej małej partii, której nie dałoby się podzielić na mniejsze

No dobrze, jest jeden powód, dla którego postać Spychalskiego, nowego Łapki, może nie być usypiająca. To człowiek Marcina „Masty" Mastalerka, niegdyś rzecznika PiS. No tak, ale ileż to razy pisaliśmy, że Mastalerek nakręca Andrzeja Sebastiana na różne rzeczy, np. referendum konsultacyjno-konstytucyjne. Czyli jednak ziew.

Wracając do konwencji samorządowych. Z zainteresowaniem przyjęliśmy Sześciopak Koalicji Obywatelskiej, który z zasady ma być lepszy od Piątki Morawieckiego z PiS, gdyż wykorzystuje wyższą cyfrę. Oczekujemy dalszej eskalacji. Czy jakaś partia gotowa jest już na Siedem Życzeń, ewentualnie Wyborczą Ośmiornicę albo Dziewięćsił Obietnic? Ups, wróć, ośmiornice wyborcze już w przeszłości trenowaliśmy z peezelem i PeŁo.

Zwracamy też uwagę Koalicji Obywatelskiej, że Morawiecki ogłosił już dwie Piątki (pierwszą – wiosną), zatem razem Dychę Morawieckiego. Stosowną odpowiedzią powinien więc być Jedenastopak Obywatelski.

Nowym członem KO-by, czyli Koalicji Obywatelskiej, została Inicjatywa Polska Baśki Nowackiej. Tym samym unieważniono hasło rzucone przez Baśkę na konwencji założycielskiej rok temu, kiedy wołała: „Mamy dość Polski Prawa i Sprawiedliwości i Polski Platformy Obywatelskiej". Nowe hasło powinno brzmieć: „Mamy dość Polski Prawa i Sprawiedliwości, ale Polski Platformy Obywatelskiej ciągle nam mało".

Decyzja władz Inicjatywy Polskiej wywołała poruszenie wśród prostych działaczy. Największe w Warszawie, gdzie Paulina Piechna-Więckiewicz zajmuje się głównie Inicjatywą Biedroń. Jak wiadomo, nie ma takiej małej partii, której nie dałoby się podzielić na mniejsze, czekamy więc niecierpliwie na ciąg dalszy tej historii.

Przy okazji – nie dziwią nas wcale doniesienia o trzech tysiach „dobrowolnej składki", które trzeba płacić za jedynki na listach Nowoczesnej Kropki. Na miano „miejskiego peezelu" trzeba sobie przecież zasłużyć.

Apropos małych partii i obietnic samorządowych. Peezel (ten prawdziwy, kosiniakowy) zapowiedział, że tam, gdzie wygra, do szkół wrócą dentyści. To pierwsza w tej kampanii propozycja, której sednem jest przekaz: „Głosuj na nas – będzie bolało".

Teraz na serio, tak się bowiem składa, że jakiś czas temu z pomocą wiewiórek wynoszących

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl cfc5ba4e34

ciekawe dokumenty z różnych resortów zgłębialiśmy zagadnienie gabinetów stomatologicznych w szkołach. Głupia sprawa, MEN robiło w tej sprawie konsultacje, ale okazało się, że najbardziej w tej sprawie protestowali rodzice. Podawali nawet konkretny powód: nie chcą, żeby ich dziecko siedziało na fotelu u dentysty bez mamy albo bez taty.

W tym kontekście iście diabolicznym prezentem okazuje się pudło czekoladek Śnieżka, które z okazji rozpoczęcia roku szkolnego nadesłała nam minister Ania Zalewska. Doceniamy postęp, bo dwa lata temu dostaliśmy od niej tylko małą paczkę krówek, w dodatku jeszcze poplatformerskich, a rok temu – nic. Informujemy, że czekoladki zostały pożarte ze smutnymi konsekwencjami dla uzębienia, co oznacza, że jednak będziemy drążyć temat gabinetów stomatologicznych, niekoniecznie w szkołach.

My w sprawie wywalenia z roboty naczelnego „Faktu", Felusia Roberta. Należało mu się, ale naszą uwagę zwróciło co innego. Poprzedni naczelny, Grzesiek Jankowski, wyleciał za zbyt mały entuzjazm wobec Peło oraz za przedwczesne podanie informacji o zgonie Jaruzelskiego. Feluś za tytuł o Leszku Millerze i jego synu. Czy to nie jest dziwne, że w III RP jednym pstryknięciem palców zmienia się naczelnych tylko wtedy, gdy narażą się liberałom-aferałom oraz ich starszym czerwonym braciom?

Co oczywiście prowadzi nas do arcyważnej informacji z życia wyższych, czerwonych sfer, czyli prawdziwych właścicieli III RP. Znamy szczegóły powrotu aferzysty Dariusza Tytusa Przywieczerskiego na łono ojczyzny. Są to: obszerna obstawa i biznes class w dreamlinerze. Co prawda nasi ludzie, którzy ścigali go przez 12 lat, najchętniej wieźliby go kibitką o chlebie i wodzie, ale przepisy nie pozwalają. Stanowią one, że skazany podczas konwoju ma mieć jak najmniejsze kontakty z osobami postronnymi, a to zapewnia jedynie biznes class.

Upór w sprawie Dariusza Tytusa musiał wywołać popłoch w wielu rejonach świata, bo okazało się, że państwo polskie jest dziś jak znany klub piłkarski ze stolicy – „Bóg wybacza, Legia nigdy". Nie będzie więc pewnie specjalnym zdziwieniem, że obecnie numer jeden na celowniku naszych dzielnych łowców to były właściciel Inter Commerce, niejaki Rudolf Skowroński. Odpowiedź na pytanie, co łączy Rudiego z Przywieczerskim, składa się z trzech liter – WSI.

Skoro już o wojsku. Prokuratura okręgowa umorzyła postępowanie w sprawie inwigilacji dziennikarzy przez Służbę Kontrwywiadu Wojskowego za czasów słusznie minionego reżimu. Prokuratura jest cywilna, ale – co ciekawe – prokurator ma pagony na ramionach. Dziwnym trafem jest to jeden z dwóch głównych referentów postępowania smoleńskiego. I dziwnym trafem miał on opinię faceta, który miał pilnować w tym postępowaniu interesów wojska i jego służb. I choć Dobra Zmiana go z obowiązków zwolniła, to – jak widać – z poprzednich rozkazów nikt go nie zwolnił.

Skazany podczas konwoju ma mieć jak najmniejsze kontakty z osobami postronnymi, a to zapewnia jedynie biznes class

Nie jest też tajemnicą, że ślimaczy się inne śledztwo dotyczące inwigilacji dziennikarzy. To prowadzone w Krakowie. Inwigilacja miała miejsce, bez dwóch zdań, ale – jak się wydaje – prowadząca to postępowanie skłania się ku opinii, że była legalna. Jako objęci tą inwigilacją nie jesteśmy obiektywni, pozwolimy sobie zatem na krótki tylko komentarz: „noż k… mać".

Warto się starać. Nasze enuncjacje na temat poetyckiej twórczości najlepszego geologa wśród poetów oraz najlepszego poety wśród geologów zostały zauważone przez ich bohatera, Mariusza-Oriona Jędryska, aktualnie wiceministra środowiska. Orion podarował nam brakujące tomiki z kolekcji wydawanych przez siebie własnych dzieł zebranych oraz upamiętnił utworem poetyckim, który zamieszczamy w całości: „Coś tam lizie?/ Gociek z Gmyzem!".

Dziękujemy Orionowi również za komplet egzemplarzy dwumiesięcznika „Polityka Surowcowa" wydawanego przez Ministerstwo Środowiska. Dotąd nie czytaliśmy owego pisma, gdyż nie wiedzieliśmy, że się ukazuje. Teraz – bo wiemy. ©℗

eprasa.pl cfc5ba4834

Rafał A. Ziemkiewicz

Totalny

Opozycja totalna i sprzyjające jej media przez ostatnie lata zbudowały wirtualny świat dla swoich wyznawców

FOT. MIROSŁAW PIESIĄK/FORUM

Mieliście PiS-owskiego kreta w rządzie? – sugeruje Jacek Żakowski, na co Radosław Sikorski stwierdza, że za aferę taśmową „odpowiada ten, kto na niej skorzystał", i wskazuje nie na jednego kreta, ale na potężny spisek PiS i Putina z udziałem „obcych służb, opozycji, biznesu, prokuratury i części własnych służb". Dowody? Tylko stwierdzenie, że „jest za dużo zbiegów okoliczności w sprawie podsłuchów i Rosji". Jeśli dziennikarz uważany kiedyś za poważnego komentatora politycznego i były szef dyplomacji dywagują tak publicznie, to jakie spiskowe teorie głosi ich obóz na własny użytek?

PiS jest dziki, PiS jest zły, PiS nie może dojść do władzy, a skoro doszedł, trzeba go od niej odstawić, nie czekając na kolejne wybory, tylko organizując uliczne zamieszki i „wyłączenie państwa" na wzór ukraińskiego Majdanu, skłaniając do „wymówienia posłuszeństwa" władzy kolejne korporacje zawodowe i inspirując europejskie mocarstwa oraz instytucje Unii Europejskiej, by obaliły polski rząd politycznymi i finansowymi naciskami, tak jak swego czasu zrobiły to w Grecji i we Włoszech.

To wszyscy wiemy. Ale czy po trzech latach tej krzątaniny pamiętamy jeszcze dlaczego? Co takiego strasznego było w PiS, że elity III RP ogłosiły tę partię złem absolutnym?

WYŻSZOŚĆ I NIŻSZOŚĆ

Oczywiście, „oni chcą wymienić elity" (Jerzy Stępień, były przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego), czyli zastąpić je „nieoświeconym plebsem" (Wojciech Sadurski, profesor prawa). PiS to „nobilitacja chamstwa, po prostu bydło na salonach" (Krzysztof Łoziński, obecny lider KOD). Głosuje na nich „prawicowy motłoch" (Cezary Michalski, publicysta, ostatnio w „Newsweeku"), czyli „ludzie paskudni, obrzydliwi i obli" (Wiktor Zborowski, aktor), „z i tak niezbyt dużymi mózgami, malejącymi jeszcze wraz z niepodległością" (Manuela Gretkowska, pisarka), „będą kraść spinacze, wynosić meble, jeździć do knajpy na służbowej benzynie, oni tacy są" (Zbigniew Hołdys – trudno tu nie dodać złośliwie: nie tak jak poprzedni prezydent i jego ekipa, która opuszczając Belweder, rozliczyła się z każdej grzałki, obrazu i każdej srebrnej łyżki).

To, że „pisowcy" są po prostu gorszym sortem ludzi od polskich Europejczyków, nie ulega oczywiście kwestii, bo wiemy o tym od największych autorytetów. To, że są godni pogardy, samo w sobie nie czyni ich jednak jeszcze groźnymi.

Są groźni, o tym wie ten, kto pamięta jeszcze czasy sprzed sławnego „przejechania zakonnicy na pasach", ponieważ „odrzucając logikę demokracji", PiS, będąc w opozycji, zamiast polityki prowadził „rokosz" przeciwko państwu (określenie-oskarżenie nieżyjącego już byłego premiera Tadeusza Mazowieckiego). Ponieważ zapomniał, że „w demokracji władzę przejmuje się w wyborach, a nie na ulicy" (co wypomniała ówczesnej opozycji w czasach swego premierowania Ewa Kopacz), że prezentował postawę, z której kpił jako wicemarszałek Sejmu Stefan Niesiołowski: „Jak wygracie wybory, to sobie przegłosujecie, co będziecie

eprasa.pl cfc5ba4834

spisek

chcieli". Tymczasem PiS nie skupiał się na pozyskiwaniu społeczeństwa, nie przygotowywał merytorycznych programów, ale „kwestionował legalność demokratycznie wybranej władzy", „symbolicznie delegitymizował państwo", twierdząc na przykład, że „mamy prezydenta wybranego przez przypadek". I urządzając „identyczne jak Hitler fackelzugi" (Stefan Bratkowski, publicysta), same w sobie będące przejawem „faszyzacji" zarówno samego PiS, jak i społeczeństwa. PiS „nigdy nie mieścił się w logice demokracji" (Wiesław Władyka, publicysta), ponieważ odmawiał podporządkowania się wyrokowi wyborów.

To m.in. właśnie tymi argumentami – choć pojawił się ważniejszy, o którym za chwilę – w kampaniach wyborczych przed trzema laty obóz dziś stanowiący totalną opozycję uzasadniał i swoją wyższość nad „psychoprawicą" (Wojciech Orliński, publicysta „Gazety Wyborczej"), i to, dlaczego tych „strasznych ludzi" (raz jeszcze Stefan Niesiołowski) pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić do władzy.

NIEOCZEKIWANA ZAMIANA MIEJSC

Ale stało się. „Chamstwo", „motłoch" czy, najuprzejmiej mówiąc, „nieoświecony plebs" zdołał odwrócić polityczną scenę i po wielu latach nieprzerwanej dominacji w życiu publicznym „ludzie przyzwoici, rozumni i na pewnym poziomie" (jak zawsze definiował swój obóz Adam Michnik, uciekając od zawężających identyfikacji politycznych) musieli przejść do opozycji.

Należało się spodziewać przynajmniej tyle szczęścia w nieszczęściu, będąc wzorcem tylu cnót, pokażą wreszcie Polakom, jak wygląda w demokracji „przyzwoita, rozumna i na pewnym poziomie" opozycja. Taka, która przyjmuje za państwo współodpowiedzialność, nie delegitymizuje, nawet symbolicznie, wybranych demokratycznie, wolą większości władz i nie „szczuje" swoich

eprasa.pl cfc5ba4834

zwolenników przeciwko państwu, tylko uznawszy wyrok wyborców, rozlicza się z popełnionych błędów, odsuwa tych, którzy nie zdali egzaminu, i przygotowuje się merytoryczną pracą do kolejnych wyborów.

Poza wszystkimi wymienionymi wyżej powodami także dlatego że – i to był przecież ten najważniejszy argument – w polityce, w publicznej debacie i obywatelskim dyskursie trzeba się przecież kierować rozsądkiem, „pragmatyzmem", a nie „teoriami spiskowymi". „Spiskowe myślenie", głoszenie „szalonych" teorii, „niczym niepopartych, urojonych, niesprawdzalnych", czyli po prostu zwykłe „mącenie w głowach" i wzniecanie w ten sposób „histerii", było przez autorytety ostatniego ćwierćwiecza wskazywane jako główna cecha dyskwalifikująca prawicową opozycję jako normalną siłę polityczną, której można pozwolić wygrać wybory i objąć władzę.

„Pragmatyzm" obozu III RP, unieważniający klasyczne polityczne podziały („nie jesteśmy ani prawicą, ani lewicą, jesteśmy na czele przemian" – anonsował u zarania III RP Adam Michnik pierwszą z kolejnych politycznych emanacji „salonu" III RP, Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna, a jego wzorem w kolejnych latach odcinali się od „ideologii" kolejni liderzy), przeciwstawiały elity poczęte w Magdalence i narodzone w częściowych wyborach z 4 czerwca 1989 r. „myśleniu spiskowemu", „przesądom" charakteryzującym prawicę.

Myśleniem spiskowym zaś było doszukiwanie się w III RP wpływów dawnych peerelowskich służb, demaskowanie konfidentów SB i w ogóle grzebanie w archiwach. Było nim też insynuowanie jakichkolwiek zakulisowych umów i układów, w ogóle kojarzenie ze sobą w sposób inny od obowiązującego jakichkolwiek wydarzeń. Ukoronowaniem tej „spiskowej paranoi" miała być oczywiście „sekta smoleńska" i dopatrywanie się jakichkolwiek znamion niezwykłości w „najboleściwiej prostej" (Bronisław Komorowski jako prezydent) katastrofie w Smoleńsku. „Nie wolno pogrążać się w spiskowym szaleństwie, nie wolno zapominać, że światem rządzi przypadek i prawa fizyki, a nie spiski!" – grzmiał na „sektę smoleńską" w jednej z homilii niezwykle jak na katolickiego arcybiskupa poważany przez salony Józef Życiński.

Ze wszystkiego – co można dziś przypominać totalnej opozycji z czasów, gdy sprawowała nie tylko władzę, lecz także „rząd dusz", konfrontując z tym, co robi od trzech lat – właśnie to wyszydzanie i wykpiwanie „teorii spiskowych" jest najśmieszniejsze.

KRĘCENIE TAŚMAMI

Sięgnijmy oto po przykład najświeższy. „Gazeta Wyborcza" zrobiła kilka tygodni temu utrzymaną w tonie sensacji czołówkę ze sprawy „taśm Sowy". Od afery minęły cztery lata (ale publikacja „Wprost", która wstrząsnęła sceną polityczną, miała miejsce w czerwcu – więc bynajmniej nie chodziło gazecie o rocznicę). Żeby poważna, opiniotwórcza gazeta, jaką była „Wyborcza" w czasach swej potęgi i za jaką wielu z przyzwyczajenia uważa ją nadal, wróciła na pierwszej stronie do sprawy sprzed kilku lat, powód może być tylko jeden: pojawiły się nowe dowody, nowe okoliczności, które każą spojrzeć na nią zupełnie inaczej i zmienić ugruntowaną opinię.

Ale w kręgach, w których „Wyborcza" nadal postrzegana jest tak jak w latach 90., obowiązują dziś inne prawa. Owszem, z pozoru można sądzić, że mamy do czynienia z sytuacją opisaną powyżej: w bombastyczny sposób Wojciech Czuchnowski, zwykle firmujący w „Wyborczej" tego rodzaju sensacje, stwierdza, że za podsłuchami i ich publikacją stał PiS. A ponieważ, jak wiemy, to ujawnianie kolejnych nagranych przez kelnerów taśm z prywatnymi pogaduszkami poprzedniej władzy zapoczątkowało odwracanie się od niej wyborców, oczywisty z tego wniosek, że władza PiS, jako oparta na ujawnieniu taśm, jest nielegalna. W tym punkcie przekaz zbiega się z główną redakcyjną linią, od lat realizowaną na różne sposoby dzień po dniu.

Publikacja zostaje oczywiście podchwycona przez polityków PO, zwłaszcza tych, którzy sami zostali taśmami skompromitowani. Radosław Sikorski skorzystał z okazji, by po raz kolejny powtórzyć, że na taśmach nie nagrano niczego kompromitującego (co jest zwykłym kłamstwem: słyszeliśmy wszak, jak minister ustalał z prezesem NBP sposób ominięcia konstytucyjnego zakazu kreowania pieniędzy bez pokrycia, by kupić nimi wyborcze poparcie dla partii rządzącej, jak inni ministrowie chwalili się załatwianiem żonie kolegi zwolnienia podatkowego i odwołania kontroli skarbowej, jak politycy „ustawiali" umowy z zaprzyjaźnionymi biznesmenami etc.). Wtórują mu w mediach społecznościowych Jan Grabiec, Bartosz Arłukowicz, Paweł Zalewski i inni, wszyscy w tonie: „W normalnym kraju ta publikacja byłaby tematem dnia we wszystkich mediach elektronicznych, wstrząsnęłaby całą sceną polityczną, doprowadziłaby do kryzysu władzy i do przyśpieszonych wyborów!".

Ale, oczywiście, „państwo PiS" okazuje się nie być „normalnym krajem", bo krzykliwa okładka gazety Jarosława Kurskiego przechodzi praktycznie bez echa. Co znaczące, ignorują ją nie tylko deprecjonowane jako „pisowska propaganda" media państwowe, lecz także te uważane w obozie opozycji za „nasze": TVN, Polsat, Radio Zet czy RMF.

Nic jednak dziwnego, bo – kto wczyta się w przedmiotową publikację – w istocie pełne emfazy lead i tytuł kryły wypracowanie zupełnie pozbawione treści. Jedynym zawartym w artykule „ustaleniem" redakcji była oparta na informacji anonimowego źródła sugestia, że PiS wiedział o istnieniu kelnerskich taśm, zanim stały się one głośne, co ma wynikać z informacji, że próbował dyskretnie sprawdzić swoimi kanałami wiarygodność Marka Falenty. Cała reszta okładkowej publikacji to wygłaszane podniesionym tonem opinie autorów i „autorytetów", nienowe zresztą. Nie brnąc już w cytowanie – na PiS jako beneficjenta, a więc sprawcę, „afery taśmowej" wskazywano w obozie PO wielokrotnie od pierwszej chwili. Zresztą z zupełnym lekceważeniem oczywistego faktu, że obóz ten skompromitowało nie samo nagranie i ujawnienie rozmów, ale to, co jego liderzy w tych rozmowach powiedzieli – trzeba by więc przyjąć, że PiS nie tylko podłożył dyktafon, ale jakoś ich zahipnotyzował bądź w inny sposób zmusił do wygadywania tych wszystkich rzeczy, które zbulwersowały wyborców.

Sam Czuchnowski napisał prawie ten sam artykuł, który teraz ogłoszono na pierwszej stronie, już kilka razy wcześniej. W styczniu 2017 r. używał jednak jeszcze bezpiecznych procesowo „czy" i „być może": „A jeśli za aferą podsłuchową stali Rosjanie?" – pytał w tytule, informując, że Marek Falenta, inspirując kelnerów do podkładania gościom dyktafonów, „mógł spłacać ogromny dług wobec rosyjskiej firmy, od której kupował węgiel". Co na to wskazywało, że „mógł"? W tamtym starym tekście Czuchnowski wskazał, skąd pochodzi sensacja: „ABW brała pod uwagę" taką możliwość, badając sprawę w 2014 r.

eprasa.pl cfc5ba4834

Niecałe dwa tygodnie po tym, jak przebrzmiały tezy „Wyborczej", do sprawy wrócił tygodnik „Polityka". Znowu, jak łatwo zauważy uważny czytelnik, opierając się na tych samych informatorach z poprzedniego kierownictwa ABW i znowu w tonie „znaczącego" pytania: „Czy afera taśmowa, która walnie przyczyniła się do wyborczego zwycięstwa PiS, była intrygą rozgrywaną przez rosyjskie służby? Wskazuje na to wiele tropów".

W istocie trop jest zasadniczo jeden i basując bratniemu tygodnikowi, podchwytuje go znowu niestrudzony redaktor Czuchnowski (skądinąd człowiek idealnie wypełniający Michnikową definicję „człowieka przyzwoitego, rozumnego i na pewnym poziomie", co może stwierdzić każdy, kto zapozna się z tym, co pisze on i podaje codziennie, szczególnie wieczorami, na Twitterze). „To PiS i Rosja skorzystały na aferze podsłuchowej!" – oznajmia w tytule kolejnego bombastycznego tekstu w swojej gazecie.

Mówiąc krótko: „Przypadek? Nie sądzę".

Kiedyś te słowa przywoływano jako kwintesencję „odlotu rozumu". Nie ma co prawda „twardych faktów", ale są ciekawe zbieżności. Może to za mało, żeby orzec coś z ostateczną pewnością, ale wystarczająco, żeby zadać pytanie w stylu Lepperowskiego: „Czy prawdą jest, że w Klewkach pan S. sprzedawał talibom wąglika?". „Czy prawdą jest, że 11 września 2001 r. cztery tysiące Żydów nie stawiło się do pracy w World Trade Center i kto ich ostrzegł?" – zapytała swego czasu gazeta Hezbollahu i pytanie to wciąż rozbrzmiewa w kręgach, z którymi totalna opozycja III RP zapewne nie chciałaby być utożsamiana.

To nie złośliwość, pytanie Hezbollahu jest równie zasadne jak to o „rosyjski ślad w aferze taśmowej". Nie ulega wątpliwości, że największą korzyść z zamachu na WTC odniósł Izrael, więc… – to wersja do dziś powszechna w mediach arabskich. Nieco innej odpowiedzi na to samo pytanie udziela europejska i amerykańska lewica: dla niej nie ulega wątpliwości, że największe korzyści z zamachu odnieśli Pentagon oraz kapitaliści produkujący broń i sprzęt wojskowy – więc…

Proszę zauważyć, że logika „kto skorzystał, musiał za tym stać", która nagle stała się wyznaniem totalnej opozycji, zupełnie zwalnia z odpowiedzialności za zamach Al-Kaidę i Bin Ladena, którzy nie tylko na zamachu nie skorzystali, ale wręcz przyniósł im on zgubę.

DLA WYZNAWCÓW

Jeśli ktoś sądzi jednak, że skoro publikacje „Wyborczej" i „Polityki" nikogo nie przekonały i nie zostały podchwycone przez media elektroniczne – nawet te sprzyjające opozycji, ale jednak walczące o szerszą publiczność niż wąski krąg wiernych wyznawców, którego emocje obsługują wspomniane gazety – to znaczy, że należy je uznać za porażkę – zasadniczo się myli. Gazeta nie po to powtórzyła tezy, stawiane w jej kręgu gołosłownie już od chwili publikacji pierwszych taśm, i nie po to przyklasnęli jej gorliwie politycy, którzy bez żadnych dowodów głosili je jako pierwsi, by kogokolwiek przekonać.

To po prostu część codziennego wysiłku utwierdzania wyznawców w słuszności ich wyznania. Takie publikacje nie mają przynosić żadnych rozstrzygających odkryć, żadnych argumentów ani oryginalnych tez. Nikt nie zapamięta szczegółów – nieprzekonani skwitują naciągane tropy wzruszeniem ramion, a przekonani są tak przekonani, że żadnych więcej przesłanek, faktów ani argumentów już nie potrzebują. Wystarczy im, że po każdej codziennej lekturze odnotują w pamięci, iż podstawowe tezy budujące ich świat i wiarę zostały „wielokrotnie i w oczywisty sposób" udowodnione, licznymi publikacjami „przeciwstawiającej się propagandzie reżimu" i „ujawniającej prawdę" gazety. Jutro przeczytają równie z sufitu wzięte enuncjacje o rzekomych zamiecionych aferach PiS, pojutrze o przygotowaniach PiS do sfałszowania wyborów albo innych jego zbrodniach przeciwko demokracji.

Nie sposób nie sięgnąć tu po pojęcia ukute przez klasyczną science fiction: „symulakrum" lub „matriks". W obu wypadkach chodzi o całkowicie sfałszowaną, fantasmagoryczną „nierzeczywistość" (to określenie Kazimierza Brandysa pewnie bardziej się spodoba Adamowi Michnikowi), w której źli ludzie lub, w drugim wypadku, komputery zamknęli ludzi dla swoich niecnych celów. Zatrzaśniętym w symulakrum wydaje się, że to, co widzą i słyszą, istnieje – a w rzeczywistości wcale nie istnieje, jest tylko projekcją.

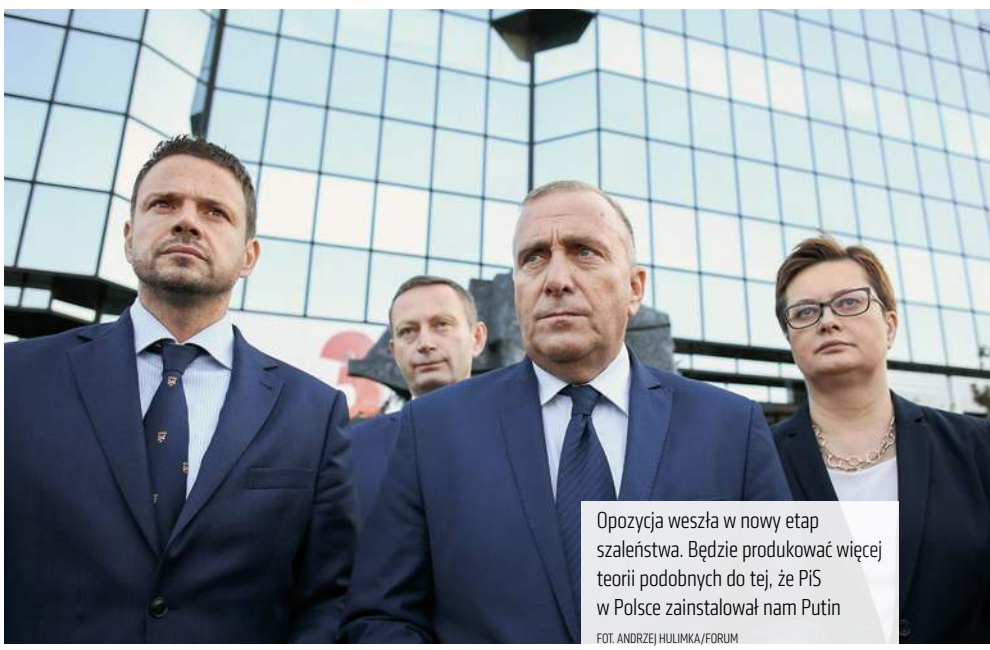

Opozycja weszła w nowy etap szaleństwa. Będzie produkować więcej teorii podobnych do tej, że PiS w Polsce zainstalował nam Putin

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Spiski, którymi karmią swych odbiorców media totalnej opozycji, też są projekcją. Projekcją emocjonalnych spazmów, „dusznych boleści" miotających ludźmi, którzy przez ćwierć wieku przywykli do myśli, że są elitą, że imponują, że cokolwiek powiedzą, to dla stojących w hierarchii społecznej niżej jest wzorcem do naśladowania i wytyczną „jak żyć" – a już co najmniej jak głosować. Trzy ostatnie lata, kiedy nie tylko „bydło wdarło się na salony", lecz także okazuje się, że jest tam jak najbardziej tolerowane, a jeremiady wy-

eprasa.pl cfc5ba4834

sadzonych z siodła nikogo nie wzruszają, to czas niezwykle silnych dysonansów poznawczych.

Teorie spiskowe są w istocie niczym innym niż samoobroną rozumu, który stara się odnaleźć sens – choćby złowrogi – w wydarzeniach nie do pojęcia. Ponieważ podstawową potrzebą ludzkiego umysłu jest obronić raz przyjęty obraz świata, choćby w tym celu trzeba było wziąć rozbrat z elementarną logiką i uwierzyć w najgorsze nonsensy, nie mówiąc już o zaprzeczeniu sobie samemu z wczoraj.

Jeszcze przed szykującą się klęską w wyborach samorządowych upadłe elity III RP wchodzą w nową fazę – ratowania się przed frustracją i zniechęceniem coraz bardziej szalonymi teoriami. Ta, którą się powyżej zajęliśmy, łagodzi jeden z fundamentalnych dla „salonu" dysonansów poznawczych: skoro jesteśmy lepsi, to jak mógł wygrać z nami ten „pisowski głupek, wyrób rodzimy" narysowany przez Andrzeja Mleczkę?!

TEORIE SPISKOWE

Analogiczna teoria pojawiła się już trzy lata temu, po wyborczej klęsce Bronisława Komorowskiego. Wówczas wielką popularność zdobyła opowieść, że kampanię Andrzeja Dudy przeprowadzili tajni doradcy z amerykańskich służb, w ramach większej operacji nowego układania pod swoje imperialne interesy rządów w naszej części Europy Środkowej. Nie było żadnych przesłanek, poza bardzo ogólnikowymi – rzeczywiście zmieniło się wtedy po kolei kilka rządów w sąsiedztwie – ale była wielka potrzeba „pokrzepienia serc". Przegrać z CIA to zupełnie co innego niż z jakimś tam Dudą.

Właściwie ta narracja jest w pełni zbieżna z narracją o „intrydze rozgrywanej przez rosyjskie służby". Wystarczy pamiętać, że według innych spiskowych teorii Trump również został Ameryce narzucony przez Putina. No i to już stawia na zupełnie innej półce łomot zebrany przez PO w wyborach przed trzema laty.

Teorie spiskowe w gazetach i na profilach opozycji totalnej mnożą się więc i będą się mnożyć. Dobrze pokazuje to popularność narracji o „ukraińskim aktorze", który miał na zlecenie PiS i TVP agresywnie atakować policję na proteście pod Pałacem Prezydenckim, by dać władzy (co odkryła m.in. Eliza Michalik) pretekst do wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Mniejsza o to, że rzekomy Ukrainiec w końcu się odnalazł i okazał Polakiem, cokolwiek zresztą emocjonalnie niedojrzałym. Zwróćmy uwagę na tę łatwość, z którą wyznawcy PO (bo trzeba tu mówić o jej wyznawcach, a nie zwolennikach) przeszli do porządku dziennego nad krzyczącą logiczną sprzecznością własnego postępowania. Jeśli zachowanie Michała Modlingera było zachowaniem prowokatora PiS, służącym rozbiciu opozycji – to ludzi takich jak Klementyna Suchanow czy Marta Lempart, o Pawle Kasprzaku nie wspominając, powinno się w opozycji uważać za prowoków oczywistych i dużo bardziej od niego szkodliwych. Tymczasem podniecanie się sensacją o ukraińskim prowokatorze nie przeszkodziło w najmniejszym stopniu wyżej wymienionych nadal otaczać kultem należnym bohaterom.

Ktoś zdał sobie sprawę, że bez zamknięcia wyznawców w symulakrum szalonych teorii zaczną się oni rozchodzić

Żeby było jeszcze bardziej dobitnie, gdy już stało się jasne, iż rzekomy Ukrainiec nie jest żadnym Ukraińcem, portal OKO.press ogłosił „analizę" nadwornej „znawczyni Internetu", demaskującą, że tezę o ukraińskim aktorze w istocie wymyśliła i perfidnie przypisała opozycji prawica.

Inny nieco ból leczy spiskowa teoria sformułowana publicznie przez Manuelę Gretkowską i Jacka Żakowskiego, którzy z tego, że policjanci pod Pałacem Prezydenckim nie mieli identyfikatorów (zgodnie z rozporządzeniem Grzegorza Schetyny, który jako minister nakazał „w szyku zwartym" występować policjantom bez nich), a mundury, które nosili, były „nienaturalnie nowe, wprost spod igły", wyciągnęli wniosek, że nie była to wcale policja, tylko przebrana Obrona Terytorialna.

Jeśli z tezą o „rosyjskim śladzie" w aferze taśmowej można jeszcze dyskutować, pokazywać mielizny w argumentacji jej autorów i nieuprawnione generalizacje – to na taki nonsens po prostu ręce opadają. Czemu miałoby służyć przebieranie „terytorialsów", kiedy i jak mieliby oni zostać przeszkoleni do zadań policyjnych, jak w ogóle można by taką bezsensowną operację utrzymać w tajemnicy?!

Cóż, znowu chodzi o likwidację dysonansu poznawczego. Szalona teoria pozwala przyjąć, że „wcale nie jesteśmy w mniejszości". To tylko pisowska propaganda. W istocie „policjanci nie chcą już wykonywać poleceń PiS", „są po stronie ludzi". Nie jest przypadkiem, że mniej więcej w tym samym czasie w mediach „totalnych" pojawiło się wiele rozmów z anonimowymi przeważnie policjantami, składającymi takie właśnie deklaracje.

Ktoś chyba zdał sobie sprawę, że bez zamknięcia wyznawców w symulakrum szalonych teorii zaczną oni ulegać frustracji i zniechęceniu, rozchodzić się. A wtedy przyjdzie pożegnać się nie tylko z marzeniami, że „znowu będzie tak jak było", ale, co jeszcze boleśniejsze, z dietami i apanażami, które zapewnia status jedynej „broniącej demokracji" opozycji. Dlatego wszystkie dawne szyderstwa z „sekty smoleńskiej", z logiki „najbardziej na tym skorzystali Putin i Tusk" i z „paranoicznego myślenia" musiały iść w kąt – podobnie jak już trzy lata temu bez ceregieli zaprzeczyła opozycja z dnia na dzień wszystkiemu, co latami mówiła o „faszyzmie" i „podpalaniu Polski" w kontekście „wyprowadzania ludzi na ulicę" i „symbolicznego delegitymizowania demokratycznie wybranej władzy".

To już nie tylko obłuda. To więcej: szaleństwo. Szerzone zupełnie świadomie. Opozycja weszła w nowy etap, więc teorii podobnych do tej o „zainstalowaniu" PiS przez Putina będzie produkować coraz więcej. Będą jej one niezbędne, by zdyskredytować jako agentów PiS konkurentów z obozu antypis (już kursuje w „lewym" Internecie, że np. były wiceprezydent Warszawy, Wojciechowicz, czy Biedroń, „działają w porozumieniu z PiS i na rzecz PiS"), by wyjaśnić, dlaczego nie nadchodzi wciąż obiecana pomoc Zachodu, dlaczego Komisja Europejska nie posuwa się ani o krok w procedurze artykułu siódmego, a TSUE przewleka w nieskończoność sprawę Sądu Najwyższego, dlaczego zachodni politycy nie odcinają się od rządu PiS, przeciwnie, robią z nim interesy i układają się…

Zapowiedź Grzegorza Schetyny sprzed trzech lat „będziemy opozycją totalną" nieuchronnie zmienia się w: „pójdziemy w totalny obłęd".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

RMF FM

Numer 1 wśród mediów opiniotwórczych

wg Instytutu Monitorowania Mediów

Rano...

Robert Mazurek
zapraszam o 8:02

... i po południu

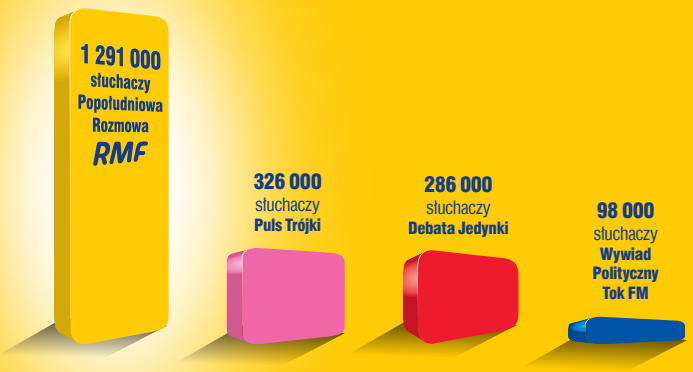

Marcin Zaborski
zapraszam o 18:02

Źródła:
– Raport IMM – najbardziej opiniotwórcze media pierwszej połowy 2018 roku
– Radio Track, Kantar MillwardBrown, 04-06.2018, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie

eprasa.pl cfc5ba4834

Z Adamem Bielanem, wicemarszałkiem Senatu, współtwórcą wielu kampanii wyborczych PiS
rozmawia Kamila Baranowska

Schetyna próbuje się na nas wzorować

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

KAMILA BARANOWSKA: „To będą miesiące oceny. Oceny polityki władzy i opozycji" – mówił na konwencji inaugurującej kampanię samorządową Jarosław Kaczyński. Jak ta ocena wypadnie dla Zjednoczonej Prawicy?

ADAM BIELAN: Mam nadzieję, że dobrze. Niezależnie od oceny naszych bieżących działań jako Zjednoczonej Prawicy sądzę, że spora część Polaków odzyskała wiarę w obietnice przedwyborcze. Bardzo ważnym elementem sporu przed wyborami w 2015 r. był program „500+" i wydaje mi się, że wiele osób nawet spośród tych, które na nas zagłosowały, słysząc połajanki Ewy Kopacz i Jacka Rostowskiego, nie sądziło, że ten program zrealizujemy. Nie dość, że udało nam się go przeprowadzić, to w budżecie na przyszły rok mamy najniższy procentowo deficyt w historii. I to pomimo skokowego wzrostu wydatków na cele społeczne, na które wydajemy ponad 40 mld rocznie więcej niż nasi poprzednicy. To nowość w polskiej polityce i liczę na to, że wyborcy będą o tym pamiętać.

Co jest stawką tych wyborów?

Z jednej strony, czeka nas „czwórbój wyborczy". Będziemy przechodzić z jednej kampanii w kolejną i każdorazowy rezultat siłą rzeczy będzie rzutował na początek kampanii przed następnymi wyborami. Z drugiej strony, mamy świadomość, jak ogromną władzą w Polsce dysponują sejmiki wojewódzkie. To one rozdzielają fundusze europejskie. Mogą mieć pozytywny wpływ na rozwój poszczególnych regionów, ale jednocześnie są też doskonałym narzędziem budowania siatki rozmaitych powiązań personalnych. Dlatego zmiana na tym szczeblu samorządu jest niezwykle pożądana.

Czyli celem są sejmiki. Na jaki wynik może tu liczyć Zjednoczona Prawica?

Sondaże na starcie tej kampanii są dla nas dosyć korzystne. Jeśli w sejmikach, które stanowią zawsze trudne, ale zarazem kluczowe wyzwanie, Zjednoczona Prawica osiągnie rezultat w granicach swojego wyniku z 2015 r., to ja będę bardzo usatysfakcjonowany.

Czyli ponad 37 proc.?

To będzie bardzo dobry wynik, znacząco lepszy niż w roku 2014.

Cztery lata temu w wyborach do sejmików PiS z wynikiem 26,89 proc. minimalnie wygrał w skali kraju. Nie przełożyło się to jednak na rządzenie. Dzisiaj w 15 z 16 sejmików rządzi koalicja PO-PSL. Nie boicie się powtórki?

Cztery lata temu mogliśmy osiągnąć lepszy wynik, ale w końcówce kam-

eprasa.pl cfc5ba4834

panii zaszkodziła nam niestety tzw. afera madrycka. I tak jednak odnieśliśmy duży sukces, bo było to pierwsze zwycięstwo prawicy od 2005 r. Co do koalicji powyborczej to w większości regionów możemy się spodziewać sytuacji analogicznej do tej, którą mamy w Sejmie, czyli stajemy przed koniecznością wywalczenia samodzielnej większości, gdyż szukanie koalicjantów może być bardzo trudne. To samo zresztą dotyczy przyszłorocznych wyborów parlamentarnych. W poszczególnych sejmikach musimy zawalczyć o pulę mandatów, która da nam większość, w przypadku wyborów do Sejmu o 40 proc.

Jestem sobie w stanie wyobrazić w części sejmików koalicje PiS i PSL, ale ostre słowa premiera Morawieckiego pod adresem ludowców o „wyprzedawaniu Polski" pokazują, że PiS takiej współpracy nie planuje.

Wymiana ciosów pomiędzy PiS a PSL trwa od wielu lat. Jeśli spojrzeć na historię procesów w trybie wyborczym, to najczęściej procesującymi się między sobą partiami są właśnie PiS i PSL. To efekt twardej rywalizacji o elektorat wiejski i małomiasteczkowy. Ludowcy byli i pozostają strategicznym konkurentem dla Zjednoczonej Prawicy. Dodatkowo walczą o przetrwanie. Jeśli PSL straci władzę w czterech sejmikach na ścianie wschodniej, czyli tam, gdzie mamy największe szanse na samodzielną większość, to zacznie się chwiać w posadach, ponieważ setki działaczy zostaną pozbawione stanowisk i źródła utrzymania. A gdyby jeszcze PSL utraciło władzę w największym i najbogatszym sejmiku, w którym stworzyło najsilniejszy układ powiązań, czyli na Mazowszu, to może się okazać, że będzie na równi pochyłej przed wyborami parlamentarnymi. Wówczas, startując samodzielnie, może po raz pierwszy nie znaleźć się Sejmie. Z kolei występując w ramach coraz mocniej przechylającej się w lewo koalicji tworzonej wokół Platformy, straci nie tylko szyld, lecz także jakieś 30–40 proc. wyborców, którzy takiego manewru nie zaakceptują. Elektorat wiejski jest bowiem niezmiennie mocno konserwatywny.

Ciekawy scenariusz. Jaka jest szansa przejęcia władzy przez PiS na Mazowszu?

Wszystkie analizy pokazują, że sytuacja jest bardzo wyrównana. Po jednej stronie my, a po drugiej wszyscy nasi przeciwnicy, czyli PO, Nowoczesna, SLD i PSL. Z niektórych badań wynika, że możemy liczyć na 24 mandaty, z innych – że na 27. Do samodzielnej większości potrzebujemy 26, zatem walka będzie trwała do ostatniego dnia kampanii wyborczej.

Tymczasem jak pan ocenia pierwsze dni kampanii? Mieliśmy dużą i dość toporną akcję billboardową Platformy w całej Polsce i równie toporną odpowiedź PiS. Nie lepiej było wcale nie odpowiadać?

Pytanie, w jaki sposób odpowiedzieć na atak, zawsze jest trudne. Klasyczną zasadą jest, by nie odpowiadać na akcje nieznajdujące dużego odzewu społecznego. Jednakże wyraźnie widać było, że w to przedsięwzięcie Platforma zainwestowała bardzo dużo środków finansowych i zasobów ludzkich – kampania billboardowa, kampania w mediach społecznościowych, wiele konferencji wspierających. Całkowity brak reakcji w obliczu tego typu działań byłby dość ryzykowny. Jeżeli jednak prześledzi się naszą konwencję wyborczą czy programowe wystąpienia premiera Morawieckiego, który jest twarzą tej kampanii, to odniesień do politycznych konkurentów jest tam o wiele mniej niż w analogicznych wystąpieniach liderów opozycji względem nas. I to dobitnie pokazuje naszą siłę.

Widać już, że opozycja próbuje przekierować kampanię samorządową na tory krajowe. Chce mówić o sądach, konstytucji, nagrodach dla rządu etc. To dla was kłopot?

Strategia Platformy diametralnie różni się dzisiaj od tej z 2010 r., kiedy apelowała: „Nie róbmy polityki, budujmy mosty". Kampania opozycji jest ekstremalnie polityczna i koncentruje się na uderzaniu w rząd i partię rządzącą. Jednak prawda jest też taka, że w kampanii samorządowej nie da się całkowicie uciec od polityki krajowej. I niekoniecznie nas to martwi, bo fakt, że po trzech latach naszych rządów możemy pochwalić się realnymi sukcesami i wiarygodnością w realizowaniu obietnic, działa znacząco na naszą korzyść. Dlatego sami będziemy o tym przypominać. Chociaż oczywiście sztab centralny i polityka krajowa to jedno, a kandydaci w regionach, którzy muszą poprowadzić dobrze skrojoną kampanię wśród swoich wyborców, to drugie. W kampanii samorządowej nie ma jednego, uniwersalnego schematu.

Obstawiam, że czeka nas klasyczna nawalanka między PiS a Platformą, w której nie będzie miejsca na sprawy lokalne.

W kampanii wyborczej oprócz tego, że dużą rolę odgrywają kampania wizerunkowa z billboardami i spotami oraz działania w mediach społecznościowych, to wciąż najważniejszym polem bitwy pozostaje przekaz medialny. To, czym media są zainteresowane, warunkuje działania sztabów wyborczych, a siłą rzeczy kanały informacyjne, gazety, tygodniki są zainteresowane przede wszystkim polityką ogólnopolską i aktualnym sporem politycznym. Sztaby muszą zatem na to zapotrzebowanie odpowiadać. Jeśli ktoś źle wyczuwa nastawienie mediów, to nie odniesie sukcesu w żadnej kampanii. Oczywiście strategie należy opracowywać dużo wcześniej, niemniej później trzeba systematycznie reagować na to, co się dzieje w mediach.

Ludowcy byli i pozostają strategicznym konkurentem dla Zjednoczonej Prawicy. Dodatkowo walczą o przetrwanie. Jeśli PSL straci władzę w czterech sejmikach na ścianie wschodniej, to zacznie się chwiać w posadach

Powiedział pan, że kandydaci w regionach muszą mieć dobrze skrojoną kampanię. Patryk Jaki w Warszawie taką ma?

Uważam, że podjął słuszną decyzję, że w Warszawie należy odejść od sporu ideologicznego. Wyciągnął wnioski z referendalnej kampanii w 2013 r., kiedy mocne upolitycznienie i upartyjnienie przechyliły szalę na korzyść Hanny Gronkiewicz-Waltz, i to w ostatnim momencie. Wcześniej wszystko wskazywało na to, że pani prezydent polegnie, i byłby to pewnie początek upadku Donalda Tuska. Do dziś nie mogę sobie darować, że nie wykorzystaliśmy wówczas tej szansy. Patryk Jaki koncentruje się na sprawach stricte lokalnych, na

eprasa.pl cfc5ba4834

problemach dzielnic, problemach komunikacyjnych itd. I to – moim zdaniem – jest właściwy kierunek. Jego kampania sprawia wrażenie dynamicznej i pomysłowej. Jest bardzo widoczny. Nie wiem, czy umożliwi mu to zwycięstwo, ponieważ strata strukturalna do kandydata PO była i jest znacząca, natomiast wciąż liczy się w walce i powiększa elektorat, mimo że wielu komentatorów skazywało go na pożarcie.

Wiele osób po prawej stronie zdaje się o tym zapominać, windując oczekiwania stwierdzeniami, że Patryk Jaki ma wygraną w kieszeni. Sam PiS też dał się trochę wpuścić w narrację, że to o Warszawę rozegra się decydujący w tych wyborach bój.

Uważam, że jeżeli Patryk Jaki ma szansę wygrać, to tylko w bezprecedensowy sposób mobilizując ludzi, którzy dotąd nie chodzili głosować. To zresztą jest szersze pytanie – jak zachowają się ludzie, którzy nie brali udziału w ostatnich wyborach, a obecnie deklarują poparcie dla naszego rządu w wyniku różnych programów społecznych. Jaki musi zmobilizować ogromną armię wyborców, którzy dotąd siedzieli na ławce rezerwowych. Nie zrobi tego, usypiając swoich zwolenników, ale wydaje mi się, że sam Jaki nie winduje tych oczekiwań. Ja staram się zawsze podkreślać, że w Warszawie różnica w poziomie poparcia między nami a opozycją jest bardzo duża na korzyść opozycji i to, że kampania Rafała Trzaskowskiego ma liczne wpadki i jest powszechnie krytykowana, absolutnie nie przesądza tego, że on te wybory już przegrał. Niemniej nawet jeśli Patryk Jaki nie wygra z Trzaskowskim, to energia jego kampanii ma szansę przełożyć się na rezultat Zjednoczonej Prawicy w warszawskich okręgach do sejmiku mazowieckiego, a także w wyborach do rady miasta.

Na konwencji wybrzmiał apel premiera, by „wybrać gospodarzy, którzy potrafią współpracować z rządem PiS". To samo mówił też prezes Kaczyński. Opozycja nazywa to szantażem i korupcją polityczną.

Odpowiem na ten zarzut wymownym przykładem. W Radomiu przez dwie kadencje rządził prezydent z PiS Andrzej Kosztowniak. Kiedy w 2014 r., na kilka miesięcy przed wyborami samorządowymi, premierem została pochodząca z Radomia Ewa Kopacz, podczas licznych konferencji prasowych mówiła wprost: jeżeli wybierzecie kandydata PO, to spłyną na was wielkie inwestycje centralne. Mieszkańcy Radomia ulegli tej pokusie, wybrali minimalną przewagą Radosława Witkowskiego z Platformy. Zapowiadane inwestycje w ciągu roku rządów Platformy i Witkowskiego rzecz jasna w ogóle do Radomia nie trafiły. Natomiast w okresie trzech lat naszych rządów bardzo wiele środków budżetowych zostało tam skierowanych pomimo tego, że nie rządzi już nasz prezydent. Jeśli zatem ktoś stosował jakikolwiek szantaż, to w wielu wypadkach w latach 2010 i w 2014 r. była to Platforma Obywatelska. W bardzo wielu miejscach na poziomie wojewódzkim taki szantaż stosuje także PSL, wiążąc ze sobą wójtów. Wielu z nich chętnie by odeszło, ale wiedzą, że wtedy stracą jakiekolwiek szanse na zdobycie środków z funduszy unijnych dla swojej gminy. PO i PSL, które ten mechanizm opanowały do perfekcji, dzisiaj atakują nas za dość oczywiste słowa, że rząd pragnie mieć w samorządowcach partnera.

Jako polityk, który dobrze zna się na kampaniach, jak pan wytłumaczy taktykę opozycji stawiania głównie na przekaz negatywny: straszenie Kaczyńskim i PiS. Nie zadziałało w 2015 r. Dlaczego miałoby zadziałać teraz?

Uwzględniając mechanizm polityczny, Grzegorz Schetyna podjął świadomą i całkiem zrozumiałą decyzję, by obecną kadencję, włącznie z przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi, poświęcić na umocnienie swojej władzy w Platformie i rozszerzenie wpływów na całą Koalicję Obywatelską, czyli ściągnięcie do siebie Nowoczesnej, części lewicy i kogo się da. Odnoszę wrażenie, że dopiero w toku kolejnej kadencji będzie walczył o wyborcze zwycięstwo. Jego aktualne działania w oczywisty sposób nie przyczynią się do zwiększenia szans Platformy na zdobycie władzy, natomiast z całą pewnością służą cementowaniu pozycji lidera partii.

Tylko oczekiwania wobec niego są inne – musi udowodnić swojemu środowisku, że potrafi wygrywać wybory. Jeśli Platforma straci część sejmików i dużych miast, to pojawi się chęć rozliczenia lidera.

Można spodziewać się dużej frustracji działaczy Platformy w tych regionach, w których stracą władzę, ale sądzę, że Schetyna jest już na to wewnętrznie przygotowany. Ma świadomość, że w wielu sejmikach władzę przejmie PiS. Jednakże na jego korzyść działa kalendarz wyborczy. Nawet jeśli Platforma osiągnie słaby wynik w wyborach samorządowych, na co liczę, to Schetyna utrzyma swoją pozycję, bo zostanie zbyt mało czasu do wyborów europejskich, by robić jakiś wewnątrzpartyjny przewrót. Bardzo wielu polityków będzie już skoncentrowanych na tym, aby znaleźć się na listach wyborczych. Dodatkowo osobę postrzeganą jako ta, która może mu w partii zagrozić, wypchnął do kandydowania w Warszawie.

Prawica to najskuteczniejszy koalicyjny projekt polityczny w najnowszej historii Polski. Nie było nigdy formacji tak pojemnej ideowo, w której byłoby miejsce zarówno dla narodowców, konserwatywnych liberałów, jak i chadeków czy związkowców

Wierzy pan w zjednoczenie całej opozycji przeciwko PiS i Zjednoczonej Prawicy przed wyborami w 2019 r.?

Prawica to najskuteczniejszy koalicyjny projekt polityczny w najnowszej historii Polski. Nawet jeśli porównamy ugrupowania, takie jak AWS czy SLD, które odnosiły sukcesy, to nie było nigdy formacji tak pojemnej ideowo, w której byłoby miejsce zarówno dla narodowców, konserwatywnych liberałów, jak i chadeków czy związkowców. Każdy, kto zajmuje się polityką partyjną, niezależnie od oceny Jarosława Kaczyńskiego, musi przyznać, że ma on znakomite wyczucie polityczne i zmysł taktyczny. Jestem przekonany, że Grzegorz Schetyna próbuje się dzisiaj na nas wzorować, ale nie widzę w najbliższym czasie szans na powtórzenie po stronie opozycji tak dużego sukcesu. Każde przyłączenie kolejnego puzzla będzie tam z różnych przyczyn powodowało ogromny ferment i kłopoty. Osobiście nie wierzę, że to mogłoby się udać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PATRONAT HONOROWY SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

niepodległa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

WSPÓŁORGANIZATOR

PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

SPONSOR PGNiG

PARTNERZY PKP INTERCITY

PZL-ŚWIDNIK a LEONARDO HELICOPTERS company

TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl cfc5ba4834

Lewica znów idzie do wyborów podzielona. Barbara Nowacka i jej ruch z PO oraz Nowoczesną. Partia Razem Andriana Zandberga nie przyłączyła się do tej koalicji FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

Lewica w ogonie

Piotr Semka

Wybory samorządowe nie przyniosą lewicy zbyt wiele. PO dobrze wykorzystuje jej rozedrganie, a Grzegorz Schetyna nie ma ochoty na partnerstwo i wie, że może stawiać warunki

Ile już razy grana była ta sama melodia? „Lewica musi zjednoczyć się na wybory albo wiecznie będzie jedynie widzem w wojnie PiS z PO". Przez ostatnie półtora roku publicyści z lewej strony wskazywali w licznych tekstach, że wybory samorządowe to idealna okazja do tworzenia lokalnych porozumień wyborczych lewicy.

„Bez sensownego bloku liberalnego PiS przejmie wszystko, ale z samym tylko blokiem liberalnym [Kaczyński – przyp. red.] przejmie większość. Czy się to wzywającym do jedności za wszelką cenę podoba, czy nie, szalę przeważy ktoś spoza duopolu" – tak pisał Michał Sutowski na łamach „Krytyki Politycznej" w kwietniu bieżącego roku. Ten „ktoś" to lewica, ale zwarta, zjednoczona i sexy.

Recepty, jak do tego doprowadzić, ostatnio padały dokładnie takie same jak przed wyborami do Sejmu w 2015 r.

„Zamknąć w jednym pokoju Barbarę Nowacką, Adriana Zandberga, Roberta Biedronia i Włodzimierza Czarzastego – i tak jak na papieskim konklawe – nie wypuszczać dopóty, dopóki się nie dogadają" – ten efektowny pomysł powraca pół żartem, pół serio w rozmowach lewicowych dołów partyjnych. W tym roku miało być podobnie. Tyle że wielkim integratorem miał być tym razem Robert Biedroń, najlepiej w roli silnego kandydata całej lewicy na prezydenta Warszawy.

Miesiące jednak mijały, a od prezydenta Słupska nie można było wyciągnąć żadnej wyraźnej deklaracji. Biedroń robił tajemnicze miny, uśmiechał się promiennie i zdradzał, że, owszem, ma plan, ale za wcześnie, by go ujawniać. Tak w końcu rozpoczęła się kampania wyborcza i „najsłynniejszy polski gej" musiał zadeklarować, czy chce ponownie startować w Słupsku. 3 wrze-

eprasa.pl cfc5ba4834

śnia ogłosił, że nie chce, ale warszawską scenę już dawno zdominował pojedynek Patryk Jaki kontra Rafał Trzaskowski. A lewicę w wyborach do warszawskiego ratusza reprezentuje Jan Śpiewak na czele koalicji Wygra Warszawa, którą z jednej strony poparły partia Razem i „ruchy miejskie", a z drugiej Andrzej Rozenek z SLD. Biedroń zapowiada, że w najbliższych miesiącach będzie tworzyć swój ruch, ale pomysł, by występować z taką inicjatywą w czasie wyborów samorządowych, dziwi nawet najbardziej przyjaznych mu ludzi na lewicy. Na pewno wlec się będą za nim oskarżenia o umknięcie przed oceną swoich rządów przez słupszczan i nagłośniona przez „Newsweeka" sprawa braku reakcji prezydenta pomorskiego miasta na sygnały o wykorzystywaniu seksualnym dzieci w placówce podległej magistratowi Słupska.

Paru publicystów podało w wątpliwość czyste intencje „Newsweeka" i zasugerowało, że to tekst zniesławiający, który ma być karą za niepodporządkowanie się akcji unifikacyjnej ze strony Platformy. Jednak nikt specjalnie nie wystąpił w obronie Biedronia. Znawcy „Gazety Wyborczej" twierdzą, że gdyby naprawdę zależało jej na karierze prezydenta Słupska, to wysłałaby do jego miasta ekipę, która obaliłaby wszystkie tezy z „Newsweeka".

Biedroń spóźnił się na wybory samorządowe, a mająca pozycję faworyta w większości dużych polskich miast Platforma może go na razie lekceważyć. Jeden z platformerskich cyników ma ponoć mawiać: „Do jesieni 2019 r. mecenas Roman Giertych już coś na Biedronia wymyśli".

EFEKTOWNA KAPITULACJA

Równie gorzką pigułką jak chwiejność Biedronia jest dla postępowców pieczeniarstwo Barbary Nowackiej.

Jeszcze pięć lat temu wydawało się, że to cudowne dziecko polskiej lewicy, które ma wszystkie atuty, by być liderem szerokiego bloku – od feministek do postkomunistów. Po pierwsze, Nowacka była kobietą, a to czynnik w obozie politycznej poprawności nie bez znaczenia. Po drugie, wydawała się politycznie niezgrana i zachowująca zdrowy rozsądek. Po trzecie, jest córką zmarłej w Smoleńsku Izabeli Jarugi-Nowackiej, co dawało jej pewien kapitał szacunku nawet na prawicy.

Wszystkie te atuty Barbara Nowacka w ciągu ostatnich pięciu lat koncertowo roztrwoniła. Najpierw wdała się w polityczny alians z Januszem Palikotem akurat wtedy, gdy skandalista z Biłgoraja zaczął schodzić ze sceny politycznej. Potem wymyśliła, że jej politycznym wehikułem będzie Inicjatywa Polska – dość chaotyczny zlepek działaczy ruchów miejskich i uciekinierów z SLD, takich jak Dariusz Joński. Nowacka pojawiała się na wiecach KOD i czarnych marszach, ale dla jej osobistej kariery politycznej niewiele z tego wynikało. A po drodze gdzieś przyblakł jej niegdysiejszy wdzięk „niezacietrzewionej dziewczyny z warkoczami", a pojawił się wizerunek kobiety niemającej zdolności do utrzymania wokół siebie większej grupy polityków. Cynicy z SLD nigdy nie kryli, że nie cenią jej zdolności politycznych, a feministki dbały o to, by nie przesłoniła nikogo z ich niezwykle ambitnego grona. Złośliwi twierdzili, że w tej sytuacji tylko kwestią czasu będzie, kiedy ktoś weźmie Barbarę Nowacką za rączkę i poprowadzi, tak jak kiedyś Palikot, do swego obozu politycznego. Tym kimś okazał się Grzegorz Schetyna, który skutecznie skusił Nowacką do wejścia do koalicji obywatelskiej PO z Nowoczesną. Jakie to były polityczne frukty? Być może „biorące" miejsce do europarlamentu albo jakaś oferta w wyborach sejmowych. Niezależnie od tego, co to było, Nowacka wytłumaczyła swój akces do koalicji obywatelskiej całą sekwencją górnolotnych wypowiedzi.

„Nawet jeśli istnieją znaczące różnice programowe dotyczące kwestii światopoglądowych czy gospodarczych, to można je rozstrzygnąć tylko wtedy, kiedy reguły państwa demokratycznego zostaną przywrócone" – mówiła Nowacka na portalu koduj.24. Bardzo wyraźnie Nowacka odcięła się też od prezydenta Słupska. „Poza moją osobistą sympatią do Roberta nie wiem, co on chciałby zaproponować [...] nie wiem, co Robert będzie proponował w swoim ruchu w sprawach gospodarczych. Nie wiem, na ile będzie chciał w sprawach wolnościowych wykazać zdecydowanie na temat równouprawnienia kobiet, prawa do aborcji. To nie jest pytanie o jego osobiste poglądy, ale o strategię, którą przyjmie".

Schetyna kolejny raz pokazuje, że wie, jak kupować ludzi z rywalizujących obozów. Cztery lata temu Platforma przyciągnęła do siebie Włodzimierza Cimoszewicza, Marka Borowskiego i Dariusza Rosatiego z obozu Kwaśniewskiego. Teraz lider PO „kupił" sobie Barbarę Nowacką formalnie z całym jej ugrupowaniem. Wizja, w której w platformerskim klubie w Brukseli spotykają się Nowacka z Kazimierzem Michałem Ujazdowskim, nie jest wydumana.

WOLNA AMERYKANKA

Tak brutalnej, ale skutecznej polityce PO towarzyszą w obozie medialnej lewicy słabe głosy protestu. Rafał Woś pisał na Twitterze: „Najpierw Robert Biedroń urywa się liberałom i mówi, że będzie budował coś swojego. Zaraz potem idzie instrumentalny i grający homofobicznymi skojarzeniami atak w czołowym liberalnym medium. Ale to liberałowie są tym fajnym, naturalnym sojusznikiem lewicy. O matko…". Michał Sutowski z „Krytyki Politycznej" odkrył po latach, że „Newsweek" Tomasza Lisa posługuje się insynuacjami, a Jacek Żakowski jedynie załamał ręce, że wciąż panuje dogmat budowania opozycji tylko wokół Platformy. Znając ostrość tych samych publicystów w innych sprawach, nie można nie odnieść wrażenia, że ich wyrazy sympatii dla Biedronia mają temperaturę letniej zupy.

Dopiero teraz widać wyraźnie, jak sprawnie Grzegorz Schetyna zepchnął lewicę na ogon sondaży w wyborach na prezydentów miast. Najpierw partie lewicy miały nadzieję, że ich kandydatami mogą być przedstawiciele Nowoczesnej. W Gdańsku takie nadzieje wiązano z Ewą Lieder, a np. we Wrocławiu z Michałem Jarosem, choć ten ostatni bardziej kojarzył się z wrażliwością na kwestie obyczajowe niż rynkową gospodarkę. W końcu Schetyna doczekał się detronizacji Ryszarda Petru i akceptacji Katarzyny Lubnauer dla roli młodszego brata Platformy w koalicji obywatelskiej. Jedni kandydaci Nowoczesnej, tacy jak Paweł Rabiej i Michał Jaros, zostali zastępcami kandydatów PO, inni usunęli się w cień, tak jak w Gdańsku Ewa Lieder, którą zastąpił w roli wicekandydata stojącego za Jarosławem Wałęsą młody polityk Nowoczesnej Dominik Kwiatkowski. Politycy partii tradycyjnej lewicy zostali na lodzie.

PO OMACKU

Z nowej sytuacji skorzystał SLD, który od początku roku przeżywa renesans swoich wpływów, w sondażach dostaje do 10 proc. i w kampanii zamierza jeszcze raz wzmocnić swoją pozycję. Niekiedy ten renesans postkomunistów przyjmuje

eprasa.pl cfc5ba4834

zaskakującą formę. Oto w Gdańsku kandydat SLD Andrzej Ceynowa, który praktycznie nie prowadzi kampanii, i tak ma 3,1 proc.

W Warszawie Partia Razem i ruchy miejskie stworzyły komitet Wygra Warszawa na czele z Janem Śpiewakiem. Ten były pionier nagłośnienia afery reprywatyzacyjnej prowadzi dość chaotyczną kampanię. Na razie na cel wziął Patryka Jakiego, który w opinii Śpiewaka reprezentuje partię niewiele lepszą w kwestii czyszczenia kamienic od Platformy. Potem Śpiewak zaczął ścigać się z Rafałem Trzaskowskim, kto jest bardziej postępowy obyczajowo, i zasłynął podpisaniem karty praw osób LGBT i obietnicą wskrzeszenia „Tęczy" na pl. Zbawiciela. Nie przełożyło się to na jakiś skok w sondażach i obecnie to Andrzej Rozenek z SLD z wynikiem 4,9 proc. (sondaż IBRiS z 30 sierpnia) ma w Warszawie pozycję numer trzy, po kandydatach PO i PiS. Sam Śpiewak był na odległej piątej pozycji (za niezależnym samorządowcem Jackiem Wojciechowiczem), uzyskując jedynie 3,1 proc.

Związaną z miejskimi aktywistami Justynę Glusman wspiera 1,3 proc., a Piotr Ikonowicz może liczyć tylko na 0,8 proc. poparcia.

Zza pleców Śpiewaka coraz wyraźniej wysuwa się na pierwszy plan Paulina Piechna-Więckiewicz, która rzuca wyzwanie Platformie. Jak wskazuje ta działaczka Inicjatywy Polskiej: „Głęboko nie zgadzam się z tym, że albo Koalicja Obywatelska, albo śmierć. Nie wyobrażam sobie, że moi wyborcy i wyborczynie w pakiecie ze mną dostają Grzegorza Schetynę. Nie da się tworzyć agendy lewicowej w Platformie". Trudno nie odebrać tych słów jako wyzwania wobec drogi politycznej, którą przyjęła Barbara Nowacka.

Spojrzenie na inne duże polskie miasta pokazuje jednak, że ci, którzy chcą na lewicy iść swoją drogą, są skłóceni i słabi.

We Wrocławiu osobno startuje wspierana przez Partię Razem Maria Lempart, a osobno Małgorzata Tracz z partii Zieloni. Lempart uzyskała w ostatnim wrocławskim sondażu z 30 sierpnia 3,9 proc., a Małgorzata Tracz – 2,2 proc. Dlaczego nie mogły się dogadać? Osoba dobrze znająca wrocławską lewicę mówi: „Oba środowiska nie potrafią się dogadać, bo im dalej od realnej polityki, tym więcej na lewicy osób o bardzo wysokim stopniu indywidualizmu i rygoryzmu ideowego. Spór miała rozładować wysłanniczka prezydium partii Razem Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, ale jej przyjazd i przemówienia z pozycji »kogoś z centrali« jeszcze dolały oliwy do ognia".

Nie lepiej jest w Gdańsku, gdzie – jak wskazują sondaże – o wejście do II tury walczy Jarosław Wałęsa z Koalicji Obywatelskiej przeciw dotychczasowemu prezydentowi Pawłowi Adamowiczowi (wspieranemu przez część PO) i z Kacprem Płażyńskim z PiS. Po nich w sondażach jest długo, długo nic i wreszcie wspomniany już Andrzej Ceynowa oraz Elżbieta Jachlewska stojąca na czele koalicji Lepszy Gdańsk z wynikiem 2,6 proc. Jachlewska wywodząca się z Partii Kobiet początkowo zachowywała umiar, ale ostatnio przeforsowała protest koalicji Lepszy Gdańsk przeciw katolickiemu charakterowi uroczystości 1 września na Westerplatte. Jachlewska głosi, że jeśli miałby już być ktoś z Kościoła katolickiego, to równoważyć go powinni kapłani innych religii, włącznie z osobnym przedstawicielem ateistów. Takie nastawienie spycha Kongres Ruchów Miejskich do sekciarskiego narożnika.

W KÓŁKO TO SAMO

W żadnym z 10 największych polskich miast kandydat lewicy nie ma szans przejścia do II tury. Ponieważ lewicowcy uzyskują stosunkowo słabe wyniki, kandydaci Koalicji Obywatelskiej nie będą nawet musieli iść na duże koncesje w kwestii poparcia ich w II turze.

A przecież to wielkomiejska zdystansowana wobec Kościoła młoda inteligencja miała być dla lewicy szansą dla zaistnienia w metropoliach. Okazało się, że zabiegając o „nowych mieszczan", działacze ruchów miejskich i lewicy nie mają pomysłu, jak dotrzeć do ludności uboższej, ale nie mającej ochoty na hasła rewolucji obyczajowej. To Patryk Jaki czuje się jak ryba w wodzie, odwiedzając kolejne warszawskie blokowiska, a nie Paweł Śpiewak, który reklamuje swoją walkę z elitarnym układem warszawskim.

Lewica płaci też cenę za brak liderów, którzy łączyliby talent polityczny ze zdecydowaniem. Przykłady Roberta Biedronia i Barbary Nowackiej pokazują, jak bardzo bycie pieszczochem TVN czy „Gazety Wyborczej" oducza aktywności i woli walki. Z kolei tacy polityczni self-made mani jak Jan Śpiewak szarpią się między deklaracjami rzucenia wyzwania PO a wywieranym na nich naciskiem, by byli gorliwymi antykaczystami.

Platforma doskonale wykorzystuje to rozedrganie. Wie, że lewicowa opinia publiczna pozostawia swoim politykom jedynie wybór między Frontem Jedności Narodowej antykaczyzmu albo działalnością w pojedynkę bez pieniędzy i struktur. Gdy wspomniany już Rafał Woś zaproponował w dość spokojnym tonie, by lewica choćby dla umysłowego ćwiczenia zastanowiła się nad jakąś formą koalicji z PiS, posypały się na niego klątwy jak na politycznego heretyka. Od Wosia odciął się jego tygodnik „Polityka", mimo że swą opinię wyraził na łamach portalu Gazeta.pl. Charakterystyczny był ton reprymendy Anny Marii Żukowskiej, rzeczniczki SLD: „Dobra, Rafał Woś było zabawnie, byłeś naczelnym symetrystą kraju, było cacy. Ale teraz odbiło ci już do imentu. Z kolaborantami PiS nie mam ochoty mieć nic wspólnego. Lewica to nie tylko socjal, to także strefa wolności. Jeśli tego nie rozumiesz, nie nazywaj się człowiekiem lewicy".

Skoro lewica ma zablokowaną drogę do koalicji z PiS, to zdana jest na warunki Platformy. A Grzegorz Schetyna na żadne partnerstwo nie ma ochoty. Wie, że logika jedności jest najbardziej korzystna dla najsilniejszego. A w kwestii wspierania programów in vitro, mniejszości seksualnych i feminizmu kandydaci Koalicji Obywatelskiej nie dają się wyprzedzić małym ugrupowaniom lewicy.

Na placu boju zostaje SLD. Publicysta „Gazety Wyborczej" Witold Mrozek już poucza mniejsze partie lewicy, na czele z partią Razem, że nie powinny myśleć, iż „Pójść z SLD oznacza pobrudzić rączki". Biedroniowi z kolei przypomina, że to Sojusz ma strukturę i pieniądze, bez których nie da się uprawiać polityki.

Wybory samorządowe nie przyniosą lewicy zbyt wiele. Na horyzoncie jest jednak nowy show – ucieranie się inicjatywy Biedronia z licznymi środowiskami z lewej strony. Adrian Zandberg już wzywa prezydenta Słupska: „Porozmawiajmy o Europie, porozmawiajmy o tym, co nas łączy. Jeżeli mamy wspólne pomysły porozmawiajmy o tym, czy jest możliwy, partnerski, koalicyjny start w wyborach europejskich".

Wybory, o których wspomina Zandberg, odbędą się za ponad pół roku. Akurat dość czasu na kolejny brazylijski serial tasiemiec jednoczenia się polskiej lewicy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

REKLAMA

PRENUMERATA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY

+ PAKIET KSIĄŻEK MAI LIDII KOSSAKOWSKIEJ „BRAMY ŚWIATŁOŚCI" TOM I i II

Cena: 144 zł

Oszczędność: 119 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

REKLAMA

PRENUMERATA

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY

+ PAKIET DO KUCHNI:
SMOOTHIE BLENDER MANTA 350W SBL920 ORAZ BLENDER RĘCZNY MANTA 700W HBL931

Cena: 299 zł

Oszczędność: 218 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cfc5ba4834

FOT. DAREK GOLIK/FORUM

Łapiński na oucie

Wojciech Wybranowski

Niedawni współpracownicy Krzysztofa Łapińskiego twierdzą, że poległ w kuluarowej politycznej wojnie w Kancelarii Prezydenta. Jego miejsce zająć ma teraz człowiek bliższy Nowogrodzkiej

Krzysztof Łapiński na posadzie rzecznika prezydenta utrzymał się nieco ponad rok. Jego rezygnacja wywołała zaskoczenie. Nasi informatorzy w Pałacu Prezydenckim mówią, że moment i forma tej dymisji miały zaskoczyć głowę państwa. – Dowiedział się o tym nie od swojego rzecznika, ale po godz. 22, po tym, jak Krzysiek podyktował informację o swojej dymisji jednemu z dziennikarzy. Nie rozmawiał wcześniej o tym z prezydentem – mówi nam jeden z bliskich współpracowników Andrzeja Dudy. – Tak właśnie wyglądały w ostatnim czasie jego relacje z ludźmi Dudy i nim samym – dodaje.

Nasi informatorzy twierdzą, że Łapiński rzucił się do „ucieczki do przodu", bo wszyscy tam się spodziewali, że za jakiś czas i tak nastąpi zmiana na stanowisku rzecznika. Słychać też, że krytycznie oceniano jego pracę i w Pałacu coraz częściej stawiano zarzuty, iż Łapiński wybrał „lansowanie samego siebie, a nie prezydenta".

– W mojej rezygnacji nie ma żadnego skandalu ani sensacji. Dziennikarze szukają nie wiadomo jakich rzeczy, pytają, czy może pokłóciłem się z prezydentem, czy może chodzi o treść przemówień. Nic z tego – mówi sam Krzysztof Łapiński w rozmowie z „Do Rzeczy". – Po prostu uznałem, że chcę się realizować w innej dziedzinie – przekonuje.

„DWÓR KRAKOWSKI" I WOJNA

– Otrzymywaliśmy skargi od dziennikarzy, że nie dostają odpowiedzi na pytania, co później kończyło się niepotrzebnymi awanturami w mediach, ale też, że jest grupa szczególnie uprzywilejowanych. Nie panował nad pracą biura prasowego, zresztą interesowała go ona w niewielkim stopniu – opowiada jeden z naszych rozmówców, współpracownik prezydenta.

Wiele jednak wskazuje, że sprawy „techniczne" były tylko jednym z argumen-

eprasa.pl cfc5ba4834

tów użytych w wewnętrznej pałacowej wojnie między Krzysztofem Łapińskim a Krzysztofem Szczerskim, szefem gabinetu prezydenta RP.

Łapiński zaprzecza, by między nim a najbliższym współpracownikiem prezydenta istniał konflikt [Szczerski nie odpowiedział na naszą prośbę o rozmowę – przyp. red.], ale opowieści o ostrych kuluarowych wojenkach w Pałacu Prezydenckim słyszymy od kilku osób blisko współpracujących z Andrzejem Dudą. Mówią o bardzo zawziętej rywalizacji między grupą określaną jako „dwór krakowski" – mają go tworzyć m.in. Krzysztof Szczerski, Wojciech Kolarski oraz kilku pracowników i współpracowników prezydenta Dudy z czasów krakowskich – a ludźmi, którzy do pałacu trafili z zewnątrz, w tym z Nowogrodzkiej.

– O co wojna między Łapińskim a Szczerskim? O wpływy. O to, kto będzie kształtował politykę prezydenta, kto będzie jego głównym doradcą, kto będzie odpowiadał za medialny przekaz, a przede wszystkim za relacje z Nowogrodzką – uważa jeden z ludzi prezydenta.

Łapińskiego obwiniano także za wypowiedzi, które w ocenie pałacowych przeciwników odchodzącego rzecznika nie dawały prezydentowi głosów centrowego elektoratu, za to zrażały zdeklarowanych zwolenników. Rzeczywiście Łapiński nie był ulubieńcem tzw. twardego elektoratu PiS i nieraz dawali o tym znać w mediach społecznościowych.

– Czarne chmury zbierały się nad Krzysztofem od dawna, w dodatku niedawno wstąpił do „obozu Muchy", którego pozycja rośnie, a to spowodowało, że zaczął mieć problem u Szczerskiego skonfliktowanego z Muchą – słyszymy od jednego z naszych informatorów.

„Obóz Muchy" jest tworzony przez zaplecze ministra Pawła Muchy, wiceszefa Kancelarii Prezydenta RP. To także wieloletni bliski współpracownik Andrzeja Dudy, były zachodniopomorski radny PiS, później także sekretarz stanu w KPRP. Nasze źródła pałacowe mówią, że choć formalnie szefową Kancelarii Prezydenta RP jest Halina Szymańska, to jednak faktycznie rządzi nią właśnie Mucha, dawny kolega i przełożony Szymańskiej z sejmiku zachodniopomorskiego. Nieoficjalnie mówi się, że Szymańska chce odejść z kancelarii, ma być „jedynką" na liście wyborczej PiS do Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego, co powoduje, że pozycja ministra Muchy u prezydenta

Łapińskiego na stanowisku rzecznika prezydenta zastąpić ma Bartosz Spychalski, dotychczas radny PiS w łódzkim sejmiku

FOT. PAWEŁ ŁACHETA/POLSKA PRESS/EAST NEWS

rośnie. Z Pawłem Muchą nie udało nam się porozmawiać.

– Konflikt między Szczerskim a Muchą jest konfliktem totalnym, a Łapiński stał się jego uczestnikiem. Generalnie chodzi o spory ambicjonalne związane z podziałem wpływów. Z jednej strony mamy szybką ścieżkę awansu Muchy, a apetyt rośnie w miarę jedzenia, z drugiej – Szczerskiego, który mimo całej swojej nieporadności raz pozyskanych wpływów nie odda – opisuje inny z naszych informatorów.

Krzysztof Łapiński nie jest pierwszym rzecznikiem prezydenta Andrzeja Dudy, żegnającym się z pracą w atmosferze kuluarowych wojen z „obozem krakowskim". Zastąpił na tym stanowisku Marka Magierowskiego, którego dymisji także towarzyszyły – opisywane przez „Do Rzeczy" – spekulacje o osaczaniu Dudy przez ludzi szefa prezydenckiego gabinetu. Magierowski jest dziś ambasadorem RP w Izraelu.

OD POLITYKI DO PR

Krzysztof Łapiński chce teraz założyć firmę zajmującą się PR. Niektórzy spekulowali, że celowo wybrał termin ogłoszenia decyzji o dymisji przed Forum Ekonomicznym w Krynicy, by tam od razu „łowić klientów".

– Jest dobrym fachowcem w polityce, ale czy odnajdzie się na rynku komercyjnym, czas pokaże. Dobrze mu życzę, ale musi szukać swoich unikalnych kompetencji, bo rynek jest bardzo konkurencyjny – mówi nam Adam Hofman, były rzecznik PiS, który również odszedł z polityki do PR.

Dotychczasowa przeszłość Łapińskiego to przede wszystkim polityka. Był m.in. rzecznikiem ministra koordynatora służb specjalnych Zbigniewa Wassermanna, a także rzecznikiem obecnego wicepremiera Piotra Glińskiego. W 2014 r. został zastępcą Marcina Mastalerka, ówczesnego rzecznika PiS, a później głównego PR-owca kampanii wyborczej prezydenta Andrzeja Dudy i PiS w 2015 r. Mastalerek po konflikcie z prezesem partii Jarosławem Kaczyńskim odszedł do PKN Orlen, później otworzył własną firmę, zaś Łapiński wystartował z list PiS w wyborach 2015 r. zdobywając mandat posła.

Parlamentarzystą był przez dwa lata i – jak mówi się nieoficjalnie w klubie tej partii – zdążył narazić się Kaczyńskiemu kilka razy w medialnych wypowiedziach, dając do zrozumienia, że dystansuje się od polityki tej partii. W 2017 r. został powołany przez Andrzeja Dudę na fotel prezydenckiego rzecznika.

W Kancelarii Prezydenta zasłynął z dość ostrego języka w medialnych potyczkach. Pełnił także funkcję „fightera" w konflikcie prezydenta z ludźmi Ziobry i Nowogrodzką, sporze, który wybuchł w ubiegłym roku po tym, jak Duda zawetował dwie z trzech „ustaw sądowych" PiS. Łapiński ostro ścierał się z wiceministrem Patrykiem Jakim.

– Nie wypada, żeby wiceministrowie pouczali prezydenta. Jeśli któryś z wiceministrów osiągnie taki wynik wyborczy jak prezydent, czyli zdobędzie ponad 8,5 mln głosów wyborców, to wtedy będą partnerami do dyskusji z prezydentem – mówił Łapiński, gdy Jaki pożalił się, że nie rozumie powodów prezydenckiego weta.

– Partnerem do dyskusji dla mnie nie będą ludzie od PR. Bo oni nigdy nie rozumieją, dlaczego trzeba robić PR-owskie reformy państwa – odpowiadał mu Jaki. Ich konflikt został bardzo krytycznie odebrany przez część wyborców PiS.

Łapiński publicznie podważał także pozycję w rządzie Beaty Szydło, z którą wcześniej współpracował i która – jak mówi się w PiS – pomogła mu w dalszej karierze politycznej. Przy Nowogrodzkiej dało się wtedy słyszeć głosy domagające się od prezydenta „głowy Łapińskiego".

– Po jego odejściu z KPRP prezydent traci swojego chyba dziś jedynego „fightera" i „zderzak", który ściągał na siebie gromy – uważa jeden z polityków PiS dobrze oceniających Łapińskiego.

Jak doniósł portal 300polityka.pl miejsce Łapińskiego zajmie Bartosz Spychalski, dotychczas radny PiS w łódzkim sejmiku wojewódzkim. Wcześniej współpracował z Łapińskim przy tworzeniu jego biura poselskiego, współpracował też z Marcinem Mastalerkiem. Był też pracownikiem biura prasowego Klubu Parlamentarnego PiS. Wśród posłów PiS uważany jest za zdecydowanie bliższego Nowogrodzkiej niż Łapiński.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

Dominika Arendt-Wittchen policzkująca Magdalenę Klim, działaczkę opozycyjnych radykałów

FOT. YOUTUBE/WOLNE MEDIA

Patriotyczny liść?

Łukasz Warzecha

Może przesadą byłoby twierdzić, że jesteśmy na granicy wojny domowej. Na pewno jednak dzieje się coś bardzo złego. Oby nie skończyło się powtórką z politycznego zabójstwa Marka Rosiaka w 2010 r.

To, że Dominika Arendt-Wittchen nie była w stanie kontrolować własnych emocji i 1 września na pl. Piłsudskiego w Warszawie spoliczkowała Magdalenę Klim, hałaśliwą działaczkę opozycyjnych radykałów, byłoby jeszcze do przełknięcia. Co prawda między bajki można już włożyć jakiś jeszcze czas temu powszechną opinię, że Polacy nie przejdą od słów do bitki ulicznej, ale przecież radykałowie są po obu stronach i zawsze może się zdarzyć, iż trafi swój na swego. Tyle że takie osoby powinny być otaczane swoistym kordonem sanitarnym, a ich działania nie powinny znajdować zrozumienia poza ich skrajnymi środowiskami.

JEDYNE WYJŚCIE?

Tutaj mieliśmy jednak sytuację całkowicie inną i dlatego bardzo niepokojącą. Uderzona kobieta należy faktycznie do grupy radykalnych przeciwników władzy. Modus operandi jest wśród nich od dawna ustalony: są wszędzie tam, gdzie pojawiają się przedstawiciele rządu lub prezydent; hałasują, pokrzykują, przeszkadzają, prowokują, często w wulgarny i chamski sposób. Całe ich działanie obliczone jest na wywołanie jak najgwałtowniejszej reakcji. Jeśli to im się udaje – to wygrywają, a innym przeciwnikom władzy, również tym w mediach, dostarczają pretekstu do lamentów o zamordyzmie i tłamszeniu demokracji. I w tym wypadku wygrali na całej linii. Opozycja dostała to, na co od dawna czekała: agresja i prowokacja spotkały się w końcu z fizyczną reakcją, w dodatku z bezpiecznego miejsca, zza barierek, które za rządów PiS stały się symbolem odseparowania od siebie dwóch zwalczających się plemion.

To, że od takich reakcji trzeba się powstrzymywać, rozumie świetnie szefostwo MSWiA, które dba, żeby zachowanie policji ani na jotę nie wykroczyło poza to, co absolutnie konieczne. Stąd radykałowie po stronie władzy mają poczucie, że policja pieści się z przeciwnikami rządu. To jednak jak najsłuszniejsze postępowanie. Dobrze się stało, że od zachowania pani Arendt-Wittchen odciął się zdecydowanie minister Joachim Brudziński, zarazem jednak wspominając o prowokacyjnym zachowaniu zaatakowanej kobiety.

Dominika Arendt-Wittchen nie jest ani osobą prywatną, ani członkinią radykalnej bojówki. U wojewody dolnośląskiego zajmowała się organizacją obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości. Aktywistka udzielająca się przy różnych patriotycznych inicjatywach nie była też anonimowa. Przed odwetem ze strony hałaśliwych demonstrantów chroniły ją barierki – policzek pani Klim wymierzyła od strony obszaru dla VIP-ów. Czyli z bezpiecznego miejsca. Rzec można – z pozycji władzy.

Pani Arendt-Wittchen w opublikowanym w ubiegłym tygodniu oświadczeniu wyjaśniła, że poniosły ją nerwy, a jej reakcja wynikała z emocjonalnego zaangażowania w sprawy kombatantów, dla których zakłócanie uroczystości przez przeciwników władzy było bolesne i niezrozumiałe. W Radiu Wrocław stwierdziła, że uznała, iż to „jedyne rozwiązanie".

W sukurs byłej już pełnomocnik dolnośląskiego wojewody ruszyły tysiące kibiców jej postępowania w sieci, a także niestety niektórzy dziennikarze. „Tak miało być! Spadł na nią patriotyczny liść!" – napisano na twitterowym profilu telewizji Republika. Lokalny dodatek „Gazety Polskiej", opisując działanie kobiety, użył frazy „zachowała się jak trzeba". To niby cytat z internautów, ale przecież wszyscy rozpoznali parafrazę ostatnich słów „Inki". Porównanie kobiety, która traci nad sobą kontrolę i policzkuje demonstrantkę, z młodą, niewinną dziewczyną, zamor-

eprasa.pl cfc5ba4834

dowaną przez komunistów wzbudziło u wielu potężny niesmak.

GWIZDY SŁUSZNE I NIESŁUSZNE

Co to wszystko oznacza? Najkrócej mówiąc – że ogromną rolę w życiu publicznym grają dwa plemiona, których wzajemna wrogość rośnie, a które nie widzą dla siebie nawzajem miejsca w Polsce. Grają na wzajemną anihilację, wykluczenie. Nie ma mowy o politycznym oponencie. Są tylko wrogowie, którym „patriotyczny liść" (względnie, patrząc z drugiej strony, „liść konstytucyjny") się należy.

Zachowanie Obywateli RP jest otwarcie prowokacyjne. Sama pani Klim została sfilmowana choćby, gdy pokazuje policjantom gest uznany powszechnie za obraźliwy. Grupka radykalnych przeciwników władzy, choć relatywnie niewielka, wykazuje się zaskakującą wręcz dynamiką. Pojawiają się na wielu spotkaniach, starając się je zdezorganizować okrzykami, transparentami, samą swoją obecnością.

Rosnąca irytacja zwolenników władzy tymi zachowaniami pokazuje, że w jakiejś mierze są skuteczni. I tu zaczyna się problem. W zwyczajnie funkcjonującej demokracji układ byłby jasny: wcześniej to my głośno protestowaliśmy, krzyczeliśmy czy buczeliśmy podczas przemówień rządzących, teraz robią to wobec „naszych" zwolennicy obecnej opozycji, ich prawo; za jakiś czas znów zapewne zamienimy się miejscami. Jednak w dzisiejszej Polsce wygląda to inaczej: my mamy władzę, więc wreszcie mamy środki i możliwości, żeby tych drugich ostatecznie spacyfikować.

Tłumaczenia działania pani Arendt-Wittchen, pojawiające się nie tylko w wypowiedziach internautów, lecz także sprzyjających władzy niektórych publicystów, pokazują, że panuje pełny kalizm. „Należało się jej", „Ile można te burdy tolerować", „To był wyraz niezgody na zakłócanie uroczystości", „Słuszna kara za brak szacunku wobec weteranów" – takie stwierdzenia powtarzały się najczęściej. Tyle że w czasie rządów PO spotkania i wystąpienia polityków ówczesnej władzy zakłócali zwolennicy obecnej. W marcu 2015 r. w Nowym Targu spotkanie z Bronisławem Komorowskim sabotowali zwolennicy Andrzeja Dudy pod wodzą posłanki PiS Anny Paluch. W kwietniu to samo spotkało ówczesnego prezydenta w Lublinie. W sierpniu 2014 r. zakłócano wystąpienie prezydenta Komorowskiego podczas uroczystej inauguracji marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej w Krakowie. Kilkakrotnie wybuczano przedstawicieli PO podczas uroczystości na cmentarzu Powązkowskim w rocznice wybuchu Powstania Warszawskiego. I tak dalej, i tak dalej.

Te formy protestu potrafią być, owszem, skrajnie uciążliwe. Można je też uznać za mocno niestosowne, gdy zdarzają się podczas uroczystości upamiętniających ważne dla Polaków wydarzenia. A jednak buczenia i gwizdów na cmentarzu bronili ci sami publicyści, którzy dziś oburzają się na zakłócanie uroczystości z okazji Dnia Weterana 1 września. Cóż, wtedy były to buczenia i gwizdy słuszne, dziś są niesłuszne.

Widać, że nie wszyscy radzą sobie z dyskomfortem, który tworzy obecność radykalnych politycznych przeciwników, którzy w demokracji też przecież mają swoje miejsce. Widoczną nerwowość okrzyki przeciwników wzbudziły u prezydenta Andrzeja Dudy w czasie jego wystąpienia w gdyńskim liceum z okazji rozpoczęcia roku szkolnego. Z kolei godne podziwu opanowanie w podobnych sytuacjach wykazuje była premier Beata Szydło, która z takimi formami protestu spotykała się wielokrotnie. I wielokrotnie do protestujących podchodziła, rozmawiała z nimi, umiała obniżyć napięcie. To jednak nie jest powszechna wśród polityków umiejętność.

Przede wszystkim jednak incydent na pl. Piłsudskiego pokazał, jak ogromny jest rozziew pomiędzy oczekiwaniami części elektoratu a oficjalnymi deklaracjami obozu władzy. Władza deklaruje – i te deklaracje realizuje jak dotąd w praktyce – że wszyscy korzystający ze swobody demonstrowania traktowani są tak samo, a sympatycy opozycji mogą swobodnie wyrażać swoje opinie, nawet jeśli robią to w sposób budzący u ludzi cywilizowanych sprzeciw. Jeśli policja interweniuje, to tam, gdzie jest to wyraźnie uzasadnione. Tyle że nie tego oczekuje część zwolenników PiS. „Patriotyczny liść" wywołał u wielu entuzjazm, bo – jak się wydaje – coraz silniejsze jest oczekiwanie, że „coś się zrobi" z hałaśliwymi protestującymi. Wolność wolnością, ale dość już tych krzyków: „Konstytucja!".

Nie łudźmy się – od drugiej strony wygląda to tak samo. Gdyby władzę wzięła obecna totalna opozycja, ci, których teraz oburza zachowanie pani Klim, będą buczeć i w Dzień Weterana, i na Powązkach, i gdziekolwiek się da, uznając, że przecież buczą w słusznej sprawie. A ci, którzy dziś lamentują o przemocy ze strony zwolenników władzy, będą się domagali, żeby im to buczenie uniemożliwić.

Relacje pomiędzy dwoma plemionami dawno już wykroczyły poza zwykłe demokratyczne ramy. Nie ma tu miejsca na konsens. Jest oczekiwanie, że drugiej stronie nałoży się kaganiec, a najlepiej kajdanki. A skoro nie chce tego zrobić władza, to – tak biegnie narracja obrońców „patriotycznego liścia" – trzeba wziąć sprawy w swoje ręce.

Można zrozumieć motywację, którą Arendt-Wittchen przedstawiła we wspomnianym oświadczeniu. Zrozumieć nie znaczy usprawiedliwić zachowanie. Tym bardziej że nie znajdziemy w liście winowajczyni refleksji nad tym, że to nie cywile są od wymierzania sprawiedliwości na miejscu, a inne podejście może jedynie rozkręcić spiralę przemocy. Czytamy natomiast: „Domyśliłam się, że nikt ze służb nie zamierza interweniować, choć zakłócanie uroczystości państwowych jest czynem karalnym z art. 51 kk. Atmosfera była nie do zniesienia dla osób czujących powagę chwili. […] Przez cały ten czas służby stały niewzruszone. Przyznaję, że kierowana wzburzeniem wobec niszczenia powagi i majestatu uroczystości ku czci Tych, którzy walczyli o wolność Polski, pozwoliłam sobie na gest zbyt daleko idący. Uczyniłam to w rozpaczy i uniesieniu". Problem w tym, że bardzo podobne uzasadnienie można sobie wyobrazić, odwracając sytuację, czyli wykonując „test Warzechy".

STOP!

Wyobraźmy sobie, że w roku 2020 prezydentem zostaje – czysto hipotetycznie – Donald Tusk, a 1 września na pl. Piłsudskiego pojawiają się ostatni żyjący kombatanci. Za barierkami stoją przeciwnicy Tuska i krzyczą: „Zdrajca!". Podchodzi do nich współpracownik głowy państwa i „w rozpaczy i uniesieniu" wymierza jednemu z nich policzek. A może już nie tylko policzek, bo przecież hamulce puszczą do tego czasu jeszcze bardziej – może to już będzie ostra fanga w nos. Natychmiast usprawiedliwiona przez Tuskowych sojuszników i komentowana ze świętym oburzeniem przez dzisiejszych obrońców pani Arendt-Wittchen. Naprawdę tak trudno zrozumieć, że to szaleństwo trzeba zatrzymać, jeśli to jeszcze możliwe?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

Rafał A. Ziemkiewicz
PIS miał skończyć z „imposybilizmem". Sprawa Ubera pokazuje jednak jego pierdołowatość

to nie żadna korporacja, tylko internetowa platforma pozwalająca każdemu kierowcy, który akurat ma „pusty przelot", umawiać się z internetowym autostopowiczem i „podrzucać go" za tzw. drobną grzecznością. Taka jest teoria, ale w praktyce jest to, owszem, po prostu jeszcze jedna korporacja, w której kierowcy zarabiają na wożeniu – jak to się kiedyś nazywało – „łeboli" i dzielą się tym zarobkiem z organizatorem całego przedsięwzięcia.

36

Strach przed wolnością?

Jacek Przybylski

Jeśli rząd posłucha argumentów taksówkarzy popartych przez Rafała A. Ziemkiewicza w „Do Rzeczy" z 3 września i zakaże działalności serwisów typu Uber, to hotelarze mogą zażądać delegalizacji pensjonatów i prywatnych kwater, a dziennikarze wprowadzenia zakazu pisania darmowych blogów

No to i w Krakowie już mamy – automobil – machinę poruszającą się za pomocą motoru! Osiągnięcie najnowszej cywilizacji, jak to uczenie mawia się obecnie o ludzkiej głupocie. Wszyscy zachwyceni, a taki Mycielski, taki Tomkowicz, a Kossak, a Wyczółkowski – jak toto w Rynku zobaczyli, zaraz poczuli się w samym środku Paryża! Jak to łatwo zbaranieć… Wystarczy odrobinę smrodu w nos wciągnąć, posłuchać – tur! tur! tur! pfuu! pfuu! – wystarczy popatrzeć na ów automobil i wariactwo gotowe! Stoisz na krakowskim Rynku, patrzysz na Sukiennice i Paryż widzisz! Ciekawe! No mnie nikt nie otumani! Możem staroświecka, zacofana nawet, ale niech nikt mi nawet nie próbuje wmawiać, że ten tam… automobil to cywilizacja. To zdziczenie! Lekceważenie dobrych obyczajów! Czytam sobie dzisiaj »Czas«, a tu mi ów automobil charczy przed domem! Jedzie taki, bo ma ochotę, i ludzi hałasem nęka. Egoista! I po co się to fabrykuje?! Żeby ludziom zakłócać poobiedni odpoczynek?!" – napisała 18 marca 1903 r. Antonina Domańska, autorka książek dla dzieci (cytat pochodzi z książki „Cracovie Automobile. Początki motoryzacji w Krakowie" Andrzeja Bogunia-Paczyńskiego).

Również na łamach wydawanych za oceanem dzienników w pierwszych latach XX w. ukazało się wiele tekstów o „brawurowych szoferach", którzy w szalonym tempie wyprzedzali dorożki, płosząc konie i doprowadzając do nieszczęśliwych wypadków. W 1910 r. jeden z autorów „New York Tribune" pomstował na kierowców, którzy nadużywają klaksonów „zdolnych obudzić umarłych". Nie ma wątpliwości: pojawienie się samochodu burzyło przyjęte w przedwojennych społeczeństwach normy współżycia społecznego. Automobil dla wielu był zaś wówczas niemalże ucieleśnieniem diabła. Najbardziej przerażeni byli dorożkarze, którzy starali się walczyć z nową modą, wymuszając na rządach wprowadzenie absurdalnych przepisów, np. obowiązku, aby przed każdym automobilem szedł człowiek i za pomocą specjalnych flag ostrzegał przed mechaniczną bestią.

W OBRONIE MONOPOLU

Dzisiaj obserwujemy, jak w roli diabła taksówkarze próbują obsadzić kierowców takich platform jak Uber czy Taxify, które doprowadziły do ograniczenia szkodliwego monopolu korporacji taksówkarskich.

Ich argumenty zapewne w dużej mierze bezrefleksyjnie powtórzył na łamach „Do Rzeczy" Rafał A. Ziemkiewicz. „Z punktu widzenia klienta – moim skromnym zdaniem – trzeba być naiwnym, żeby do takiego Ubera wsiadać. Bóg jeden raczy wiedzieć, czy osobnik za kierownicą ma w ogóle honorowane w Polsce prawo jazdy, o znajomości miasta i innych bardziej wyszukanych umiejętnościach nie wspominając" – napisał w „Posubotniku" w ostatnim wydaniu „Do Rzeczy".

Rafał A. Ziemkiewicz być może nie wie, że aby zostać kierowcą np. Ubera, trzeba przedstawić nie tylko aktualne prawo jazdy, lecz także zaświadczenie o niekaralności oraz potwierdzenie prowadzenia działalności gospodarczej lub podpięcie

eprasa.pl cfc5ba4834

SUBOTNIK

Na przykład

Uber

FOT. TRAX

się pod partnera, który posiada licencję na krajowy przewóz osób samochodem osobowym. Oczywiście mogą zdarzać się oszuści. Każdy pasażer po zakończeniu przejazdu ocenia jednak swojego kierowcę. Duża liczba negatywnych ocen prowadzi zaś do zablokowania danemu kierowcy możliwości świadczenia usług.

Podobne argumenty wypowiadają taksówkarze nie tylko w Polsce, lecz także w wielu krajach świata. „Naiwnych" szybko jednak przybywa. W lipcu 2017 r. pierwszy raz mieszkańcy Nowego Jorku częściej korzystali z usług Ubera niż z tradycyjnych taksówek. Koszt metalowej odznaki uprawniającej do prowadzenia legendarnej żółtej taksówki – które po metropolii jeżdżą od lat 20. XX w. – spadł więc z ponad miliona dolarów w 2014 r. do poniżej 200 tys. dol.

Jak do tego doszło? Na powstanie groźnych konkurentów latami pracowali sami taksówkarze. Arogancko odmawiając jazdy w niedogodnym dla nich kierunku, nie

REKLAMA

JEZIORO SŁABĘDZIE
ROYAL MOSCOW BALLET
JEDEN Z NAJLEPSZYCH
ZESPOŁÓW BALETOWYCH NA ŚWIECIE
14.10.2018 - COS Torwar - Warszawa
15.10.2018 - CKK Jordanki - Toruń
16.10.2018 - Sala Ziemi - Poznań
17.10.2018 - Hala Stulecia - Wrocław
18.10.2018 - Dom Muzyki i Tańca - Zabrze
19.10.2018 - ICE KRAKÓW Congress Centre
20.10.2018 - Klub Wytwórnia - Łódź
21.10.2018 - Gdynia Arena
BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK

Prestige MJM 10 lat
RADIO 103FM kolor! · radio ŁÓDŹ · Radio Poznań · RADIO WROCŁAW · PiK POLSKIE RADIO · rain · FM · wprost · DO RZECZY · GAZETA BANKOWA
WP · T3 · twoja muza · trojmiasto.pl · cgm.pl · DlaWas.info · Multikino · STRÖER · VIXON · PRESS SERVICE · pap

eprasa.pl cfc5ba4834

zatrzymując się na ulicy, a także lekceważąc niektórych klientów – np. Latynosów czy czarnoskórych.

MILIONY NAIWNYCH?

W 2017 r. za pośrednictwem Ubera – który działa już w ok. 80 krajach świata – zrealizowano 4 mld przejazdów. Tylko w Polsce „naiwnych" korzystających z Ubera jest już ponad 1,5 mln. Szybko rośnie też liczba użytkowników serwisów Taxify (w Polsce działa w Warszawie, we Wrocławiu, w Krakowie i Trójmieście) oraz BlaBlaCar, które również łączą ze sobą kierowców i pasażerów. Taksówkarze protestują, ale przecież to w dużej mierze oni sami przyczynili się do szybkiego wzrostu popularności tego typu platform. Gdy w 2017 r. „złotówy" w ramach akcji protestacyjnej celowo zakorkowały kilka polskich miast, wiele osób stwierdziło, że zamiast popierać „ulicznych terrorystów", spróbują zamówić Ubera. Do podobnych protestów doszło też w Brukseli, Londynie, Melbourne, Paryżu, Rzymie, São Paulo czy Toronto.

rze, którzy za kilkukilometrowy kurs po Warszawie potrafią zażądać ponad 1,5 tys. zł. Klienci Ubera, zamawiając samochód, wiedzą, ile powinni za niego zapłacić. Nie bez powodu usługi tego typu są więc wyjątkowo popularne wśród turystów. Wielu Polaków w obawie przed taksówkarskim oszustwem korzystało z usług serwisów takich jak Uber również podczas zagranicznych wyjazdów. Uber zapisuje bowiem dane GPS z każdego przejazdu: wiadomo więc, kto, z kim i dokąd jedzie. Łatwo też sprawdzić, czy kierowca wybrał najlepszą trasę.

„Jeśli taksówkarz wpakuje mnie na drzewo, to ubezpieczalnia będzie zobowiązana pokryć mi koszty leczenia i rehabilitacji albo przynajmniej wypłacić parę groszy wdowie. Jeśli to samo zrobi jakiś uberman, to radź se sam, frajerze, było do niego nie wsiadać" – ostrzegał Ziemkiewicz. To jeden z ulubionych argumentów taksówkarzy. Tymczasem na stronie kancelarii Żakiewicz Adwokaci czytamy, że „polisa OC chroni posiadaczy pojazdów (i tym

31 grudnia 2017 r. liczba licencjonowanych taksówek w stolicy wynosiła 11 647, czyli o 618 więcej niż w roku 2016.

OBRONA PRZED KONKURENCJĄ

Rafał A. Ziemkiewicz liczy na to, że taksówkarzy uratuje „jakieś spektakularne nieszczęście".

„Jeśli, powiedzmy, jakiś uberman z braku elementarnych umiejętności albo z brawury rozwali klienta i wtedy dopiero okaże się, że nie przysługuje mu leczenie ani odszkodowanie, albo, powiedzmy, wywiezie do lasu i zgwałci klientkę albo okradnie, albo co – to wtedy medialne wzmożenie wokół sprawy wygeneruje na samej górze impuls mocy, która, schodząc w dół, pobudzi podwładnych do aktywności" – pisze, nie wiedząc zapewne, że aplikacje typu Uber pozwalają wysłać mężowi, narzeczonemu czy przyjaciółce informację o przejeździe, co pozwala bliskim śledzić trasę przejazdu i znacząco utrudnia „wywózkę do lasu".

Ziemkiewicz nie wspomina za to o niezrozumiałych w XXI w. przywilejach taksówkarzy, takich jak choćby możliwość wjazdu na uprzywilejowane pasy dla autobusów i taxi. Być może on będzie w stanie zrozumieć, dlaczego taksówkarz jadący bez pasażera unika korków, a kierowca auta prywatnego wiozącego np. żonę i dwoje dzieci musi cierpliwie w nich stać. W wielu krajach, np. w USA, Australii czy Nowej Zelandii, przywilej korzystania z tzw. szybkich pasów mają wszyscy kierowcy, którzy – w zależności od wymogu dla danego pasa – przewożą dodatkowo co najmniej jednego, dwóch lub trzech pasażerów. I tym rzeczywiście mógłby się zająć rząd.

Tymczasem na podobną obronę przed konkurencją liczą nie tylko taksówkarze. Po tym, jak serwis Airbnb zmienił skostniały rynek turystyczny, hotelarze zaczęli przekonywać władze, że Airbnb ten rynek psuje. Jeśli tak dalej pójdzie, to z postulowanego przez Ziemkiewicza socjalistycznego podejścia do rynku powinni też skorzystać wydawcy, domagając się wreszcie wprowadzenia stosownych regulacji, zamknięcia blogów i zdelegalizowania bezpłatnych publikacji. Rządowy zakaz wysyłania bezpłatnych e-maili postawiłby też na nogi niejeden urząd pocztowy. Po takim sukcesie kolejka przedstawicieli kolejnych zawodów do urzędników byłaby długa: o ile łatwiejsze byłoby bowiem życie przedsiębiorców, gdyby o klienta nie trzeba było walczyć ceną i jakością usług…

Niezrozumiałe w XXI w. są przywileje taksówkarzy. Dlaczego taksówkarz jadący bez pasażera unika korków, a kierowca auta prywatnego, wiozącego np. żonę i dwoje dzieci, musi cierpliwie w nich stać?

W Polsce, gdzie taksówkarze tak dzielnie stają w obronie licencjonowania rynku i walczą o „ochronę pasażera", arogancja, oszustwa i brak kompetencji wśród taryfiarzy zdarzają się o wiele za często. W Warszawie, gdzie ratusz wspólnie z policją, ze strażą graniczną, strażą miejską, z Inspekcją Transportu Drogowego oraz Mazowieckim Urzędem Celno-Skarbowym prowadzi wyrywkowe kontrole kierowców, w 2017 r. skontrolowano 2060 przewoźników i aż w 612 przypadkach stwierdzono nieprawidłowości. Najczęstszym uchybieniem było prowadzenie pojazdu przez kierowców, którzy nie zdali egzaminu z przepisów i topografii miasta (380 przypadków), wykonywanie usług transportu drogowego osób bez licencji (220), brak kasy fiskalnej (128) oraz brak uprawnień do kierowania pojazdami (15 przypadków). Dwóch kierowców oznakowanych jak taksówka posługiwało się fałszywym identyfikatorem, dwóch było poszukiwanych przez policję, a jeden posługiwał się podrobionym prawem jazdy. Do rezygnacji z usług taxi zachęcają też ludzi pseudotaksówka-

samym potencjalnych poszkodowanych) bez względu na to, czy przewóz odbywa się »za uśmiech« czy za pieniądze". Oczywiście warunkiem jest to, że pojazd ma ubezpieczenie OC, a kierujący ma uprawnienia do kierowania pojazdami i nie prowadzi po spożyciu alkoholu.

W dyskusjach o regulacji przewozów pojawia się też argument podatków. Kierowcy Ubera rejestrują działalność gospodarczą i rozliczają się z fiskusem według progresywnej skali podatkowej. Tymczasem taksówkarze mogą korzystać np. z karty podatkowej. Wysokość stawki podatku zależy od liczby mieszkańców miejscowości, w której wykonują usługę, i waha się od 180 zł miesięcznie w miejscowości do 25 tys. do 221 zł w miejscowości o liczbie mieszkańców powyżej pół miliona. Taksówkarze mogą też wybrać jedną z dwóch stawek VAT: 8 proc. lub 4 proc. Można więc zapytać, panowie taryfiarze, to jakie podatki płacicie? Zastanawia też fakt, że skoro los taksówkarzy przez Ubera czy Taxify jest taki ciężki, to dlaczego w takiej choćby Warszawie ciągle ich przybywa –

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 10 WRZEŚNIA 2018

TRZYNASTY ODCINEK SERII

Moskwa pod polskim panowaniem.
Wyprawa Żółkiewskiego, bitwa pod Kłuszynem i zdobycie Moskwy.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH „ZWYCIĘZCY"

PGE Polska Grupa Energetyczna

aprasa.pl cfc5ba4834

FOT. FOTOLIA

Rodzina to przyszłość

Tomasz P. Terlikowski

Niewiele jest pomysłów, które wywołują większą wściekłość w mediach, a także w części polskiej opinii publicznej, jak te dotyczące polityki prorodzinnej. Ostatnim takim pomysłem jest sugestia, by matki czworga i więcej dzieci otrzymywały specjalną emeryturę

Zacznę od krótkiej deklaracji. Ważnej, bo od jakiegoś czasu słyszę, że moje rozważania na temat polityki prorodzinnej związane są z moją osobistą sytuacją jako ojca pięciorga dzieci. „Panie Tomku, teraz to się pan obłowi. »500+«, »300+«, a teraz jeszcze emerytura dla żony" – powtarzają mi taksówkarze, koledzy, a niekiedy nawet czytelnicy. Otóż tak się składa, że wszystkie, dokładnie wszystkie moje dzieci, przyszły na świat, gdy jeszcze o „500+" nikt nie słyszał i nikt go nawet nie planował, a rządzący powtarzali, jak teraz zwolennicy totalnej opozycji, że „jak ktoś chce mieć dzieci, to niech sam na nie zarobi". Wtedy, gdy informowało się o trzecim, czwartym czy piątym dziecku, padało raczej pytanie, czy współczuć czy gratulować, a jedyną gratyfikacją, jaką można było otrzymać, była radość spojrzenia w oczy nowo narodzonego dzieciątka. I to wtedy decydowaliśmy się z żoną na dzieci, wiedząc, że finansowo (a nie narzekamy nigdy na jakiekolwiek braki) to niewiele lub zgoła nic nie zyskamy, a jedynie – czysto ekonomicznie – stracimy. Moje poglądy na tematy prorodzinne i pronatalistyczne niewiele więc mają wspólnego z moją sytuacją, a wyrastają jedynie ze świadomości sytuacji, w jakiej znajdują się Polska i Europa.

DEMOGRAFIA, GŁUPCY!

Jaka jest to sytuacja? Otóż znajdujemy się w przededniu gigantycznej katastrofy demograficznej, która zmiecie nie tylko systemy emerytalne, ubezpieczeniowe i bankowe, lecz także Europę, jaką znamy. Tak się składa, że od wielu już dziesięcioleci w większości krajów Europy (a Polska znajduje się w tej niechlubnej statystyce na przedostatnim miejscu) przyrost naturalny jest zdecydowanie ujemny, a prosta zastępowalność pokoleń jest nieosiągalnym marzeniem. W krajach zachodnich statystyki podwyższają migranci, którzy w pierwszym i drugim pokoleniu rzeczywiście mają więcej dzieci, ale „etniczni" Europejczycy w ogromnej większości krajów realizują scenariusz powolnego samobójstwa narodowego. W Polsce, wbrew zapewnieniom o naszej chrześcijańskiej postawie, wcale nie jest inaczej. Ogromna większość Polaków ma jedno dziecko, a to oznacza, że nie istnieje naturalna zastępowalność pokoleń. Tak się bowiem składa, że aby Polaków pozostało tylu, ilu jest obecnie, przynajmniej połowa polskich kobiet musi mieć co najmniej troje dzieci. Inaczej nasz naród, nasze społeczeństwo zaczną się kurczyć.

Lewicowcy czy światopoglądowi liberałowie odpowiedzą na te

eprasa.pl cfc5ba4834

rozważania krótkim wzruszeniem ramion, sugerując, że nie ma to najmniejszego znaczenia. „Fetysz płodność" – rzucą z pogardą albo zasugerują, że w istocie liczba obywateli nie ma znaczenia dla kraju. Z każdego punktu widzenia jest to jednak bzdura. Tak się bowiem składa, że i gospodarka, i ekonomia, i system bankowy czy nawet ubezpieczenia społeczne są zależne od liczby obywateli. Jeśli zabraknie kiedyś rąk do pracy, to wbrew pozorom na poziomach wysokospecjalistycznych nie zastąpią ich migranci, nie będzie miał kto utrzymywać systemu emerytalnego, a banki zaczną bankrutować, bo nie będzie miał kto i czego w nich inwestować. Polityka demograficzna (czyli ujmując rzecz wprost – skłonienie Polek i Polaków do posiadania większej liczby dzieci) jest ściśle powiązana z dalekosiężnymi planami gospodarczymi. Nie ma Polski 2.0 bez rodziny trzy plus. A ujmując rzecz bardziej pesymistycznie – nie ma w ogóle Polski bez rodziny trzy plus.

Rolą polityków nie jest oczywiście wymuszanie wyborów życiowych obywateli. Jest nią jednak stwarzanie takich warunków rozwoju jednostek i najbardziej podstawowej wspólnoty, którą są małżeństwo i rodzina, żeby mogły one realizować także model życia opłacalny dla społeczeństwa i państwa. A nie ma co ukrywać, że z wielu powodów takim właśnie modelem jest rodzina wielodzietna (a może lepiej powiedzieć: duża rodzina). Więcej dzieci w rodzinach to lepsze uspołecznienie przyszłych obywateli, lepsze umiejętności współpracy w grupie, a wreszcie więcej przyszłych pracowników i podatników. Z punktu widzenia państwa – same zyski. Kłopot polega na tym, że z punktu widzenia rodziny więcej jest ekonomicznych strat niż zysków. A współczesny człowiek często myśli wyłącznie w kategoriach rachunku ekonomicznego.

JAK BISMARCK ZLIKWIDOWAŁ WIELODZIETNĄ RODZINĘ

O czym mówię? Odpowiedź jest prosta. Duża rodzina zazwyczaj oznacza, że kobieta (tak, nie będę udawał, iż chodzi o „jednego z małżonków") przez wiele lat, a czasem nigdy nie pracuje zawodowo. Wbrew temu jednak, co opowiadają liberalni komentatorzy, nie oznacza to wcale, że siedzi ona w domu. Siedzenie czy leżenie (i pachnienie) jest ostatnią z rzeczy, którą zajmuje się matka czworga, pięciorga czy siedmiorga dzieci. Ogromna większość „wielomatek" (tak często się one same określają) od rana do wieczora jest na nogach. Gotuje, sprząta, zajmuje się dziećmi, a bardzo często jeszcze dorabia na różne sposoby (zazwyczaj nie na etacie, bo jest to zwyczajnie niemożliwe). Co to oznacza dla dzieci? Matka jest w domu, ma dla nich czas i możliwość uczestnictwa w ich rozwoju – co emocjonalnie i wychowawczo jest darem, którego niczym nie da się zastąpić. Co to oznacza dla ekonomii w domu? Jedną pensję mniej, mniej środków, mniej możliwości. I choć – co także wynika ze statystyk – „wieloojcowie" zazwyczaj zarabiają lepiej niż ojcowie statystycznych rodzin, to i tak poziom bezpieczeństwa ekonomicznego dużych rodzin wyraźnie spada.

Program „500+" był i jest lekarstwem na ten problem. Jest jednak też inne zjawisko, które sprawia, że sytuacja dużych rodzin jest gorsza. Otóż tak się składa, że matki w dużych rodzinach są pozbawione bezpieczeństwa emerytalnego. Emerytura, w związku z tym, że przez wiele lat nie pracowały one zawodowo, ich nie widzi, pomija je. A wszystko to w sytuacji, gdy… mają one o wiele większe „zasługi" dla systemu emerytalnego niż ich pracujące koleżanki. Dlaczego? Tak się bowiem składa, że wbrew temu, co nam się opowiada, system obecny nie ma nic wspólnego z odkładaniem. Wszystko, co wpłacimy obecnie na emerytury, zostaje natychmiast przetransferowane do dzisiejszych emerytów. Nasze świadczenia będą więc wypłacane z tego, co wpłacą do systemu nasze dzieci. Więcej dzieci oznacza więc więcej płatników i większe emerytury. Mniej oznacza stopniowy krach systemu, który znamy. Paradoksem jest zaś to, że te rodziny, które najmocniej działają na rzecz utrzymania systemu solidarności międzypokoleniowej, są przez ów system najmocniej uderzane po kieszeni.

Oczywiście można powiedzieć, że trzeba zlikwidować system bismarckowski i zastąpić go jakimś innym. I pewnie prędzej czy później tak się stanie, bo… system emerytalny nie jest w stanie wytrzymać odwróconego trójkąta demograficznego, w którym jedno dziecko ma utrzymywać emerytalnie dwoje rodziców, czworo dziadków, a czasem jeszcze (w związku z wydłużaniem się życia) szesnaściorga pradziadków. To musi upaść. Zanim się to jednak stanie, trzeba przywrócić choćby elementarną sprawiedliwość i doprowadzić do sytuacji, w której najbardziej zaangażowani w solidarność międzypokoleniową nie będą tracili najwięcej. I takim właśnie projektem jest pomysł emerytury dla matek czworga i więcej dzieci.

POMYSŁ DOBRY, CHOĆ NIE NAJLEPSZY

Dzięki takiemu rozwiązaniu zaangażowanie kobiet w rodzenie i wychowanie dzieci przestanie być wreszcie – z punktu widzenia własnej emerytury – szaleństwem ekonomicznym. Teraz kobiety, które najwięcej robią dla systemu emerytalnego (mimowolnie, bo oczywiście nikt nie rodzi dzieci, aby inni mieli emerytury), są przez niego całkowicie ignorowane. Wprowadzanie specjalnej emerytury dla nich, nawet jeśli najmniejszej – jak to proponuje Prawo i Sprawiedliwość – zmieni tę absolutną niesprawiedliwość i wprowadzi minimum bezpieczeństwa socjalnego dla kobiet.

Inna rzecz, że istnieją lepsze i jeszcze bardziej sprawiedliwe systemy, które wiążą wielodzietność z systemem emerytalnym i choćby częściowo niwelują drastyczne wady systemu bismarckowskiego. O czym mówię? Choćby o tym, co proponują eksperci Związku Dużych Rodzin Trzy Plus, czyli o sytuacji, w której dzieci mogą przekazać część swojej składki emerytalnej nie na wszystkich, ale na swoich rodziców. Im większa ta część, tym lepiej dla matek, ponieważ wiąże to liczbę własnych dzieci z poziomem własnego bezpieczeństwa emerytalnego. A jakby tego było mało, sprawia to, że rodzinie „opłaca się" nie tylko lepiej wykształcić swoje dzieci (co oznacza większą składkę emerytalną, a co za tym idzie – większą część na własną emeryturę), lecz także skłaniać je do pozostania w kraju.

Nie, nie twierdzę przy tym, że rozwiązania emerytalne sprawią, iż natychmiast zostanie zasypana dziura demograficzna. Kwestia posiadania lub nieposiadania dzieci to nie tylko kwestia ekonomii, lecz także przede wszystkim kultury. Politycy jednak mogą i powinni robić wszystko, by posiadanie dzieci, tak ważne z punktu widzenia przyszłości państwa, nie było szaleństwem ekonomicznym i by niewątpliwe wady obecnego systemu były naprawiane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

Żerowanie na tragedii

Agnieszka Niewińska

Tworzenie tabloidu to jak żonglerka granatem – mówią medioznawcy. Redaktorom „Faktu" taki granat właśnie wybuchł w rękach

To nie powinno się było wydarzyć – napisał w swoim oświadczeniu Robert Feluś, były już redaktor naczelny „Faktu", po tym jak w weekendowym wydaniu tego tabloidu temat numeru, którym była śmierć syna byłego premiera Leszka Millera, redakcja okrasiła tytułem: „Ojciec wybrał politykę, a syn sznur". – Wykazaliśmy się brakiem szacunku, przekraczając granicę dobrego smaku i zasad, które powinny przyświecać zawodowi dziennikarza – tłumaczył się Feluś. Zanim wystosował oświadczenie, osobliwe przeprosiny skierowane do „wszystkich, którzy czują się urażeni tytułem" zamieścił na Twitterze, przy okazji dołączając zdjęcie gazetowej rozkładówki z tytułem, który wprawił w osłupienie czytelników. W ubiegły poniedziałek Feluś złożył rezygnację, którą przyjął wydawca dziennika – Ringier Axel Springer Polska. Gigantyczna fala krytyki – i to ponad podziałami politycznymi – sprawiła, że w „Fakcie" musiała spaść jakaś głowa.

– Redakcja najwyraźniej nie wzięła pod uwagę tego, że Polacy w przypadku śmierci odnoszą się z większą empatią nawet do niekoniecznie lubianego polityka. Pojawia się w nas poczucie pewnej więzi, bierzemy pod uwagę jego ból i stratę, bo zdajemy sobie sprawę, że nas też to może dotknąć – ocenia medioznawca prof. Jacek Dąbała. I dodaje, że w zachodnich tabloidach równie ostry tytuł pewnie nie wywołałby takiej burzy. Specyfika polskiego odbiorcy jest jednak jego zdaniem inna. – Ze względu na tradycje kulturowe i religijne polski czytelnik jest bardziej konserwatywny. Tytuł sprawiający wrażenie, jakby redakcja żartowała sobie z czyjejś śmierci, nie mógł przejść bez echa.

DRASTYCZNE ZDJĘCIE ZABITEJ SIEKIERĄ

Feluś nie pierwszy raz znalazł się w ogniu krytyki. Przed trzema laty głośno było o okładce „Faktu", na której redakcja umieściła zdjęcie zalanej krwią 10-latki, którą w Kamiennej Górze napastnik kilkakrotnie uderzył w głowę siekierą. Na zdjęciu widoczna była twarz zamordowanego dziecka. Autorem zdjęć był fotoreporter „Regionalnego Tygodnika Informacyjnego", jednak jego redakcja nie zdecydowała się na publikację drastycznych zdjęć. Feluś się nie zawahał. Twierdził, że z premedytacją opublikował zdjęcia, by zwrócić uwagę na zbrodnię. – Nie miałem wątpliwości, czy zrobić taką okładkę, która odda niepojęty bezsens i okrucieństwo tej zbrodni – tłumaczył wówczas. Później jednak wystosował przeprosiny – podobne do tych po publikacji o śmierci Millera juniora: – Tak, zrobiliśmy błąd i dlatego chcemy przeprosić wszystkich, którzy poczuli się zranieni, dotknięci tą publikacją lub uznali ją za niestosowną.

Na stanowisku został. Bohaterem okładkowej publikacji nie był jednak syn

FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

eprasa.pl cfc5ba4834

byłego premiera, tylko córka mieszkańców Kamiennej Góry.

Feluś w mediach pojawił się także przy okazji ujawnionych nagrań kelnerów omawianych na nich zmian w redakcji „Faktu". W 2016 r. na łamach „Do Rzeczy" Cezary Gmyz opisał rozmowę, która miała miejsce w 2014 r. między nieżyjącym już Janem Kulczykiem i Pawłem Grasiem, ówczesnym rzecznikiem rządu Donalda Tuska. Graś skarżył się Kulczykowi na „Fakt". Żalił się, że gazeta krytykuje rząd, publikuje artykuły o córce premiera Tuska. Tłumaczył, że problem leży w redaktorze naczelnym dziennika. – PiS-iorem jest naczelny – mówił Graś. Wówczas był nim Grzegorz Jankowski (dziś prowadzi własne programy w Polsat News, Superstacji i Polskim Radiu 24).

Kulczyk dopytywał, czy „Merkelowa" nie może interweniować („Fakt" wydaje szwajcarsko-niemiecki koncern Ringier Axel Springer). Graś przyznał, że już takie rozmowy podjęli, ale bez skutku. Kulczyk z kolei obiecał interweniować u wdowy po właścicielu koncernu Axelu Springerze. Nagrana przez kelnerów rozmowa odbyła się w restauracji Amber Room w kwietniu 2014 r. Pod koniec maja 2014 r. podano informację o rozstaniu Jankowskiego z „Faktem" po 11 latach kierowania gazetą. Jego miejsce zajął właśnie Feluś. Gmyz wytykał mu, że zmienił linię gazety, rezygnując z krytyki rządzącej wówczas PO na rzecz ciosów wymierzanych ówczesnej opozycji. Feluś publicznie odpowiadał na te zarzuty, zamieszczając na Twitterze zdjęcia krytycznych wobec PO okładek tabloidu.

Robert Feluś był związany z „Faktem" od 2003 r., czyli od początku jego istnienia. Wcześniej pracował w mediach krakowskich, później przeszedł do „Super Expressu", by następnie znaleźć się w „Fakcie". – Felek – bo tak go nazywaliśmy – jest dzieckiem tabloidu. „Echo Krakowa", w którym pracował w czasach krakowskich, było popołudniówką, protoplastą tabloidu – opowiada nam były krakowski dziennikarz, dawny znajomy Felusia, który prosi o niepodawanie jego nazwiska. – Pracowaliśmy wówczas w różnych tytułach, ale spotykaliśmy się na posiedzeniu rady miejskiej, której awantury relacjonowaliśmy. Uważałem go wówczas za solidnego dziennikarza. Do „Super Expressu" poszedł w czasach, kiedy była to jeszcze gazeta z zasadami, których złamanie kończyło się wyrzuceniem z pracy. Miał nos, wyczucie. Tytuł do tekstu o śmierci syna Leszka Millera może świadczyć o tym, że to wyczucie stracił, choć biorę pod uwagę, że kolumny z tym tytułem mógł w ogóle nie widzieć – mówi nasz rozmówca.

Irakijczyków. Redakcja opublikowała fotografie obnażonego mężczyzny z workiem na głowie, dręczonego przez brytyjskich żołnierzy. Zdjęcia, jak się okazało, zostały spreparowane przez fałszerza. Redakcja musiała przepraszać czytelników i brytyjskich żołnierzy. Na pierwszej stronie gazety zamieściła całostronicowe przeprosiny.

Morgan z mediów jednak nie zniknął. Podpisał lukratywne kontrakty na wydanie książek z własnymi memuarami (do tej pory wyszły cztery tomy). Przez lata dbał zresztą o to, żeby być obiektem zainteresowania mediów – choćby za sprawą legendarnej już bójki z dziennikarzem motoryzacyjnym Jeremym Clarksonem, po której ponoć pozostała mu blizna nad okiem. Po wyrzuceniu z tabloidu Morgana przejęła telewizja, w której prowadził własne programy,

Przed trzema laty głośno było o okładce „Faktu", na której redakcja umieściła zdjęcie zalanej krwią 10-latki uderzonej w głowę siekierą

Profesor Jacek Dąbała zwraca uwagę, że tworzenie tabloidu wcale nie jest tak łatwym zadaniem, jakby się wydawało. – Tabloid to gra emocjami, i to w najbardziej ekstremalnej formie. Redaktorzy balansują na emocjonalnej granicy, oddalanie się od niej oznacza spadek wpływów dla wydawnictwa. To jak żonglerka granatem. Tym razem ten granat po prostu wybuchł redaktorom w rękach. Redaktor naczelny odpowiada za to, co pojawia się w tytule, i nawet jeśliby miał zaufanie do współpracowników, to tematowi numeru i okładce powinien poświęcić szczególną uwagę – podkreśla medioznawca i dodaje, że w świecie mediów wcale nie tak częste są przypadki, kiedy poważna wpadka kończy się natychmiastowymi dymisjami na szczycie redakcyjnej hierarchii.

LIKWIDACJA GAZETY PO 168 LATACH

Z redakcją brytyjskiego tabloidu „The Daily Mirror" w spektakularny sposób rozstał się Piers Morgan – kontrowersyjny redaktor naczelny tego tytułu. Po zwolnieniu w 2004 r. został wyprowadzony z redakcyjnego budynku przez ochronę. Pogrążyły go zdjęcia torturowanych przez brytyjskich żołnierzy

m.in. talk-show – nie tylko w Wielkiej Brytanii, lecz także w USA.

Świat mediów widział już nawet skandal, po którym tabloid po prostu zniknął z rynku. Tak stało się z brytyjskim „News of the World" – niedzielnym wydaniem „The Sun". Gazeta pożegnała się z czytelnikami 10 lipca 2011 r. po 168 latach. Powodem było wyjście na jaw, że dziennikarze włamywali się do telefonów czy skrzynek e-mailowych – nie tylko osób publicznych czy celebrytów, lecz także żołnierzy, którzy zginęli w Iraku, ofiar głośnych zbrodni, a nawet członków rodziny królewskiej. W ten sposób zdobywali materiały do wstrząsających artykułów. Po latach w sprawie skazano kilku redaktorów pisma.

„Fakt" czeka też prawna konfrontacja z Leszkiem Millerem. „W związku z rażącym naruszeniem przez dziennik »Fakt« dóbr osobistych moich i mojej najbliższej rodziny kieruję pozew sądowy przeciwko wydawcy i redaktorowi naczelnemu" – zapowiedział na Twitterze były premier. Na razie obowiązki naczelnego „Faktu" przejął Marcin Walter, dotychczasowy zastępca Roberta Felusia, który zniknął także z Onetu, gdzie prowadził program „Onet rano". Czy Feluś jak Morgan zacznie spisywać memuary?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

Z Natalią Kukulską, piosenkarką, która wydała 14. album – „Szukaj w snach”
rozmawia Grzegorz Brzozowicz

Natalia znów śpiewa dzieciom

FOT. TOMASZ URBANEK/EDITION/EAST NEWS

GRZEGORZ BRZOZOWICZ: Jak zasypia Laura, twoja półroczna córka?

NATALIA KUKULSKA: Wyczuwam podtekst w pytaniu. Tak, śpiewam Laurce kołysanki z mojej najnowszej płyty. Czasami a capella do ucha, bo te melodie mogą istnieć bez kontekstu harmonicznego. Dzięki temu przed koncertami odświeżam sobie teksty. Przy czwartej piosence Laura na ogół zasypia. Kiedy jestem zmęczona, to włączam jej płytę. Przez chwilę jest zdziwiona, o co chodzi, ale szybko się uspokaja.

A jak ty zasypiałaś jako dziecko?

Nie mam wspomnień związanych z usypianiem mnie przez mamę [wokalistkę Annę Jantar – przyp. red.]. Nie pamiętam jej. Kiedy zginęła, miałam cztery latka. Natomiast uwielbiałam drapanie po plecach i wtedy dość szybko zasypiałam. Pamiętam za to fantastyczne płyty gramofonowe ze słuchowiskami dla dzieci.

Jak się zrodził pomysł na płytę „Szukaj w snach”?

Teksty kołysanek napisał lublinianin Włodzimierz Wysocki. Karolina Rozwód, dyrektorka Teatru Starego w Lublinie, postanowiła przenieść je na scenę. Zleciła Markowi Napiórkowskiemu napisanie muzyki, a on zaproponował mi zaśpiewanie kołysanek. To był szczególny moment w moim życiu, bo oczekiwałam na przyjście na świat mojego trzeciego dziecka. Bałam się jednak skojarzeń z moją dziecięcą twórczością, której skutki odczuwam do dziś. Z drugiej strony pomyślałam sobie: Kiedy, jeśli nie teraz? Jak usłyszałam muzykę, to ogarnęła mnie kobieca zawiść, że jak ja tego nie wezmę, to ktoś inny zaśpiewa te piękne piosenki (śmiech).

Czy spektakl „Szukaj w snach” jest grany tylko w teatrze w Lublinie?

Skończyliśmy rezydencję w tym uroczym teatrze po zagraniu 17 koncertów. Planujemy wystąpić też w innych miastach. Koncert ma charakter niezwykle kojący i przeznaczony jest zdecydowanie nie tylko dla dzieci. One oczywiście są bardzo ważnym odbiorcą, ale dorośli potrafią w tej muzyce dojrzeć znacznie więcej smaczków, a nawet się wzruszyć.

W wieku siedmiu lat wkroczyłaś na profesjonalną estradę. Czy twoje dziecięce

eprasa.pl cfc5ba4834

śpiewanie wynikało z ambicji taty, Jarosława Kukulskiego – cenionego kompozytora?

Pochodziłam z rodziny muzyków i rwałam się do muzyki naturalnie. Powstawał program telewizyjny o twórczości taty i reżyser wpadł na pomysł, bym na koniec zaśpiewała piosenkę. Powstała „Co powie tata?". Po emisji telewizja została zasypana listami. Widzowie chcieli więcej piosenek z moim udziałem. Nagraliśmy maksisingla, a ponieważ rozszedł się w kosmicznym nakładzie, to Polskie Nagrania zaproponowały mi wydanie płyty tzw. długogrającej. A co do estrady, to wbrew pozorom ja tylko trzy razy na niej wystąpiłam.

W 1987 r. ukazał się drugi album – „Bajki Natalki".

Na którym pojawili się wspaniali aktorzy: Jan Kobuszewski, Anna Seniuk, Janusz Gajos, Irena Kwiatkowska. Słuchowisko reżyserował Krzysztof Kolberger. Jednak będąc dzieckiem, na szczęście nie czułam się onieśmielona. Wcześniej, przy płycie „Natalia", spotkałam się w studiu z Romanem Wilhelmim. Bardziej od niego samego zaintrygował mnie jego długi, biały szal i to, że on non stop palił papierosy. Na płycie słychać, jak mówi do mnie: „Natalka, dasz mi popielniczkę? Nie wiem, gdzie jest. Dziecinko, poszukaj". Dzisiaj uznano by to za karygodne, ale wtedy to nie robiło na nikim wrażenia. Palili wszyscy i palili wszędzie. Cała przygoda z popularnością z mojej strony wyglądała bardzo niewinne i nie czułam, że uczestniczę w jakiejś dużej grze. „Bajki Natalki" były pierwszą polską platynową płytą w historii, rozeszła się wówczas w milionowym nakładzie.

Twoje życie pewnie wywróciło się do góry nogami?

Tata czuwał, bym miała normalne dzieciństwo. Moja rodzina pochodzi z Poznańskiego, a tam jest kindersztuba – przesadne ugrzecznienie. I ja taka byłam. Kłaniałam się, mówiłam „dziękuję, nie trzeba" i machałam rzęsami. Palma mi nie odbiła. Chodziłam do normalnej podstawówki, sama jeździłam autobusami. Dopiero z perspektywy czasu zobaczyłam, jaką wagę miało to moje dziecięce śpiewanie. W nagraniach uczestniczyli najlepsi muzycy sesyjni, były profesjonalne aranżacje i dlatego te piosenki wciąż są słuchane przez dzieci oraz ich dzieci… Kolejne pokolenia do nich wracają.

Dzięki zyskom ze sprzedaży musiałaś mieć luksusowe zabawki.

Pojawiały się publikacje, że tata na mnie zarabia, że mnie tresuje. To było dla niego bardzo bolesne. Te wielkie „zyski" starczyły na zakup roweru. Rzeczywiste zarobki wyniknęły z dwóch tras koncertowych po 14 stanach Ameryki. Miałam 13 lat i w kraju nawet już nie śpiewałam, ale nie mogłam sobie odmówić takiej wycieczki. To była przygoda życia. W koncercie składankowym występowałam wraz z Krzysiem Antkowiakiem. Gwiazdami wieczoru byli: Janusz Rewiński, Irena Jarocka czy Jacek Cygan. Przychodziły do mnie tłumy za kulisy. Dostałam setki przytulanek. Co zobaczyłam, to moje, i rzeczywiście trochę zarobiłam.

Na początku lat 90. zniknęłaś z mediów.

Ogłosiliśmy z tatą, że to jest koniec mojego dziecięcego śpiewania. Jednak najwięcej wolnego czasu spędzałam zamknięta w pokoju, śpiewając do dezodorantu. W liceum zaczęłam szukać muzyków. Tata nie mógł zrozumieć, że nie chcę, by sprawował nade mną pieczę artystyczną. Wprawdzie napisał kilka piosenek na moje pierwsze płyty, ale aranżowali je moi rówieśnicy. Czułam, że chcę inaczej… Byłam z innego pokolenia.

W 1996 r., w wieku 20 lat, wydałaś pierwszą dorosłą płytę – „Światło".

Nagrałam ją własnym sumptem. Wiele piosenek powstało w słynnym Izabelin Studiu, które wynajęłam. Mieściło się wówczas w piwnicy obok pralni w prywatnym domu ówczesnego prezesa PolyGramu – Andrzeja Puczyńskiego [były muzyk zespołu Exodus – przyp. red.]. Zapach upranej pościeli zawsze będzie mi się kojarzył z tą płytą. Andrzej jednocześnie był właścicielem wytwórni Izabelin, w której nagrywali świetni artyści. Gdy usłyszał, co się odbywa w jego studiu, zaproponował mi wydanie albumu.

W tamtym czasie istniało już na rynku kilka przedstawicielstw zachodnich koncernów. Nie próbowałaś zapukać do innych firm?

Odwiedziłam Pomaton, który był filią EMI. Chciałam sprawdzić, jakie mogą mi zaproponować warunki, bo debiutancka płyta Justyny Steczkowskiej odniosła spory sukces. Zdecydowałam się jednak na Izabelin. Tam nagrywały Edyta Bartosiewicz, Kasia Nosowska, Kasia Kowalska, Anna Maria Jopek – mocna żeńska ekipa. Od początku czułam, że jestem w profesjonalnych rękach. Kasia Kanclerz, cokolwiek o niej mówić, uwielbiała swoją pracę. Promocje płyt były wypasione. Były duże budżety na teledyski. Na piosenkę „W biegu" dostałam 60 tys. zł. Większość teledysków realizował Janusz Kołodrubiec. Wszystkie dziewczyny wyglądały pięknie, bo on wszelkie niedoskonałości twarzy wypalał światłem. Niestety, przez to wiele klipów było do siebie podobnych.

Jakie nakłady osiągały twoje płyty?

Nagrałam tam pięć albumów i cztery z nich zdobyły złoto lub platynę. Debiutancka „Światło" sprzedała się w ponadstutysięcznym nakładzie, a druga – „Puls" – osiągnęła status podwójnej platyny, czyli rozeszła się w ponad 350 tys. egzemplarzy. To nieprawdopodobne, że w tak krótkim czasie zdewaluowało się pojęcie złotej płyty. Dzisiaj to jest zaledwie 15 tys. i nawet tyle albumów jest trudno sprzedać.

Na przełomie wieków miałaś wiele hitów, natomiast do pierwszej dziesiątki Listy Przebojów Programu 3 trafiła tylko „Im więcej ciebie, tym mniej".

Z Trójką miałam problem od zawsze. I mam do dziś, choć osobno wielu dziennikarzy bardzo mnie wspiera. Nie wnikam, nie zrozumiem. Prezenterzy muzyczni lansowali wtedy wszystko, co miało punkowo-rockowe korzenie, natomiast wszystko, co było lekko popowe, było według nich złe. Mnie wsparły Radio Zet i RMF FM, czyli stacje komercyjne, których słuchali wówczas młodzi.

Zarzucano ci, że stylizujesz się na Toni Braxton.

W piosenkach przemycałam swoje fascynacje muzyką soulową. Od zawsze

eprasa.pl cfc5ba4834

byłam zakochana w czarnej muzyce. W sklepie Virgin Records na Times Square spędzałam godziny na przesłuchiwaniu płyt nowych wykonawców. Przywoziłam albumy: Brownstone, Jade, SWV, Boyz II Man czy Destiny's Child. W Polsce ignorowano taką muzykę. A mnie oprócz samej muzyki fascynowała produkcja tych nagrań. To, co się działo w bicie, w chórkach i brzmieniach, było tak inne od polskich piosenek. Porównania do Toni Braxton wzięły się z podobnej estetyki. Uwielbiałam produkcje Babyface'a. Przyklejono mi łatkę polskiej Braxton, bo mój wielki przebój „Im więcej ciebie, tym mniej" przypominał stylistycznie jej „Un-Break My Heart". Proste skojarzenia – festiwalowa ballada soulowa, szeroki refren, no i utwór oparty na progresji akordów. Takich ballad są tysiące. To był czas, kiedy nie klasyfikowano muzyki według gatunków, a krytycy muzyczni znali się głównie na „rokówce", więc najprościej było napisać, że to im przypomina coś popularnego z Zachodu. Dopiero zespół Sistars przełamał takie myślenie.

Wspomniałaś o swoim zainteresowaniu produkcją muzyczną.

Myślenie o produkcji pojawiło się, kiedy zaczęłam pracować z Wojtkiem Olszakiem. Od początku mojej dorosłej kariery uczestniczyłam przy tworzeniu albumów. Wojtek był moim pierwszym producentem z prawdziwego zdarzenia. Pokazał mi, jak piosenka może brzmieć w różnych kontekstach, jak się nagrywa chórki, jakich muzyków się angażuje. Bardziej samodzielne myślenie i świadomość pojawiły się u mnie przy współpracy z Bartkiem Królikiem i Markiem Piotrowskim (czyli byłymi muzykami grupy Sistars) przy albumie „Sexi Flexi". Obecnie jest wielu wspaniałych producentów, takich jak Marcin Borys czy Bogdan Kondracki. Jest to wymagający fach. Musisz być artystą, musisz mieć warsztat muzyczny i być obeznany z najnowszą technologią.

Z czego dziś żyje artysta?

Z koncertów. Nie narzekam. W czerwcu ledwo oddychałam, a jesień mam zapchaną. Koncertuję w kilku składach i to zarówno w plenerach, jak i w małych salach. Odważne w brzmieniach i mocne są koncerty w składzie elektroakustycznym, bardzo komunikatywne są koncerty akustyczne. Występuję też z Atom String Quartet w pięknych salach i filharmoniach… I te koncerty dodają mi skrzydeł. Nie muszę już iść na jakiekolwiek kompromisy. Robię, co kocham.

W pewnym momencie zrobiłaś zwrot w swojej karierze.

Z każdą kolejną płytą lepiej poznawałam siebie. W 2001 r. zagrałam wielką trasę koncertową promującą płytę „Tobie". Jeździło z nami 10 tirów, były dwie sceny i daliśmy 10 koncertów w największych miastach. W Poznaniu przybyło 100 tys. widzów. Po wszystkim poczułam stagnację. Dwa lata później pojechałam z mężem do wymarzonej szkoły Musicians Institute w Los Angeles. Po powrocie zaczęłam układać własne melodie i pisać teksty. W końcu miałam poczucie, że śpiewam swoim głosem, że za wszystko odpowiadam.

Po powrocie ze szkoły Musicians Institute w Los Angeles zaczęłam układać własne melodie i pisać teksty

Jako jedyna z wokalistek debiutujących w latach 90. nie śpiewałaś o złych facetach.

Za to na ostatnią płytę, „Halo, tu Ziemia", napisałam piosenkę „Kobieta". Lubię traktować świat z przymrużeniem oka, z dystansem. Piszę teksty autoironiczne i zamiast ody do kobiety wyszła mi przewrotna piosenka o naszym przywarach.

Chodzi mi o to, że od 18 lat jesteś w stabilnym związku, masz troje dzieci. Jak ważna jest dla ciebie rodzina?

Najważniejsza. Kiedy moje życie się nie układa, to cały świat mi się wali. Nie jestem osobą, która tworzy pod wpływem życiowych dramatów. Mnie taka sytuacja blokuje, dlatego harmonia w moim życiu jest podstawą.

Twój mąż jest perkusistą grającym w twojej grupie. Jak on spełnia się artystycznie?

Michał jest dla mnie niezwykle ważną osobą – nie tylko jako ktoś bliski. To z nim w większości piszę piosenki, on nagrywa mój głos i rządzi w naszym domowym studiu. Jest niezwykle wszechstronny i ma otwartą głowę. Pomimo tego, że jest wybitnym perkusistą, ma potrzebę ciągłego rozwoju. Od jakiegoś czasu gra nie tylko na perkusji akustycznej, lecz także na kilku elektronicznych instrumentach perkusyjnych, ksylofonie, marimbie… Potrafi tworzyć bardzo piękne i inspirujące harmonie, ale największą frajdę sprawia mu gra na syntezatorach analogowych i modularnych. Oczywiście współpracuje nie tylko ze mną, lecz także z wieloma cenionymi artystami.

Ubiegłoroczna płyta „Halo, tu Ziemia" otworzyła nowy, elektroniczny etap w twojej twórczości.

Na pewno jest bardzo ważnym albumem autorskim i chyba najodważniejszym. Kolejnym, na którym nie idę na kompromisy. Brzmienia analogowej elektroniki są tu często dość chropowate, nie brakuje odważnych bitów. Elektroniką fascynuję się od dawna. To, co tworzę, postrzegam jako ewolucję. Niektórzy fani do tego przywykli i na to czekają, bo zmieniają się wraz ze mną. Inni zostali w latach 90. i mają do tego prawo… Najbardziej cieszą mnie nowi słuchacze, którzy mówią, że w życiu nie spodziewaliby się, iż będą słuchać Natalii Kukulskiej, a ostatnie albumy znają na pamięć.

Również wizualnie zmieniłaś się nie do poznania. Kto kreuje twoje stroje, wizerunek?

W tym wypadku też nie mam poczucia jakiejś rewolucji. Często zmieniałam wizerunek, fryzury… Album traktuję jako całościowy projekt, więc często staje się pretekstem wyrazu artystycznego również w sferze wizualnej. Przy poprzedniej płycie, „Ósmy plan", zrezygnowałam z eksponowania jakiegokolwiek wizerunku. Nawet pierwszy klip był animacją poklatkową z użyciem lalki, a w kolejnych klipach wzięłam udział symboliczny. Płyta „Halo, tu Ziemia" dała mi więcej pretekstu do zabawy formą. Najlepiej widać to w teledysku do piosenki „Kobieta", w którym w dość groteskowy sposób bawię się różnymi symbolami i stereotypami związanymi z pojęciem kobiety. Większość pomysłów wychodzi ode mnie, ale współpracuję oczywiście z reżyserami, grafikami, projektantami, którzy również mają swój ważny wkład artystyczny. Strona plastyczna jest dla mnie bardzo inspirującym środkiem wyrazu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

REPUBLIKA

JEDYNA debata polityków najważniejszych opcji parlamentarnych, współtworzona przez **widzów** i **słuchaczy**

Nagraj pytanie, zostaw komentarz - 24h na dobę, 7 dni w tygodniu

ZADZWOŃ 22 645 24 00

7x24.

Niedziela 9:05

Zapraszam
Katarzyna Gójska

Debata **NA ŻYWO** z Polskiego Radia 24

Polskie Radio 24.

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl cfc5ba4834

Piotr Gociek

Psy 3: powrót Despero

Władysław Pasikowski swoim „Pitbullem" składa hołd oryginalnemu hitowi Patryka Vegi sprzed lat. I przypomina, że jest o klasę lepszym reżyserem

Miło jest zobaczyć tę ferajnę po tylu latach. Od premiery głośnego kinowego, oryginalnego „Pitbulla" Patryka Vegi minęło 13 lat, od emisji ostatniego odcinka serialu TVP – 10 lat. Wiele się zmieniło. Aspirant Metyl (Krzysztof Stroiński) znów pracuje w warszawskiej policji i nie pije. Podkomisarz Nielat (Rafał Mohr) ma już nową ksywę: Quantico, bo zdążył przejść przeszkolenie u Amerykanów i zamiast pięściami może wymachiwać laptopem. Podkomisarz Despero zapuścił wąsa i użera się z pijakami na pomorskiej prowincji. Brakuje Gebelsa (Andrzej Grabowski), ale on miał przecież swój come back w dwóch kinowych sequelach „Pitbulla" z 2016 r. („Nowe porządki" i „Niebezpieczne kobiety").

PASIKOWSKI VS VEGA

Zmienił się też reżyser. Film „Pitbull. Ostatni pies" napisał i wyreżyserował Władysław Pasikowski. Vega pożegnał się bowiem z marką „Pitbull" i pożeglował ku własnym „Kobietom mafii" i „Botoksowi". Różnicę widać na ekranie. Pasikowski to reżyser zupełnie innego kalibru niż Vega, który od czasu głośnego debiutu zdążył się już pożegnać z tytułem „dobrze zapowiadającego się twórcy" i został autorem świetnie sprzedających się półproduktów. Pasikowski natomiast czuje kino i potrafi opowiadać jak mało kto nad Wisłą. Owszem, przydarzyło mu się haniebne „Pokłosie", ale talentu nie stracił, widać to po tym, jak ładnie ustawia kadry w swoim „Pitbullu", jak pracuje światłem. To robota dużo ciekawsza niż stylistyka bogatych teledysków disco polo, jaką świadomie rozwija w swoich ostatnich produkcjach kinowych Vega (proszę sobie przypomnieć nieszczęsne sceny miłosne znad Morza Śródziemnego, które dopiero co oglądaliśmy w „Kobietach mafii"). Zaś co do Pasikowskiego, niedawno trafiłem na telewizyjną powtórkę jego „Słodko gorzkiego" sprzed ponad 20 lat i byłem zaskoczony, jak dobrze wytrzymał próbę czasu, bo to wciąż jest dobra kinowa robota. Można mieć drony do bajeranckich ujęć z powietrza (jak Vega), a można po prostu wiedzieć, gdzie postawić kamerę.

Fabułę „Ostatniego psa" tworzą dwa wątki, które szybko splatają się w jeden. Ginie zamordowany przez nieznanych sprawców gliniarz, niejaki Soczek. Jego samochód wylatuje w powietrze na parkingu pod domem. Czy to robota niemieckiego gangu, czy w sprawę wmieszała się krajowa przestępcza konkurencja – nie wiadomo. Soczek przejął ostatnio parę niebezpiecznych spraw, niejeden bandzior mógł życzyć sobie jego śmierci. Jednocześnie przyglądamy się rosnącym ambicjom Gawrona (Cezary Pazura), bossa pruszkowskiej mafii, który szykuje operację odbicia z więzienia pewnego szczególnie niebezpiecznego więźnia. Dzieje się także w życiu osobistym Gawrona, któremu wpadła w oko piękna i niesforna kelnerka Mira (Dorota Rabczewska, szerzej znana jako Doda), która szybko zostaje jego żoną. I – chcąc nie chcąc – staje się świadkiem rozmaitych mało legalnych interesów.

Policjanci o planach Gawrona początkowo nie wiedzą, bo ich uwaga jest skoncentrowana na wykryciu sprawców zabójstwa Soczka. W końcu „zginął jeden z nas", przypomina komendant stołecznej policji (Marian Dziędziel). Metyl i Quantico przygotowują plan zinfiltrowania przestępczego podziemia, plan, w którym główną rolę ma odegrać Despero, zadziwiająco podobny do pewnego kilera chwilowo odsiadującego wyrok w Kaliningradzie. Oczywiście w chwili, gdy Despero zacznie już grać swą rolę, obraz zacznie się rozjaśniać, w miarę jak jego nowy szef zacznie dopuszczać go do rozmaitych sekretów.

Luźne kontynuacje „Pitbulla" nakręcone przez Vegę wykorzystywały jedynie rozpoznawalny już brand (oraz śladowo postać Gebelsa kreowaną przez Andrzeja Grabowskiego), by opowiadać całkiem

eprasa.pl cfc5ba4834

W „Pitbullu" Pasikowskiego potencjał aktorów został wykorzystany, jak należy. Od lewej: Marcin Dorociński, Krzysztof Stroiński, Rafał Mohr FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nowe fabuły w stylu, który pozwolę sobie nazwać „nowo mafijnym". Vega poszedł w kino efekciarskie, w epatowanie bogactwem i stylem życia „gangusów", w przedstawianie kolekcji odpicowanych panienek, umięśnionych żołnierzy mafii z warszawskich siłowni, w dialogi przesycone słowami na „k…" wielokroć bardziej niż filmy tak krytykowanego za to niegdyś Pasikowskiego. Kolorowe obrazki i monotonne, gęste bluzgi przesłaniają u niego fakt, że od czasu oryginalnego „Pitbulla" cofnął się w rozwoju. Ma kłopot z dozowaniem napięcia, z punktami zwrotnymi, z podziałem wątków na główne i poboczne, z konstruowaniem ciekawych postaci. Już nie ludzie, lecz ludziki biegają po ekranie, a każdy bohater wydaje się niemal tak samo karykaturalny, jak wymyślony dla zgrywy tępy paker Opałka ksywa Strachu (Tomasz Oświeciński). Akcja gna, ale nie czyni to jej ciekawszą, dawne refleksje na temat relacji między policjantami a przestępcami, policjantami a ich zwierzchnikami itp. zostały zastąpione niezdrową ekscytacją tym, jak „gangusy" szmacą swoje partnerki.

W IMIĘ ZASAD…

„Pitbull. Ostatni pies" Pasikowskiego wypada na tym tle jak wzorzec rzetelnego rzemiosła w starym stylu. Sceny wprowadzające główne postacie są napisane jak należy, błyskawicznie eksponują cechy definiujące bohaterów. Dotyczy to zarówno całkiem nowych figur (Gawrona i jego nowej żony), jak i przypomnienia po latach, kim są Despero, Metyl oraz Quanitco, dawny Nielat (ten ostatni zresztą chyba wypada w tym towarzystwie najbardziej blado). Potencjał aktorów jest wykorzystany, jak należy – nie ograniczają się do grymasów, mają coś do zagrania, proszę spojrzeć choćby na Zbigniewa Zamachowskiego w małej rólce lumpa Gawełka, ale przecież wszyscy trzej główni bohaterowie (Dorociński, Stroiński, Mohr) pokazują, że są aktorami tyleż utalentowanymi, co charyzmatycznymi. Nawet Dorota Rabczewska, Doda, wydaje się u Pasikowskiego niemal prawdziwą aktorką.

Pasikowski przy okazji składa hołd dawnemu „Pibullowi", zręcznie wracając do niektórych motywów po latach (znów cudny epizod Jadwigi Jankowskiej-Cieślak jako „lekarza ostatniego kontaktu"). Rezygnuje jednak z gryzącego realizmu debiutu Vegi, który w swojej pierwszej fabule bez złudzeń ukazywał zapuszczone, biedne korytarze gmachu policji, małe mieszkanka tchnące wciąż PRL-em i slumsy imigrantów. Czasy się zmieniły, więc bandyci również. Już nie sprawa napadów na ormiańskich handlarzy, ale wielki przekręt na fałszywy bank (inspiracja aferą Amber Gold jak najbardziej widoczna) rozpalać będzie wyobraźnię przestępców.

Jednocześnie jest to autorskie kino sensacyjne Pasikowskiego, który najlepiej czuje się w historiach, które sam napisał (wspomnijmy „Krolla" czy obydwie części „Psów"), z ciekawym wyjątkiem serialu „Glina", który był w jego karierze chyba jedyną naprawdę udaną syntezą cudzego pisania i własnej reżyserskiej sprawności. A jaki jest „typowy Pasikowski", wiemy. Najfajniej wychodzą mu historie o męskiej solidarności, męskich kodeksach honorowych oraz o tym, że to „zła kobieta była". Wszystko to znajdziemy w jego „Pitbullu", czego esencją jest świetna scena, w której śmiertelnie postrzelony bandzior, orientując się, że Despero nie jest tym, za kogo się podawał, z ulgą wyznaje: „Już się bałem, że ty konfident, a ty tylko pies". Klasyczny Pasikowski, nieprawdaż? Można być bandziorem, można być policjantem, ale kapusiem – nigdy (no, i nie wolno – hm… użyję słowa innego niż w filmie – nie wolno obracać cudzej kobiety, jak pamiętamy z pierwszych „Psów").

Pasikowski to wciąż mentalnie przerośnięty nastolatek polskiego kina rozrywkowego, ale to nie zarzut, w rozrywce dobrze sprawdzają się proste historie o tym, że lepiej żyć „w imię zasad, sk…synu". Każdą z jego fabuł – prócz nieszczęsnego fatalnego „Pokłosia" oraz chwilowej zapaści, jaką był „Reich" – wciąż można oglądać z przyjemnością. „Jack Strong" o płk. Ryszardzie Kuklińskim pokazał jednak, że poza znajomym terytorium polskiej sensacji Pasikowski czuje się mniej pewnie. Teraz pracuje nad historycznym filmem o Janie Nowaku-Jeziorańskim („Kurier"), który obejrzymy w kinach w przyszłym roku. Wpadka z niby historycznym, a tak naprawdę ahistorycznym „Pokłosiem" powinna zapalić widzom czerwoną lampkę ostrzegawczą, ja jednak po „Pitbullu. Ostatnim psie" jestem spokojniejszy. Pasikowski rozumie kino, umie robić kino, potrafi za pomocą skromnych środków wykreować filmowy świat „na bogato". A skoro najlepiej wychodzą mu proste opowieści o tym, że białe jest białe, a czarne jest czarne, to i opowiadając o walce z niemieckim okupantem, powinien się sprawdzić. O ile, oczywiście, nie zechce przy okazji znowu pouczać widza na temat relacji polsko-żydowskich, bo w tej kwestii kompetencje ma równie nikłe jak w konstruowaniu skomplikowanych postaci kobiecych. Na razie obejrzyjcie jego „Pitbulla" – jest lepszy od obydwu nowych „Pitbulli" Patryka Vegi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

★★★★☆☆

REŻ. WŁADYSŁAW PASIKOWSKI
„PITBULL. OSTATNI PIES"
POLSKA 2018
DYSTR. KINO ŚWIAT

wyst. Marcin Dorociński, Krzysztof Stroiński, Rafał Mohr, Dorota Rabczewska

eprasa.pl cfc5ba4834

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Biała moc, czarna siła

★★★★★★

REŻ. SPIKE LEE
„CZARNE BRACTWO" („BLACKKKLANSMAN")
USA 2018

wyst. John David Washington, Adam Driver, Laura Harrier

Minęło już ponad półtora roku od momentu, w którym Obama przestał być prezydentem Stanów Zjednoczonych, ale niektórzy wciąż nie mogą wyjść z szoku. Jak żyć? Spike Lee, reżyser niegdyś modny, lecz ostatnio znajdujący się na bocznym torze, proponuje terapię kamerą. Obawiam się jednak, że mało skuteczną, gdyż „Czarne bractwo" grzeszy przerostem ambicji. Chce być jednocześnie filmem zabawnym, stylowym, trzymającym w napięciu oraz społecznie zaangażowanym. A tak się nie da.

W finale flaga USA traci kolory, co dobrze oddaje polityczny daltonizm reżysera. Zupełnie serio twierdzi on, że jego ojczyźnie grozi recydywa rasizmu i faszyzmu. Nawiązuje do ubiegłorocznego incydentu w Charlottesville, gdzie starli się zwolennicy i przeciwnicy usunięcia pomnika bohatera wojny secesyjnej, gen. Roberta Lee. Ojcem duchowym Trumpa mianuje szefa Ku Klux Klanu, który już 40 lat temu obiecywał uczynić Amerykę znowu wielką i przywrócić ustanowione przez Boga rządy białej rasy.

Lee zabiera widzów w podróż w czasie do epoki disco i fryzur afro. Główny bohater, pierwszy czarnoskóry policjant w Colorado Springs, nosi się jak detektyw Shaft i kocha estetykę blaxploitation. Chcąc się wykazać, bierze na ząb KKK. Organizacja oficjalnie odżegnuje się od przemocy, lecz w wolnych chwilach jej członkowie lubią strzelać do negroidalnych tarcz, palić krzyże i psioczyć na komuchów, Murzynów – gwałcicieli oraz żydowskich krwiopijców. Ron ucina sobie z nimi telefoniczne pogawędki (Spike Lee ma słabość do takich scen, nakręcił kiedyś film o pannie pracującej w sekstelefonie), lecz na spotkaniach Klanu musi zastępować go biały kolega.

Ron szybko przejmie rząd dusz na posterunku. Przekona zwierzchników, że zakapturzeni fani filmu „Narodziny narodu" są większym zagrożeniem dla demokracji i porządku publicznego niż bezzębne Czarne Pantery. Ich lider, apostoł rewolucji przekonujący, że lepiej zabijać świnie z policji niż Wietnamczyków, tylko tak sobie ględzi. W rzeczywistości wyznawcy Black Power i White Power są swoim lustrzanym odbiciem, czego reżyser woli nie zauważać.

Karykaturalna fabuła rodzi karykaturalne aktorstwo. W tej konwencji najlepiej czuje się Alec Baldwin, który – niestety – znika z ekranu tak szybko, jak się na nim pojawił. Washington junior jest po prostu nijaki. Lee, zajęty uprawianiem tępej propagandy, przegapia moment, w którym „Czarne bractwo" staje się apoteozą podsłuchów i policyjnej prowokacji. Dziwne, bo o moralnej dwuznaczności, związanej z działaniem „pod przykrywką", nakręcono, już kilka filmów. Nie da się ukryć, że lepszych. ©℗

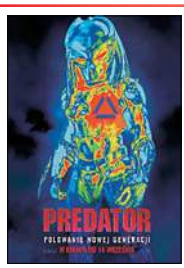

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PREDATOR"

Legenda powraca – Ziemia znów staje się areną zmagań bezradnych tubylców z kosmicznym drapieżnikiem: inteligentnym, bezlitosnym i niebezpiecznym. W nowej wersji nie ujrzymy już Arnolda Schwarzeneggera, dobrą wiadomością jest za to pojawienie się za sterami Shane'a Blacka, wziętego scenarzysty (m.in. kinowa seria „Zabójcza broń") oraz dobrego reżysera, co pokazał w „Kiss Kiss Bang Bang" i „Równych gościach". ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Predator" („The Predator"), reż. Shane Black, wyst. Boyd Holbrook, Trevante Rhodes, Yvonne Strahovski, Olivia Munn, USA 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Smak zemsty. Peppermint", reż. Pierre Morel, USA 2018***
- ***„Juliusz", reż. Aleksander Pietrzak, Polska 2018***
- ***„Dogman", reż. Matteo Garrone, Francja/Włochy 2018***
- ***„Czarne bractwo. BlacKkKlansman", reż. Spike Lee, USA 2018*** *(recenzja powyżej)*

eprasa.pl cfc5ba4834

Tutaj kończy się Bóg

#eskalacja – takim hasztagiem powinny być oznakowane sequele, prequele i spin-offy, które w ostatnich latach zdominowały repertuar kin. Kręciły was nawiedzone domy, więc podziwiajcie przeklęte opactwa. Chcecie więcej? Oto klasztor mieszczący się w omszałym zamczysku, oczywiście w Rumunii – kraju wampirów i zabobonów. Na wieść o samobójstwie młodej mniszki do akcji wkracza międzynarodowa ekipa złożona z doświadczonego egzorcysty, prostodusznej nowicjuszki i wiejskiego donżuana. Widzowie dostają zestaw standardowych atrakcji oraz rekwizytów (odwrócone krzyże, przedwczesne pochówki, duchy, ożywające zwłoki w różnym stadium rozkładu).

W konfrontacji z bestią modlitwa okazuje się półśrodkiem, skuteczniejszy jest celny cios szpadlem, ewentualnie kula z karabinu. Piekielna zakonnica z twarzy dziwnie przypomina Marilyna Mansona. Sacrum miesza się z profanum w proporcji zagrażającej zachowaniu powagi podczas seansu (zwłaszcza po sforsowaniu przez bohaterów drzwi opatrzonych napisem: „Tutaj kończy się Bóg”).

Twórcy mimowolnie oddają hołd Kościołowi katolickiemu – jedynej organizacji, która może powstrzymać triumf zła. Jak twierdzi nasz egzorcysta: „Watykan nie podejmuje przypadkowych decyzji”. A mówią, że horrory są oderwane od rzeczywistości. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆

REŻ. CORIN HARDY
„ZAKONNICA” („THE NUN”)
USA 2018

wyst. Taissa Farmiga, Demián Bichir, Jonas Bloquet

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KSIĘŻNICZKA, ELF I DEMON

Twórca „Simpsonów” i „Futuramy” zabrał się do najtrudniejszej dziedziny komedii: satyrycznej fantasy, na której niejeden sobie już zęby połamał. Nie każdy jest przecież Terrym Pratchettem. Miejsce akcji: baśniowe królestwo Dreamland, główni bohaterowie to księżniczka Beanie zdecydowanie nadużywająca alkoholu, mały, zielony erotoman Elfo, który porzucił swój lud, gdyż był zbyt smutny na elfa, oraz demon Luci, który reprezentuje klątwę rzuconą na księżniczkę. Jak przystało na przygodową fantazję, mnóstwo tu zaklęć, rycerskich wypraw i pałacowych intryg, ale dowcipy naprawdę udane giną wśród natłoku średnich i takich sobie. Ciekawie robi się pod koniec pierwszej połowy pierwszego sezonu (na razie dostaliśmy 10 odcinków), kiedy okazuje się, że ten umiarkowany chaos dokądś jednak zmierza, a główne postacie robią się bardziej ludzkie i sympatyczne. Tak już jest z Groeningiem, rozpędza się powoli, „Futurama” też była najlepsza w późniejszych sezonach. ©℗

★★★☆☆☆

SEZON 1
„ROZCZAROWANI” („DISENCHANTMENT”)
USA 2018, NETFLIX

ZŁE PSY, ZŁY FILM

Było dwóch gliniarzy: jeden bez wad, a drugi uzależniony od hazardu. Kiedy więc podczas operacji przeciw handlarzowi narkotyków rozwalili innego policjanta, działającego pod przykrywką, nikt nie chciał uwierzyć, że był to przypadek. Wszyscy założyli, że wspomniana para to funkcjonariusze skorumpowani przez bandytów. Trzy lata później ten pierwszy gliniarz (już nie bez skazy, bo uważany za „zabójcę policjanta”) wychodzi z więzienia i zaczyna obmyślać zemstę. Jednak najpierw spróbuje się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodziło. Karl Urban (rola główna) niestety nie jest dobrym aktorem, Sofía Vergara jako tajna agentka jest wręcz karykaturalna. W ten cały bałagan jakimś cudem zaplątał się Andy García, który jako jedyny próbuje coś grać, tylko że nie ma czego, bo scenariusz jest drewniany jak w B-klasowych kryminałach z lat 80., produkowanych od razu z myślą o dystrybucji na kasetach VHS. Omijajcie szerokim łukiem, to nie film, to podróbka filmu. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

★☆☆☆☆☆

REŻ. ROBERT MORESCO
„ZŁE PSY” („BENT”)
USA 2018, GALAPAGOS

wyst. Andy García, Karl Urban, Sofía Vergara

GRA TYGODNIA: „SPIDER-MAN” ★★★★★☆

Trudno zliczyć, ile gier o człowieku pająku ukazało się przez lata na wszystkich możliwych platformach i konsolach. Niestety, wszystkie miały cechę wspólną – nie wyróżniały się z tłumu produkcji o superbohaterach. Dlaczego? Ponieważ alter ego Petera Parkera wymaga stworzenia drugiego bohatera – Nowego Jorku. Miasta żywego, pełnego detali, budynków, na które można wskoczyć, i wyzwań, które czekają w każdym zaułku. Wraz z nową produkcją dedykowaną na konsole PS4 wreszcie doczekaliśmy się gry na miarę XXI w. Ze świetną grafiką, ogromnym i otwartym miastem oraz bohaterem, którego znamy z komiksów. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Akcja/TPP*
- ***Platforma:*** *PS4*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Insomniac Games/Sony*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *16+*

eprasa.pl cfc5ba4834

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Z katalogu dzieł zbędnych

Finałowa scena powieści Piotra Nesterowicza „Jeremiasz" godna jest pióra Szekspira. Oto do bohatera utworu, atakowanego w Sejnach przez starowierców, dochodzi myśl, że nie powróci już do Białegostoku, nie zajrzy do sklepu z artykułami piśmienniczymi i nie uchroni pracującej tam swojej żydowskiej miłości przed pogromem. I ogarnął go ogromny żal, a potem – cytuję – „chwycił spodnie, razem z kalesonami opuścił za kolana, kucnął i zrobił kupę prosto na biały piach".

Opisywana przez Nesterowicza kraina – Podlasie przełomu XIX i XX stulecia – to wielokulturowy kocioł, w którym mieszają się różne nacje i wyznania. „Taki – czytamy – Bóg miał w tym zamiar, gdy rzucił tu wszystkie religie i zabełtał narodami. Polakami i Litwinami, Żydami, Rusinami, Tatarami, Mazurami z północnego zachodu i Małorusinami z południowego wschodu, dokładając na deser Niemców, Rosjan, Ormian i Karaimów. Podlasze było Jerozolimą, chociaż krajobraz, który mijał, z tą prawdziwą Ziemią Świętą miał niewiele wspólnego".

Nie przejęzyczyłem się; Nesterowicz pisze o Podlaszu, a nie Podlasiu, podobnie jak o Chworoszczy, a nie Choroszczy, Krinkach, a nie Krynkach, o Supraśli, a nie o Supraślu. Dlaczego? Żeby nie zarzucano mu anachronizmów, przeinaczeń, a może i fałszów. Szkoda, ale „Jeremiasz" to w końcu powieść, i to sążnista, bo licząca 550 stron, a nie reportaż. Ten zresztą przychodzi od razu na myśl, pamiętamy bowiem o „Cudownej" tego samego autorstwa – reportażu wyróżnionym Nagrodą im. Wiesława Kazaneckiego i nominowanym do nagród im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nike, a traktującym o cudzie w Zabłudowie, gdzie w połowie lat 60. Matka Boska objawiła się

FOT. ANDRZEJ SIDOR/FORUM

14-letniej dziewczynie i za jej pośrednictwem przekazała ludowi, co następuje: „Módlcie się i nawracajcie, bo jak nie, mój syn będzie surowo karał".

W „Jeremiaszu" Nesterowicz mógł sobie pofantazjować, co też uczynił, z pożytkiem miernym jednak. Wciąż niedościgłym wzorem w opisie tamtego świata, w którym to, co nadprzyrodzone miesza się nieustannie z tym, co rzeczywiste, pozostaje z jednej strony „Wierszalin" Włodzimierza Pawluczuka, a z drugiej „Konopielka" Edwarda Redlińskiego. „Jeremiasz" zaś, cóż… Usytuowałbym tę powieść tuż obok „Ksiąg Jakubowych" Olgi Tokarczuk, co uznać można za uhonorowanie, dla mnie jednak oznacza nie więcej niż powiększenie katalogu dzieł zbędnych. Do naszej wiedzy o poleskich czarach i czartach – niewnoszących niczego nowego.

Akcja książki Piotra Nesterowicza ogniskuje się wokół dochodzenia, które tytułowy bohater – śledczy carskiej policji – prowadzi w związku z makabryczną zbrodnią dokonaną w powieściowej Supraśli, gdzie opatowi miejscowego klasztoru i dwóm majętnym fabrykantom nieznany sprawca (bądź sprawcy) ucinają głowy. Fama głosi, że ma to być kara boska za chęć zburzenia świątyni, a szalony mnich utrzymuje, że winni są święci z cerkiewnych fresków. Jeremiasz usiłuje nadać śledztwu jakiś racjonalny charakter, bez skutku jednak, gdyż od chwili przybycia poddany zostaje apokaliptycznym wizjom i zaczyna przemawiać – na co nie ma wpływu – biblijnymi proroctwami. Gdy świat szaleje – rzec można – trudno się przed szaleństwem uchronić.

Ciekawe, że w tym podlaskim tyglu najgorzej i najmniej ciekawie prezentują się Polacy, na okrągło rozpamiętujący powstańczą klęskę 1863 r. i planujący nową, z góry można założyć, że nieudaną, insurekcję. Inna sprawa z prawosławnymi, starowierami, a na pierwszy plan wysuwają się, i to zdecydowanie, Żydzi, którzy właśnie na tych terenach zakładają nową Palestynę. Mamy do tego jeszcze mord rytualny, którego ofiarą pada jednak nie dziecko chrześcijańskie, lecz – odwrotnie – żydowskie.

W ogóle wszystko jest tu na opak. Zgodnie z lansowaną ostatnimi czasy tezą, że powinniśmy się wstydzić za zachowanie szlachty, czyli Polaków na kresach, ci ostatni przypominają amerykańskich właścicieli czarnych niewolników. W roli Murzynów obsadzeni są miejscowi chłopi, popularnie zwani chachłami, no a Żydzi – oczywiste – ci w plecy mieli, mają i mieć będą zawsze i wszędzie. Jednak przyznać trzeba, że – tak jak w znanym powiedzeniu – autor wykonał, pisząc „Jeremiasza", całą kupę roboty. Może niekoniecznie nikomu niepotrzebnej, za to niewątpliwie z przewagą kupy właśnie. ©℗

★★☆☆☆☆

PIOTR NESTEROWICZ „JEREMIASZ" W.A.B. 2018

eprasa.pl cfc5ba4834

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nim zabije cię dieta

Kiedy w krótkiej notce polecałem państwu książkę dr. Jamesa Hamblina „Gdyby nasze ciało potrafiło mówić" („Do Rzeczy" 30/2018), siłą rzeczy nie wystarczyło mi miejsca na wspomnienie jednej z licznych rewelacji, które w niej znalazłem. W jednym z rozdziałów autor demaskował mit, który zrobił zawrotną karierę także w Polsce: „Pij przynajmniej dwa litry wody dziennie". Hamblin objaśniał, jak to amerykańscy producenci wody mineralnej wpadli na pomysł akcji marketingowej, która potem zamieniła się w fundament wiary rozmaitych dietetycznych guru. Tymczasem żadne poważne badania naukowe nie potwierdzają prawdziwości tej tezy. Co gorsza, łatwo można skrzywdzić swój organizm (szczególnie mózg), dostarczając mu nadmierną ilość płynów.

Przypomniała mi się ta historia podczas lektury „Wściekłego kucharza" – książki, w której zawodowy kucharz (i współpracownik pisma „New Scientist", co jest dla mnie lepszą rekomendacją niż np. „autor »The Vegan Times«" – o ile takie pismo istnieje) rozprawia się z licznymi mitami powielanymi przez blogerów, autorów rozmaitych cudownych diet i poradników, wedle których wszystko, co jemy (oprócz jarmużu oraz orzechów, ewentualnie mleka sojowego) jest dla nas szkodliwe. „Cała prawda o zdrowym jedzeniu i modnych dietach" (podtytuł książki) nie zawiera może całej prawdy, ale na pewno przynosi mnóstwo trzeźwiących uwag o nieprawdach powszechnie uznawanych za dogmaty współczesnego żywienia. Że cukier wywołuje raka i jest gorszy od kokainy. Że każdy węglowodan w formie pieczywa, makaronu i ziemniaka to diabeł wcielony i bez wątpienia zabija nas, jeśli tylko natychmiast się go nie wyrzekniemy. Że najgorsze na świecie jest jedzenie mięsa. I w ogóle, że podstawą wszelkiego żywienia powinno być usuwanie z naszego jadłospisu wszystkiego dopóty, dopóki nie dopasujemy go do najnowszej wersji lansowanej przez samozwańczych ekspertów, których główną kwalifikacją jest pewność siebie, z jaką powtarzają rozmaite bzdury o detoksach, dietach alkalicznych i homeopatii.

W odróżnieniu od owych guru Warner sięga do źródeł. I odkrywa, że słynna maksyma: „Jesteś tym, co jesz" to przekręcone zdanie: „Pokaż mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś". Wskazuje tezy kiedyś rozpowszechnione na podstawie niepełnych badań, obalone przez badaczy, a mimo to wciąż bezmyślnie powtarzane. Ważna i ciekawa książka, której jedyną wadą jest forma – niepotrzebne rozbijanie rozdziałów improwizowanymi dialogami „do śmiechu". Tymczasem naprawdę nie ma się z czego śmiać. ©℗

★★★★☆

ANTHONY WARNER „WŚCIEKŁY KUCHARZ" BUCHMANN 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Przepięknie wydana opowieść, nie historia państwa, lecz poprzez ukazanie kluczowych zjawisk w dziejach próba uchwycenia specyfiki „niemieckości", którą każdy potrafi rozpoznać, nawet jeśli nie jest w stanie wytłumaczyć.

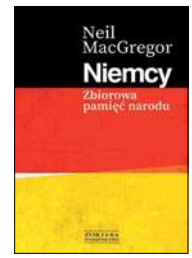

NEIL MACGREGOR „NIEMCY. ZBIOROWA PAMIĘĆ NARODU" ZYSK I S-KA

Dzieje Ukrainy od czasów I wojny światowej do współczesnych. Zatem rzecz o kształtowaniu się współczesnej tożsamości i walce Ukraińców o własne państwo. Książka napisana ze znawstwem i sporą sympatią wobec Ukrainy.

MICHAŁ KLIMECKI, ZBIGNIEW KARPUS „CZAS SAMOTNOŚCI" BELLONA

O Dywizjonie 303 raz jeszcze, ale z nieco innej perspektywy. Nie tylko o zmaganiach na angielskim niebie, lecz także przede wszystkim o powikłanych losach najlepszych polskich pilotów – przed dniami wojennej chwały i po nich.

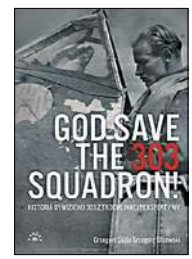

GRZEGORZ SOJDA, GRZEGORZ ŚLIŻEWSKI „GOD SAVE THE SQUADRON 303!" VESPER

Kolejna opowieść o czasach poprzedzających „Śmierć w Breslau", która rozpoczęła serię kryminałów o Eberhardzie Mocku. Cofamy się aż do roku 1905, czyli czasów studenckich przyszłego inspektora wrocławskiej policji.

©℗ ***poleca Piotr Gociek***

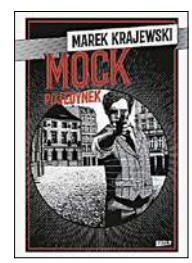

MAREK KRAJEWSKI „MOCK. POJEDYNEK" ZNAK

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Blanka Lipińska „365 dni" (Edipresse) – dziewczyna porwana przez mafiosa ma 365 dni, by go pokochać. Brzmi idiotycznie? Owszem. I takie też jest.***
2. ***Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała" (Wielka Litera) – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.***
3. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***
4. ***Remigiusz Mróz „Hashtag" (Czwarta Strona) – nowa powieść najpłodniejszego autora polskich kryminałów. O dziwnych zaginięciach i mocy Internetu.***
5. ***Olga Tokarczuk „Bieguni" (Wydawnictwo Literackie) – wznowienie powieści autorki „Ksiąg Jakubowych" sprzed 11 lat.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 6 do 26.08.2018 r.)

eprasa.pl cfc5ba4834

Tenor spod strzechy

FOT. ALEXANDER TAMARGO/GETTY IMAGES

Operowi puryści uważają go raczej za muzyka pop, a nie śpiewaka operowego. Wytykają mu techniczne uchybienia, m.in. niewłaściwe oddychanie podczas śpiewu, co podobno w trakcie występu na żywo w operze, przy niewybaczającej błędów akustyce, da się zauważyć. Andrea Bocelli jest najlepiej sprzedającym się tenorem w historii, jego płyty rozchodzą się w milionowych nakładach, a na występy na żywo bilety trzeba kupować ze sporym wyprzedzeniem. Być może jego popularność – oprócz recenzji wytykających błędy operowych występów – jest kolejnym dowodem na to, że Bocelli to bardziej śpiewak pop niż tenor operowy. Jednak dla wielu ludzi na świecie był tym, który jako pierwszy pokazał im jeśli nie operę, to chociaż jej namiastkę. Wszedł z nią pod strzechy milionów domów, w których – gdyby nie Bocelli – taka muzyka mogłaby nigdy nie zagościć.

Występował i ze śpiewakami operowymi – Lucianem Pavarottim czy Plácidem Domingiem – i z gwiazdami muzyki popularnej, takimi jak Céline Dion, Barbrą Streisand czy Edem Sheeranem. Chyba największą popularność zdobyła piosenka „Time to say goodbye" zaśpiewana w duecie z angielską aktorką i sopranistką Sarah Brightman.

Urodził się z silną jaskrą, wzrok stracił całkowicie jako nastolatek, po wylewie krwi do mózgu. W 1958 r. lekarze potrafili już przewidzieć, że nienarodzone jeszcze dziecko właścicieli farmy w prowincji Piza w Toskanii przyjdzie na świat z niepełnosprawnościami. Zalecali aborcję. Państwo Bocelli nie posłuchali. „Gdyby Bóg umiał śpiewać, śpiewałby jak Andrea Bocelli" – powiedziała kiedyś Céline Dion. Ten, który mógł się nigdy nie narodzić, wystąpi 26 stycznia 2019 r. w gdańskiej Ergo Arenie. ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Tęskniąc za przeszłością

76-letni Paul Simon postanowił zmierzyć się z własnym muzycznym dziedzictwem. Wcześniej podobne płyty nagrali Joni Mitchell, Kate Bush czy Peter Gabriel.

Zamiast przebojów Simon wybrał 10 „niedostrzeżonych" piosenek z ostatnich 45 lat swojej twórczości. Co więcej, zdekonstruował je do tego stopnia, że poza tekstem mają całkowicie odmienny od oryginałów charakter muzyczny. Wielu kompozycjom zmienił tempo oraz brzmienia tak charakterystyczne dla jego muzyki. Rockowe ballady przemienił w jazzowe standardy, a iskrzące etniczną rytmiką kompozycje wręcz zdeafrykanizował. Dawną kompleksowość aranżacyjną zastąpiła pozorna prostota, która uwypukliła przesłania tekstów. Pozorna, gdyż w nagraniach uczestniczyło aż 28 muzyków, głównie jazzowych gigantów, takich jak Wynton Marsalis, Joe Lovano, Jack DeJohnette czy Bill Frisell. Pojawia się rewelacyjny zespół smyczkowy yMusic, a Bryce Dessner z The National zaaranżował „Can't Run But".

Ten „nowy" Simon rozbrzmiewa latynoską melodyką, jazzowymi fugami, pogrzebowym bluesem, nowoorleańskim karnawałem czy późnonocnym jammowaniem. To płyta bez łatwo wpadających w ucho melodii czy studyjnego efekciarstwa. Opiera się na intymnych nastrojach cenionych przez wymagających słuchaczy. ©℗

★★★★★☆
PAUL SIMON
„IN THE BLUE LIGHT"
SONY LEGACY

★★★★★★
ARETHA FRANKLIN
„THE ATLANTIC SINGLES COLLECTION 1967–70"
RHINO

34 single z najlepszego okresu najwspanialszej wokalistki wszech czasów. Aretha w wieku 24 lat, po sześciu bezowocnych sezonach spędzonych w wytwórni Columbia, rozkwitła pod okiem producenta Jerry'ego Wexlera, stając się królową muzyki soul. ©℗

★★★★★★
BRUCE SPRINGSTEEN
„THE ROXY, JULY 7, 1978"
COLUMBIA

Najczęściej piratowany koncert Bossa doczekał się oficjalnego wydania. Przyszły gwiazdor stadionów dał olśniewający występ dla 500 osób. Na 3 CD są zarówno jego wczesne klasyki, jak i rockowe standardy z lat 50. (m.in. „Twist & Shout" i „Mona"). Ogień. ©℗

eprasa.pl cfc5ba4834

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

MIT KAWALERII ATAKUJĄCEJ CZOŁGI – DODATEK SPECJALNY NA ROCZNICĘ WRZEŚNIA '39

Marcin Bartnicki – **Dąbrowszczacy, mięso armatnie Stalina**
Paweł Piotrowski – **Krwawy rzeźnik Świerczewski**
Jakub Ostromęcki – **Murzyni w wojnie secesyjnej**
Zehao Zhou – **Przeżyłem horror Mao**
Tomasz Stańczyk – **Polski premier Austro-Węgier**
Marian Zacharski – **Komandos Hitlera na usługach Mosadu**
Krzysztof Masłoń – **Ciemne oblicze Odojewskiego**
Piotr Zychowicz – **Gehenna żydowskiego księdza**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl cfc5ba4834

Każda zmiana zaczyna

MARCIN MAKOWSKI: „Członkowie tych plemion mówią o tych drugich z taką samą nienawiścią jak republikanie o frankistach w Hiszpanii w 1936 r. Wojna domowa wisi w powietrzu" – to pańskie słowa o relacjach między rządem a opozycją. Poleje się krew?

JANUSZ KORWIN-MIKKE: Polacy mają raczej łagodny charakter, u nas jest za spokojnie, taki marazm – i gdy na Zachodzie dochodziło do wrzenia, nad Wisłą temperatura zazwyczaj zbliżała się do stanu podgorączkowego. Ponadto wojsko jakby nie to, co wtedy w Hiszpanii... Ale talerze będą latać w powietrzu. W dosłownym

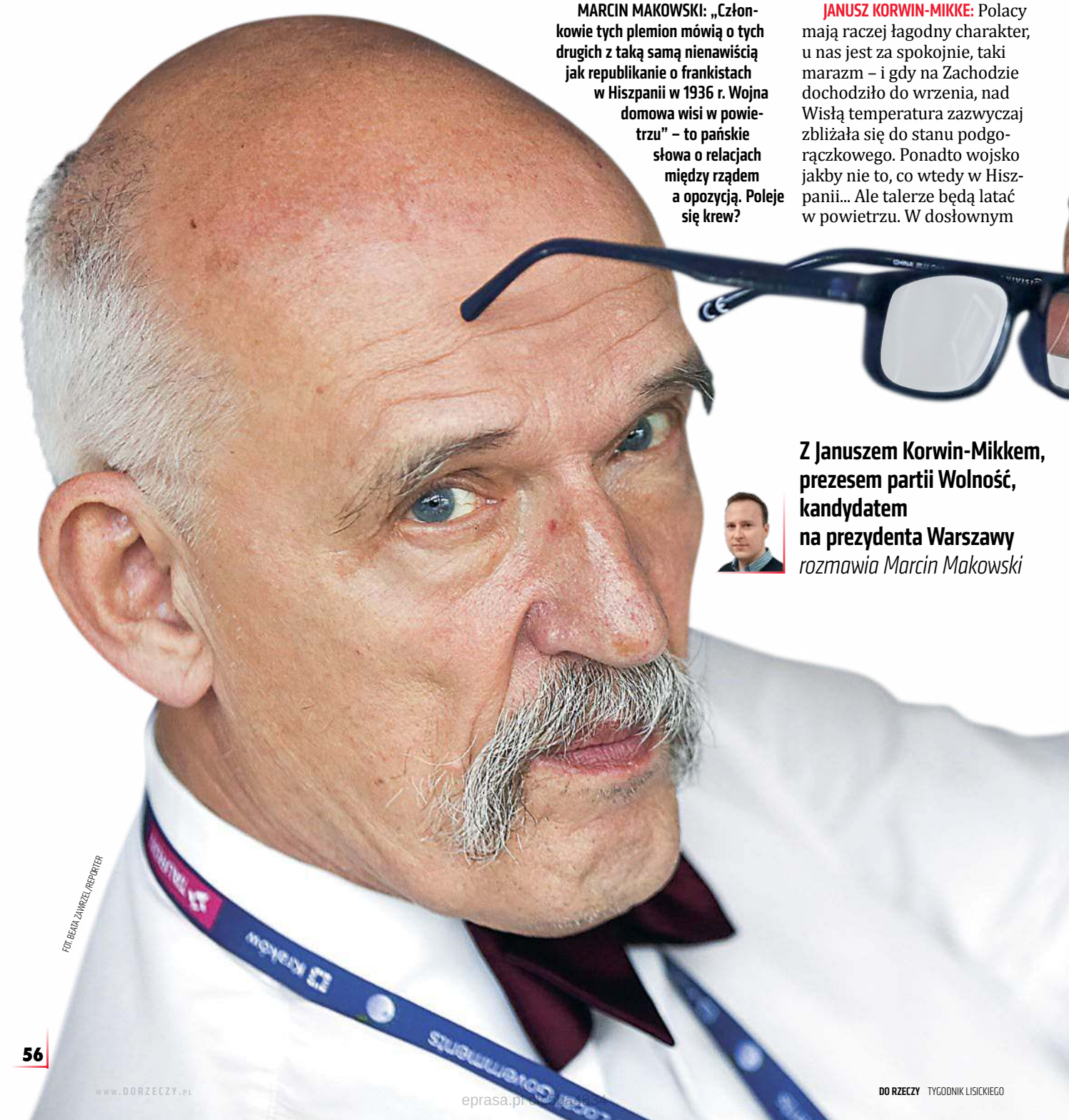

Z Januszem Korwin-Mikkem, prezesem partii Wolność, kandydatem na prezydenta Warszawy
rozmawia Marcin Makowski

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl

się od utopii

znaczeniu będzie to zatem wojna domowa.

Na razie trwa wojna na billboardy. Kto zabrał miliony, a kto dał dzieciom. Jest pan dobry w memach – może Wolność też powinna ruszyć z podobną kampanią?

Ludzie muszą zacząć wreszcie wierzyć politykom. Gdy PiS mówi, że PO to złodzieje, to wierzę. Gdy PO pisze, że PiS to banda oszołomów – również. A na serio, niech PO-PiS rżnie się między sobą – to ich wewnętrzne gierki, nie moje.

Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Co zamierza na tym starciu ugrać pańska partia? Poza kontestacją status quo wielkiego planu nie widać.

Planu czego? My dokładnie wiemy, co robić – rozpocząć trzeba od wsadzenia PO-PiS (i nie tylko) za kratki. Na to nie mamy siły. Przypominam, że towarzysz Janosik został, ku zachwytowi ludności, powieszony za ziobro za to, że zabierał (podobno...) bogatym i dawał biednym. Dzisiaj ludzie Janosikom biją brawo. Trzeba poczekać, aż się rozczarują.

Czyli wyborcy nie dorośli do Wolności? A może to Wolność nie dorosła do rządzenia?

Fakt, trudno nam uzbierać 5 proc., ale przypominam, że w Sodomie nie udało się znaleźć nawet 10 sprawiedliwych, więc nasze poparcie to nie jest zły wynik. Jesteśmy najsilniejszą partią prawicową w Unii Europejskiej.

Widziałem zdjęcia ze spotkania z panem w Ostrołęce. Dużo wolnych miejsc, kilku reprezentantów pokolenia 50+, większość sali to na oko licealiści. Potęga.

Kiedy tam wynajęli w dzień powszedni salę na 350 osób, ale w ogóle ze wszystkich spotkań na części Podlasia, ciupasem wcielonej do Mazowsza, jestem bardzo zadowolony. I nie chodzi tylko o liczbę słuchaczy, ale o ich poziom. Jednak ma pan rację – w d...kracji nie decyduje poziom.

Może to nie kwestia poziomu, ale braku wiarygodności?

Proszę pana, wedle prawdziwej prawicy lud ma siedzieć cicho i robić to, co mówią elity – oczywiście nie mam na myśli lumpenelit wyłonionych w d… kratycznym głosowaniu. Dzisiaj każdy jest przekonany, że gdyby nie miał prawa głosu, zostałby oszukany – co jest oczywistym absurdem. Dzieci nie mają prawa głosu, a jakoś ustawodawcy o nie dbają. Każdy chce głosować, nie zdając sobie sprawy, że to oznacza, iż o nim de facto decyduje sąsiad pijak i sąsiadka idiotka – bo ich jest więcej. Dopiero gdy lud się solidnie sparzy, prawica będzie mogła myśleć o rządzeniu. Jak to napisali Rusini do Normanów: „Przyjdźcie i rządźcie nami, bo kraj bogaty, ale...". Ja z głodu nie umieram, mogę poczekać – tylko serce mi się ściska, jak myślę o tych nieszczęśliwych ludziach, których doprowadza się do biedy i upodlenia, by kupić ich za „500+". I myślę o przyszłości Polski. Tak – o problemie braku wiarygodności też. Czy pan zdaje sobie sprawę, że w wyniku działania państwowej „edukacji" 95 proc. przedsiębiorców nie wyobraża sobie życia bez podatku dochodowego? Traktuje się mnie tak samo jak w 1968 r., gdy tłumaczyłem, że Związek Sowiecki musi się rozpaść… Ten, kto widzi prawdę na miesiąc przed innymi, przez 30 dni uchodzi za głupca. A co z tymi, którzy ją widzą 30 lat wcześniej?

Może powinien pan zostać filozofem, a nie szefem partii politycznej? Nie kusi pana po prostu przyjęcie postawy pragmatycznej, tak jak robi PiS? Obiecać, dać, a potem zmieniać.

Kiedyś czytałem w „Wyborczej", że „nowoczesna Angielka zmienia kochanków częściej niż prześcieradła"; kiedyś to się nazywało k…a i flejtuch. I kiedyś to, co pan nazywa pragmatyzmem, nazywało się podłością. A wygrywają te społeczeństwa, które kierują się moralnością. Wie pan dlaczego?

Słucham.

To trudne. Różne narody mają różne zasady moralne, niektóre wygrywają, inne przegrywają – dlatego dominuje aksjologia narodów skutecznych. „Podłość" to nie jest pojęcie obiektywne. Przecież obecne bogactwo zawdzięczamy temu, że wzbogaciliśmy się w czasach, gdy obowiązywały zasady moralne odwrotne od unijnych. Ale za jaką cenę? Owszem, na krótką metę można wygrywać, stosując metody niemoralne. Tylko, przypominam, ja myślę o Polsce moich wnuków i prawnuków.

eprasa.pl cfc5ba4834

„Lewica biadoli, że Kora była w dzieciństwie »molestowana« przez księdza. Pytam: Czy to zmieniło Jej życie? Jeśli TAK – to być może zamiast wybitnej piosenkarki wyrosłaby przeciętniaczka – albo (o zgrozo!) pieśniarka katolicka? Co cię nie zabije, to cię wzmocni!" – to pańskie słowa po śmierci Kory. I pan naucza o moralności?

Zaraz – to stoi pan po stronie tych łajdaków, którzy po śmierci śp. Olgi Sipowicz zaczęli zbijać kapitał polityczny do walki z Kościołem katolickim, wypominając jej incydent z księdzem? I, oczywiście, zasada: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni" to zasada ściśle moralna, sprzeczna z zasadami dzisiejszego „państwa opiekuńczego", które doprowadza Europę do ruiny.

Po prostu wydaje mi się, że pisanie o molestowaniu w dzieciństwie jako o czymś, co „ubogaca", jest podłe. Chyba że kolejny raz 90 proc. komentujących źle odczytało pańskie słowa.

Ale przecież to nie ja pisałem o tym incydencie, tylko komentowałem tych, którzy twierdzili, że takie „molestowanie" od razu niszczy kobietę psychicznie. Jak widać na przykładzie śp. artystki, nie jest to prawdą. A podejmuję rękawicę w tym temacie, bo to „molestowanie" to oręż feministek – i nie wolno im tu ustąpić! Zresztą lepszym przykładem jest bieda: dzieci z biednych rodzin to wspaniały materiał na milionerów, wybitnych naukowców. Kto chce zlikwidować biedę, ten chce zlikwidować sprężynę rozwoju narodów. Z tego nie wynika, że należy wtrącać ludzi w biedę (ani że trzeba dziewczynki „molestować"), ale wynika, że nie należy ustawowo i histerycznie walczyć z biedą i „molestowaniem". Nie pamiętam w tej chwili, ale czytałem wspomnienia kobiety, chyba aktorki, że ktoś ją uwiódł, gdy miała 13 lat, ale jest mu wdzięczna do tej pory, bo wiele ją nauczył. Życie jest znacznie bogatsze, niż się wydaje niektórym prymitywom.

Eh... Czy w takim razie, gdyby był pan w dzieciństwie molestowany, dzisiaj mógłby pan być premierem?

Bardzo możliwe! Albo gdyby mnie ojciec częściej lał paskiem za lenistwo.

Ja to muszę usłyszeć na głos: twierdzi pan, że gdyby ojciec pana bił albo np. jakiś ksiądz molestował, byłby pan lepszym politykiem?

Mnie ksiądz? Dałbym w pysk – i takie doświadczenie zapewne wzmocniłoby moją psychikę.

Dlaczego w pysk? Przecież wyświadczyłby panu „przysługę". Uczynił pana silniejszym.

Niestety, dzieci nie doceniają tego doświadczenia... (tu chciałbym emotikon, że to żart). Dopiero później. Czy pan doceniłby faceta, przez którego np. musiałby pan przez dwa miesiące głodować na jakimś lodowcu? Chociaż dzięki temu zahartowałby się pan i został wybitnym dziennikarzem?

Mam wrażenie, że pan kiedyś powie, że polityka to była dla pana forma spędzania wolnego czasu i hobby. Bo że pyta pan na serio, nie wierzę.

Tak się jakoś składa, że wielu wybitnych ludzi miało trudne dzieciństwo. A inni, jeszcze wybitniejsi, też mieli, ale o tym – co rozsądne – nie mówią. W dodatku muszę chyba raz jeszcze podkreślić: z tego, co mówię, nie wynika, że należy ludzi trzymać w biedzie i molestować! To są obserwacje niemające nic wspólnego z polityką, ale prawdziwe. Zna pan powiedzenie: „Plenus venter non studet libenter" [„Pełny brzuch uczy się niechętnie" – przyp. red.]? Ale proszę wygrać wybory wśród studentów, twierdząc, że dobrze jest, gdy studenci trochę głodują. Ja np. często byłem na studiach głodny. Poza tym, proszę pana, pan mnie nie pyta o politykę!

Dobrze, to polityka. I podatki. „Prawo do jedzenia, picia i palenia, czego chcę, to moje prawo niezbywalne – i nikt nie ma prawa mi tego zabraniać ani na to zezwalać!" – napisał pan, komentując pomysł opodatkowania handlu marihuaną. Cytowany przez pana artykuł zakładał, że państwo mogłoby zyskać na tym 9 mld zł. Jak zachowałaby się w tej materii Wolność, gdyby przejęła władzę?

Ja nie twierdzę, że państwo powinno zarabiać na handlu marihuaną ani na handlu innymi narkotykami, takimi jak tytoń, kawa, heroina czy wódka. To jest niemoralne – więc musi dawać złe skutki. Podobnie jak życie za kradzione pieniądze. Zdaje pan sobie sprawę, że hasło PiS: „Zabraliśmy złodziejom" oznacza, że kupili sobie poparcie wyborcze za kradzione pieniądze?

Skoro nie chciałby pan na tym zarabiać, to rozumiem, że stosowanie narkotyków byłoby legalne, ale po prostu nieopodatkowane?

Uważam, że państwo nie ma prawa dorosłemu człowiekowi zabraniać jedzenia, picia, ćpania itp. Czy pan np. wie, że 20 lat temu poczułem się źle, poszedłem do apteki i poprosiłem o tabletki nitrogliceryny. Odmówiono mi, bo nie miałem recepty. Nie rozumiem, jak można dorosłemu człowiekowi odmówić sprzedaży czegokolwiek – czy będzie to lekarstwo czy narkotyk. Według Reutersa gangi narkotykowe płacą politykom 10 mld dol. rocznie w łapówkach, by nie znieśli zakazu handlu narkotykami. W Polsce chyba nie muszą, bo nasi politycy to idioci i zakazują narkotyków za darmo.

Czyli wszystko powinno być legalne, wolność nieograniczona, społeczeństwo dojrzałe i rozsądne, podatki minimalne, państwo stojące całkowicie na uboczu... To brzmi jak parodia liberalizmu albo utopia. Zna pan jakikolwiek kraj wielkości Polski, w którym taki projekt się powiódł?

Nie – ale każda zmiana zaczyna się od utopii. Komuniści zwyciężyli, bo mówili, że wszystko będzie wspólne, nawet żony. Poza tym nie powiedziałem, że wszystko ma być legalne. Legalne ma być to, co nie narusza praw innych ludzi. Również wolność mojej pięści jest ograniczona bliskością pańskiego nosa.

Proszę pomóc mi tę Korwinowską wersję liberalizmu lepiej zrozumieć. Może na innym przykładzie z życia. Słyszałem, że gdy robił pan kampanijno-wakacyjny objazd po nadmorskich miejscowościach, zaczął się pan topić i do ratunku ruszył ratownik. Bardzo się pan tym oburzył. Ratownik naruszył pańskie prawo do utonięcia?

Po pierwsze, „ruszył", gdy już wychodziłem i byłem po kolana w wodzie. Po drugie, zgłosiłem im, że idę sobie pływać poza plażą strzeżoną, a po trzecie, mam „żółty czepek" dający mi prawo pływania, gdzie chcę. W normalnym państwie „ratownik" to gość ratujący tonących, a nie urzędnik państwowy zakazujący pływać. Niedługo dentysta to nie będzie facet

Zaczynam od pozwania panów Jakiego i Trzaskowskiego o odszkodowanie – bo teraz muszę wydać masę pieniędzy, by wyrównać straty spowodowane tym, że bezprawnie od czterech miesięcy prowadzili kampanię wyborczą

eprasa.pl cfc5ba4834

leczący ubytki, tylko chodzący po domach i sprawdzający, czy wszyscy szczotkują zęby odpowiednią pastą.

Wziął pan kiedyś albo ma kredyt?

Tak, ale bardzo rzadko. Obecnie kredytu nie mam.

„W 1992 r. jako poseł zaproponowałem, by zapisać w konstytucji zakaz uchwalania budżetu z deficytem, a każdą próbę obejścia tego zakazu karać jako kradzież szczególnie zuchwałą. Wtedy mnie wyśmiewano" – napisał pan niedawno na Facebooku. Dlaczego odmawia pan państwu tego samego prawa, z którego jako osoba fizyczna mógł pan skorzystać?

Bo ja biorę na swój rachunek, a państwo co najwyżej na rachunek większości, która w dodatku nie ponosi za to odpowiedzialności. Przecież 51 proc. może uchwalić, że bierzemy 10 trylionów pożyczki, dzieli to między siebie i wyjeżdża za granicę. I co ma zrobić te pozostałe 49 proc. wyborców?

A co gdyby to samo prawo uchwalił jeden „absolutysta oświecony"? Żaden system nie jest bezpieczny przed decyzjami podejmowanymi w złej wierze. Myśli pan, że zapis konstytucyjny uchroniłby Polskę od długu publicznego?

Gdyby to robił król, odpowiadałby własnym majątkiem. Natomiast państwo oczywiście może rozwijać się bez kredytu. Proszę chwilę pomyśleć. Zadłużyliśmy się na, powiedzmy, bilion. Spłacamy raty. I teraz są dwie możliwości: nie zwiększamy zadłużenia, to znaczy, że można żyć bez kredytu, a więc można było i wtedy, kiedy się ten bilion pożyczało, i to nawet łatwiej, bo wtedy nie trzeba by było spłacać rat. Możliwość druga: „musimy" się nadal zadłużać. Ale kto to wszystko spłaci w przyszłości? O ile wiem, tworzenie piramid finansowych jest zakazane. A co to jest jak nie piramida? Pożyczamy milion, za rok pożyczamy dwa i spłacamy ten milion, a za rok pożyczamy cztery...

Z takim programem ruszycie również do boju o samorządy?

Nasze postulaty dotyczące samorządów można, niestety, zrealizować tylko w Senacie i Sejmie. Samorządom w Polsce nie wolno nic – nawet zdecydować o otwieraniu sklepów w niedziele. W sprawach lokalnych rozmaite koalicje mają różne postulaty – a w wojewódzkich idziemy pod jednym hasłem: sejmiki są po to, by rozkradać pieniądze unijne – i my idziemy tam tylko po to, by donosić wyborcom, kto i ile kradnie.

Będziecie patrzeć na ręce, ale nic ponad to? Dziur na drogach nie załatacie, mostów nowych nie otworzycie? Mało zachęcająca perspektywa.

Biorąc pod uwagę, że w Polsce mosty buduje się trzy razy drożej niż w normalnych krajach, to może i lepiej... Niech się pan nie boi: jest pełno chętnych, by za skromne 10 proc. prowizji wybudować most, choćby nawet żadnej rzeki nie było. Jeśli doprowadzimy do tego, że za te same pieniądze wybudują ze strachu dwa mosty, to tak, jakbyśmy jeden sami wybudowali. Nieprawdaż?

A jak pan przygotowuje się do startu w Warszawie? Jakie będą założenia kampanii prezydenckiej? Też będzie pan brał pensję, pilnując, żeby inni nie kradli?

To osobny temat. Zaczynam od pozwania panów Jakiego i Trzaskowskiego o odszkodowanie – bo teraz muszę wydać masę pieniędzy, by wyrównać straty spowodowane tym, że bezprawnie od czterech miesięcy prowadzili kampanię wyborczą. „Chcecie mieć prezydenta, który łamie prawo? Głosujcie na kandydatów PO-PiS". Z takim hasłem pójdę. I jeńców brać nie będę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

JESTEM POLSKIM MUZYKIEM ZALEŻY MI NA NIEZALEŻNOŚCI POLSKIEJ SZTUKI **PROSZĘ O OCHRONĘ POLSKIEJ TWÓRCZOŚCI** JESTEM POLSKIM PRODUCENTEM **ZALEŻY MI NA RÓWNYCH SZANSACH W INTERNECIE** PROSZĘ O PRZYZNANIE KULTURZE PRAWA DO UCZCIWEGO TRAKTOWANIA **JESTEM POLSKIM WYKONAWCĄ** PROSZĘ O RÓWNOŚĆ WYPOWIEDZI ARTYSTYCZNEJ **ZALEŻY MI NA CYFROWEJ PRZYSZŁOŚCI POLSKIEJ MUZYKI** JESTEM POLSKIM AUTOREM **ZALEŻY MI NA NIEZALEŻNOŚCI POLSKIEJ SZTUKI**

#DAJPRAWO KULTURZE

#valuegap

PROSZĘ POLSKICH EUROPARLAMENTARZYSTÓW O **POPARCIE DYREKTYWY W SPRAWIE PRAW AUTORSKICH NA JEDNOLITYM RYNKU CYFROWYM**

MATEUSZ "MANDEE" ANDRZEJEWSKI
MICHAŁ BAJOR
TULIA BICZAK TULIA
MARCIN CIEMPIEL WILKI
CLEO
MIKIS CUPAS WILKI
JOANNA DARK
MAREK DUTKIEWICZ
MARTA GAŁUSZEWSKA
HUBERT GASIUL WILKI
DOMINIKA GAWĘDA BLUE CAFE
BENIAMIN GAWLIŃSKI WILKI
ROBERT GAWLIŃSKI WILKI
MACIEK GŁADYSZ WILKI
RENI JUSIS
KRZYSZTOF KALWAT KALWI & REMI
TOMASZ KAROLAK PĄCZKI W TŁUSZCZU
PATRYK KUMÓR
LANBERRY
MONIKA LEWCZUK
ROMUALD LIPKO
ALICJA MAJEWSKA
DAREK MALEJONEK
MACIEJ MALEŃCZUK
BARTOSZ MIECZNIKOWSKI PĄCZKI W TŁUSZCZU
ZBIGNIEW NAMYSŁOWSKI
KRZYSZTOF NAPIÓRKOWSKI
PATRYCJA NOWICKA TULIA
NATALIA NYKIEL
ANDRZEJ PIASECZNY
SIDNEY POLAK
REMIGIUSZ POŚPIECH KALWI & REMI
RED
POLA RISE
PAWEŁ ROSAK
PIOTR RUBIK
PAWEŁ RURAK-SOKAL BLUE CAFE
SARSA
SASZAN
DOMINIKA SIEPKA TULIA
JOANNA SINKIEWICZ TULIA
URSZULA SIPIŃSKA
GRZEGORZ SKAWIŃSKI
STANISŁAW SOYKA
JACEK STACHURSKY
MUNIEK STASZCZYK
MICHAŁ SZPAK
IZABELA TROJANOWSKA
JAROSŁAW WASIK DYREKTOR MPP W OPOLU
ANIA WYSZKONI
ZAGI
DARIA ZAWIAŁOW

eprasa.pl cfc5ba4834

Jan Parys

Ostatnie wydarzenia polityczne uczyniły z zaplanowanej rozmowy Andrzeja Dudy i Donalda Trumpa fakt naprawdę ważny dla obu stron

Nadchodzi nowy świat

W lipcu prezydent Trump odwiedził kwaterę główną sojuszu północnoatlantyckiego, w której spotkał się z sojusznikami z Europy. Wtedy bardzo wyraźnie przedstawił swoje stanowisko, m.in. na temat konieczności powiększenia nakładów na zbrojenia, w sprawie nałożenia sankcji wobec Iranu oraz w sprawie zatrzymania budowy Nord Stream 2.

I politycy, i opinia publiczna czekają na reakcje państw europejskich wobec postulatów USA. Liczy się tu przede wszystkim stanowisko największych państw, czyli Niemiec i Francji. Wiadomo, że wiele innych, mniejszych państw pójdzie ich śladem. Odpowiedź z Berlina już przyszła. Kanclerz Merkel, nie bacząc na sankcje związane z agresją rosyjską na Ukrainę, zaprosiła na rozmowy najpierw szefa sztabu armii rosyjskiej, a potem prezydenta Putina. Podczas wizyty rosyjskiego szefa sztabu omawiano kooperację w dziedzinie wojskowej. Podczas rozmów z Putinem ogłoszono pełne poparcie dla budowy rurociągu NS 2 oraz dla blokowania sankcji, które wobec Iranu stosuje administracja USA.

Za dalszą odpowiedź na postulaty Trumpa można uznać artykuł, który we wrześniu szef niemieckiego MSZ opublikował w „Handelsblatt". Heiko Maas ogłosił ofensywę Europy wobec polityki Trumpa. Nie chce zrywać relacji między USA a Europą, lecz oczekuje tego, by były zrównoważone, ignoruje pozycje USA w sojuszu. Wytyka też, że czasem USA działają na szkodę Europy, np. zrywając porozumienie z Iranem czy prowadząc starania o zmianę ceł między Europą a USA. Maas proponuje, by kraje Europy zbudowały większe własne siły obronne oraz by stworzyły własny system rozliczeniowy i fundusz walutowy.

Kilka dni po publikacji tego manifestu francuscy politycy podczas dorocznej narady ambasadorów w Paryżu nie tylko poparli idee Maasa, lecz także dołożyli swoje – proponują pełną centralizację UE, likwidację państw narodowych, oddanie praktycznie wszelkich kompetencji do Brukseli, budowę suwerenności Europy wobec USA dzięki współpracy z Rosją. Można zatem powiedzieć, że Niemcy i Francja dokonały zwrotu w polityce zagranicznej, a ponadto zakładają, iż cała Europa pójdzie ich śladem. Oczywiście ani Berlin, ani Paryż nie konsultowały z żadnym państwem Unii swoich nowych pomysłów.

ROSJA NIEZGODY

Wobec tych zdarzeń wizyta prezydenta Dudy w USA nabiera nagle nowego i dużego znaczenia. Polska od lat realizowała sugestie Zbigniewa Brzezińskiego, który powtarzał: jeżeli chcecie, by się z Warszawą liczono w Waszyngtonie, pilnujcie dobrych relacji z Niemcami. To było możliwe dopóty, dopóki Niemcy i USA prowadziły podobną politykę zagraniczną. Jednak od paru lat dyplomacja Berlina coraz bliżej współpracuje z Rosją, a teraz wręcz zaczyna izolować się od USA. W sprawach relacji z Rosją Waszyngton ma inne zdanie niż Berlin. Polska i Stany Zjednoczone mają wspólną diagnozę zagrożeń ze Wschodu, inną niż Berlin. Dla nas i innych krajów Trójmorza wejście do NATO i UE to sposób na obronę suwerenności przed imperialnymi dążeniami Moskwy. Bliską współpracę Niemiec i Rosji traktujemy jako destabilizowanie relacji atlantyckich.

Dzisiaj to nie brexit czy migracje, lecz rozbieżności na temat relacji z Rosją zagrażają jedności i bezpieczeństwu Europy. Politycy nad Wisłą z niepokojem obserwują narastające rosyjskie zbroje-

eprasa.pl cfc5ba4834

FOT. ALEKEY VITVITSKY/SPUTNIK/EAST NEWS

nia blisko naszych granic, z niepokojem patrzą na agresję rosyjską wobec Gruzji i Ukrainy. Tymczasem politycy w Berlinie nie traktują Rosji jako zagrożenia, lecz widzą w niej partnera do interesów gospodarczych. Można zatem powiedzieć, że dyplomacja niemiecka stosuje kryteria ekonomiczne w swych decyzjach, a dyplomacja polska, odkąd PiS doszedł do władzy, za priorytet uważa zapewnienie bezpieczeństwa kraju. Stąd dla Polski tak ważny jest udział w sojuszu północnoatlantyckim oraz współpraca wojskowa z USA. Dla nas wszelkie kroki antyamerykańskie państw Unii są uderzeniem w głównego sojusznika i podważaniem bezpieczeństwa Polski. Nic zatem dziwnego, że nad Wisłą nie ma chętnych do negowania relacji z USA, do kwestionowania sensu NATO czy do balansowania współpracy atlantyckiej kooperacją z Rosją. W Europie Wschodniej obywatele pamiętają, co ich spotkało ze strony Moskwy, i do przyjaźni z Rosją się nie spieszą.

Pojawiła się zatem wyraźna rozbieżność między polską a niemiecko-francuską wizją polityki zagranicznej i Europy. Można powiedzieć, że następuje to nie z naszej winy, lecz z powodu zwrotu, który chcą zaordynować Europie Berlin i Paryż. Jednak nie o winę tu chodzi, lecz o fakty i ich konsekwencje. Fakty są bowiem takie, że wszystkie duże kraje Unii poza Polską, tj. Niemcy, Francja, Włochy i Hiszpania są prorosyjskie i gotowe do dalszej centralizacji władzy w Brukseli. To stawia nas w niekomfortowej sytuacji, bo jesteśmy na kursie kolizyjnym z dużymi partnerami w sprawach modelu UE i kierunku polityki zagranicznej. Dla Warszawy bezpieczeństwo i suwerenność to sprawy, które nie podlegają negocjacjom, i tu nie ma pola do kompromisu. Pewnym pocieszeniem może być dla nas to, że kilka innych państw należących do Trójmorza ma podobne priorytety jak Warszawa. Można jednak łatwo przewidywać, że znajdziemy się pod silną, a nawet brutalną presją ze strony Berlina i Paryża, by dopasować się do ich polityki.

POTRZEBUJEMY WSPARCIA

Wizyta prezydenta Dudy w Waszyngtonie następuje w wyjątkowo ważnym dla nas okresie. Mamy bowiem okazję przedstawić nasz punkt widzenia na sytuację w Europie, na zwrot, jaki w relacjach atlantyckich kreują Niemcy i Francuzi.

Polska jest dziś jedynym dużym krajem w UE, który jest za silnymi więzami atlantyckimi i nie ma zamiaru brać udziału w antyamerykańskich krucjatach. To nas naraża na szantaż ze strony Francji i Niemiec.

Trzeba w Waszyngtonie powiedzieć otwarcie, że aby Polska utrzymała proamerykańską politykę, potrzebuje wsparcia dla siebie i dla całego Trójmorza. Potrzebne jest wsparcie w dziedzinie wojskowej w postaci trwałej obecności wojsk amerykańskich, potrzebne jest wsparcie ze strony dyplomacji USA, kiedy Bruksela zacznie nas szykanować, potrzebna jest współpraca gospodarcza, która pokaże, iż UE nie jest jedynym możliwym źródłem dużych inwestycji w naszym regionie. Możemy to nazwać nowym planem Marshalla, tym razem dla Europy Środkowo-Wschodniej, czyli państw Trójmorza.

Oprócz pomocy sensu stricto ważnym rozwiązaniem może być oferta kredytów gwarantowanych i nisko oprocentowanych dla firm inwestujących w państwach Trójmorza. Trzeba uświadomić politykom w USA, że samo polityczne wsparcie nie wystarczy. Jeżeli USA chcą utrzymać swe aktywa w Europie, potrzebne jest także i wsparcie materialne. To oczywiste, że największe inwestycje zagraniczne USA powinny być w krajach, które są wiarygodnymi sojusznikami i zwolennikami utrzymania współpracy atlantyckiej. Wówczas Bruksela nie będzie mogła zlekceważyć pozycji Trójmorza ani zastraszyć 100 mln jego mieszkańców.

HISTORYCZNY MOMENT

Aby podkreślić znaczenie rozmów prezydenta w USA, warto wspomnieć, że parę razy nasz kraj tracił swą pozycję, mimo że miał dobrą sytuację gospodarczą i przeprowadzał konieczne reformy państwa. Było tak, kiedy zawiodła dyplomacja, która była słaba lub bierna, i straciliśmy historyczny moment, nazywany przez fachowców oknem możliwości.

Polska jest teraz w najtrudniejszym momencie od zakończenia zimnej wojny. Wizyta prezydenta Dudy w USA to szansa, by utrzymać naszą pozycję międzynarodową, którą zbudował podczas pierwszych dwóch lat rządzenia PiS. Trzeba wykazać, że znaczenie Polski w relacjach z USA wynika także z obecnej sytuacji geopolitycznej w Europie. Bez nas USA nie utrzymają swych wpływów w tym regionie.

Oczywiście można i trzeba przedstawić inne argumenty świadczące o naszym zaangażowaniu we wzajemne relacje, np. gotowość do ponoszenia kosztów budowy infrastruktury dla wojsk USA w Polsce – że wydajemy 2 proc. PKB na obronność, że już podpisaliśmy wieloletnie kontrakty na zakupy w USA gazu i ropy, że dokonujemy dużych zakupów uzbrojenia w Ameryce, że kwestionujemy ekonomiczny sens budowy NS 2, bo uważamy to za kanał do finansowania rosyjskich zbrojeń przez Niemcy. Lecz najważniejsze jest to, że chcemy budować jeden wspólny świat z USA, a nie z Rosją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest socjologiem i publicystą, był ministrem obrony narodowej.

eprasa.pl cfc5ba4834

Spotkanie RAPORT DO RZECZY Duda – Trump

Polska a „plan Marshalla 2.0”

Tomasz Wróblewski

Waszyngton odmraża zimnowojenne instytucje w konflikcie z Chinami o nowy porządek świata. Polska ma unikatową okazję wykorzystać ochłodzenie niemiecko-amerykańskich stosunków i być częścią nowego planu Marshalla

FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

Kiedy prezydent Duda zasiądzie do rozmów w Gabinecie Owalnym, jego myśli będą pewnie krążyły wokół Rosji. Zagrożenia dla naszej wschodniej granicy, neutralizowania agresywnej wojny podjazdowej Putina w Internecie, a nade wszystko wokół Nord Stream 2 i zagrożenia energetycznego dla Polski. Myśli Trumpa będą krążyły głównie wokół Chin, ekspansywnej polityki Pekinu na świecie i zagrożenia dla amerykańskich interesów. Głównie w Azji, Afryce, Ameryce Południowej, a także wszędzie tam, gdzie w wyniku globalnych zawirowań pojawiła się albo wkrótce może się pojawić próżnia polityczna. Polska nie jest oczywiście Boliwią, Sri Lanką ani Mozambikiem pozostawionym samemu sobie i skazanym na chińskie przejęcia. Pogarszające się jednak stosunki na linii Warszawa – Bruksela i ponawiane pogróżki eurokratów o odcinaniu nas od unijnych funduszy w naturalny sposób kwalifikują Polskę do nowego, wciąż jeszcze nieformalnego programu wsparcia ekonomicznego państw wystawionych na pożarcie Chinom.

WOJNA O WPŁYWY

Mało znana agencja Overseas Private Investment Corporation (OPIC), zajmująca się wsparciem dla amerykańskich inwestycji zagranicznych w państwach szczególnej wagi dla amerykańskich interesów politycznych w świecie, może wkrótce odgrywać rolę podobną do tej, jaką swego czasu odgrywał European Recovery Program, zwany planem Marshalla, od jego pomysłodawcy gen. George’a Marshalla. W latach 1948–1951 Stany Zjednoczone wydały 13 mld dol. (równowartość ponad 110 mld dol. dzisiaj) na odbudowę gospodarczą Europy. Najlepsze antidotum na eksport sowieckiej rewolucji klasowej. OPIC stworzony został jeszcze w epoce prezydenta Nixona, w 1971 r., w apogeum zimnej wojny. Jako program zainicjowany przez ówczesnego sekretarza stanu Henry’ego Kissingera, miał być narzędziem do prowadzenia cichej wojny przeciwko ówczesnemu Związkowi Sowieckiemu, z wykorzystaniem prywatnych amerykańskich firm. OPIC spełnił swoje zadanie. Często pojawiając się nawet w amerykańskich filmach szpiegowskich, gdzie zacierała się linia podziału między amerykańskimi korporacjami a amerykańskimi szpiegami. Związek Sowiecki upadł i jeszcze rok temu OPIC był jedną z agencji rządu, które Trump chciał zamknąć. Zgodnie z filozofią, że amerykański biznes w swoich inwestycjach

eprasa.pl cfc5ba4834

powinien kierować się własnym interesem, a nie uzależniać go od pomocy rządu.

Niezależnie od tego, jak wolnorynkowa idea może być bliska Trumpowi i republikańskim senatorom, to dziś OPIC ma dostać nowe fundusze i odegrać nową prominentną rolę w globalnych zmaganiach Ameryki o dominację w świecie. We wrześniu senat ma ostatecznie przegłosować zmiany w ustawie o OPIC, żeby szybko utorować drogę pierwszemu 60-miliardowemu wsparciu dla rządowej korporacji. Projekt o finansowaniu strategicznych zadań inwestycyjnych piorunem przeszedł przez Izbę Reprezentantów, zdobywając wsparcie – co rzadko się zdarza – zarówno republikanów, jak i demokratów. Koncept zrodził się w National Security Council (Rada Bezpieczeństwa Narodowego) i zanim jeszcze zapadły decyzje, grupa senatorów wsparła go osobnym apelem do sekretarza stanu i sekretarza skarbu.

Nowa agencja dostanie specjalne uprawnienia do wspierania finansowo państw wszędzie tam, gdzie może to podważyć czy osłabić wpływy Chin. Najbardziej spektakularne inwestycje Chin to przejmowanie za długi portów morskich na Sri Lance, złóż energetycznych i rzadkich metali w Ameryce Południowej oraz na pozór niewinne pożyczki dla rządów w Afryce, południowej i środkowej Azji, które niespłacane na czas stają się narzędziem politycznego podporządkowywania sobie państw. Czasem tak znacznych jak Pakistan i Kolumbia. Chiny, według dziennika „The Wall Street Journal", prowadzą obecnie inwestycje w ponad 70 państwach, które OPIC uznaje za strategicznie niebezpieczne. Korporacja ma nie tylko przelewać pieniądze, lecz także prowadzić poszczególne projekty, tak jak prowadzi się prawdziwe inwestycje, zakładając zysk. Koncentrując się na budowie nowej infrastruktury, nowych możliwości energetycznych czy komunikacyjnych. Na czele OPIC stoi obecnie bardzo wpływowy Ray Washburne. Do niedawna szef finansowy kampanii Trumpa, co tylko zdaje się potwierdzać wagę, jaką administracja przywiązuje do projektu.

POLSKA W GRZE

Dla Polski poszukującej dziś wsparcia w rozbudowie infrastruktury gazowej, budowy nowego gazoportu i przy okazji zwiększenia naszej roli w grupie państw międzymorza to może być wymarzona okazja. Z przesłuchań w Kongresie należy wnosić, że oprócz OPIC rząd rozważa wykorzystanie innych, mało znanych instytucji do prowadzenia antychińskiej ekspansji gospodarczej, co również powinno znaleźć się w centrum zainteresowania polskiej dyplomacji.

Dla Polski wyzwaniem będzie z kolei takie przestawienie naszych ambicji gospodarczych i pozyskiwania nowych inwestycji, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości Waszyngtonu co do naszych planów pozyskiwania chińskiego kapitału. Czy Centralny Port Komunikacyjny ma być hubem dla chińskich ekspansji na Europę Zachodnią czy raczej amerykańskiej na Europę Środkową, w tym potencjalnym lądowiskiem dla amerykańskich wojsk? Czy nasza rola w Azjatyckim Banku Inwestycji Infrastrukturalnych – chińska odpowiedź na Międzynarodowy Fundusz Inwestycyjny – ma być dalej wzmacniana w miarę, jak staje w wyraźnej opozycji do amerykańskich interesów? (USA, Kanada, Japonia nie są członkami ABII).

Odpowiedzi na te pytania prezydent Duda powinien mieć gotowe, kiedy wejdzie do Białego Domu. Niechęć do Rosji może nie wystarczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl cfc5ba4834

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Outsourcing wychowania

Opowiadano mi niedawno o pewnym ojcu, który chciał nauczyć córeczkę grać w szachy. W tym celu sprowadził jej do domu instruktora na indywidualne lekcje. Mógł oczywiście robić to sam, ale mu się nie chciało.

Outsourcing to znak rozpoznawczy globalnego kapitalizmu wyposażonego w Internet. Gdyby ktoś nie wiedział: polega to na zlecaniu rozmaitych usług poza własną firmę. Na przykład w USA robi się pacjentowi zdjęcie rentgenowskie, które przesyła się do Indii, a tam anglojęzyczny lekarz robi jego opis. Wychodzi taniej, a niekiedy i szybciej. Oczywiście nie zawsze trzeba korzystać z pomocy Hindusów, choć klienci rozmaitych infolinii zza Atlantyku myślą chyba inaczej.

Wydaje mi się, że nabrzmiewa zjawisko, które nazwałbym outsourcingiem wychowania. Oczywiście to problem bogatego świata, w którym rodzic ma pieniądze na rzeczy, które mógłby zrobić sam. Ale w środowisku warszawskiej klasy średniej, które znam nie najgorzej, to dość popularne rozwiązanie. Przy czym nie zawsze ten outsourcing bierze się z rodzicielskiego lenistwa czy przepracowania.

Rynek usług nakierowanych na dzieci jest gigantyczny. Możemy dzieciaka uczyć chińskiego, robotyki, gry w tenisa, geografii oraz oczywiście piłki nożnej. Możemy uczyć wielu rzeczy, o których sami nie mamy pojęcia. Pokusa, by sięgnąć po zewnętrznego instruktora, lepszego od nas specjalistę (jeśli się ma oczywiście kasę), jest silna.

Czasami jednak złudna. Owszem, chińskiego sami nie nauczymy. Ale dwulatka nie musimy kierować na „profesjonalne" treningi piłki nożnej. Wystarczy się z nim pobawić. A sześciolatka sami możemy nauczyć grać w szachy – oczywiście o ile nie jest genialnym dzieckiem, które daje nam mata w ośmiu ruchach. Wtedy faktycznie potrzebujemy wsparcia.

Nie chcę się tu wymądrzać, ani tym bardziej potępiać rodziców fundujących potomstwu mnogość zajęć pozalekcyjnych. Sam się złapałem na tym, że kiedy tylko mój syn bąknął o jakiejś nowej (zazwyczaj chwilowej) pasji, to już w Internecie szukałem mu warsztatu, kursu czy instruktora. Tymczasem wiele możemy dać od siebie – bez wydawania pieniędzy. Ostatnio czytałem o wynikach badań amerykańskich psychologów, którzy – jak to oni – udowodnili oczywistą oczywistość: że dla dziecka lepszy jest czas spędzony z rodzicami niż nadmiar dodatkowych zajęć.

Sęk w tym, że ten outsourcing dotyczy już czasem wychowania sensu stricto. Zetknąłem się kilka razy z sytuacjami, w których rodzice poinformowani o przypadkach dręczenia dzieci przez rówieśników, mądralistycznym tonem wyrokowali, że dzieci same muszą się z tym uporać. Nic z tych rzeczy. Nikt za nas nie nauczy ich odróżniać dobra od zła. Chiński ostatecznie możemy odpuścić. Ale tego nie. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Kult cargo

Podobno jeszcze całkiem niedawno mieszkańcy Melanezji nie widzieli większego związku między uprawianiem seksu a rodzeniem się dzieci. I ku zaskoczeniu badaczy w rodzaju naszego Malinowskiego logicznie to uzasadniali. To, że przyczyna i skutek nie muszą być postrzegane jako ciąg konsekwencji, dowodzi polityka.

Oto w świetle sondaży okazuje się, że dla większości obywateli pewne sprawy się ze sobą nie łączą. Wydawać by się np. mogło, że coś takiego jak afera reprywatyzacyjna powinno wykluczyć całą formację (nie wahajmy się użyć nazwy – Obywatelską) z możliwości jakiegokolwiek sukcesu w Warszawie. A tu się okazuje, że wprawdzie zdecydowana większość uważa, iż kradzież cudzego mienia jest złem, a wyrzucanie na bruk ludzi z przejętej kamienicy łajdactwem, to odpowiedzialnością nie obciąża partii winowajców. Trzaskowski ciągle ma duże szanse, a pani Gronkiewicz, gdyby kandydowała, zapewne wygrałaby w cuglach. Na podobnej zasadzie nie robią na gdańszczanach wrażenia (na razie) wszystkie grzechy Adamowicza. Aberracja? Sądzę raczej, że hierarchia celów. Wyborca niekoniecznie musi być skończonym głąbem, tylko ma inne priorytety, niż się nam wydaje… Obiektywnie rzecz biorąc, kobieta mając do wyboru czarującego łajdaka albo nudnawego poczciwca, nie powinna się wahać. A jednak w życiu częściej woli łajdaka.

> **Wyborca niekoniecznie musi być skończonym głąbem, tylko ma inne priorytety, niż się nam wydaje**

Podobnie nieoczywisty jest związek korupcji z postępem gospodarczym czy zasad doboru kadr z funkcjonowaniem np. sądów. Wbrew temu, co się sądzi, polityka nie jest konkursem piękności, wszelkie wybory w oczywistym stopniu nim są. Bardziej od faktów nośne są wrażenia, obiecanki, sentymenty i resentymenty. Jeśli Jaki w końcu wygra, to prawdopodobnie ważniejsze może się okazać to, że stał pod blokiem, niż że zasiadał w komisji weryfikacyjnej. Na decydującym etapie rozgrywki przeciwko sile argumentów występować będą siła przyzwyczajenia, siła przekazu i ogólne wrażenie. Niby wszyscy się zgadzają, że policja powinna łapać bandytów, ale już jej brutalność może, paradoksalnie, przysporzyć sympatii aresztowanym, a nawet doprowadzić do zamieszek.

Mieszkańcy Melanezji nie byli idiotami, ale nie widząc nigdy całego samolotu, traktowali wyrzucane na brzeg fragmenty i towary z rozbitych maszyn jako dar bogów. ©℗

eprasa.pl cfc5ba4834

PATRONAT HONOROWY

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY

ORLEN

PHN

GRUPA CEDROB

Poczta Polska

arp

LANDESKRONE

LUBOMIRSKICH

PARTNER MERYTORYCZNY

pwc

eprasa.pl cfc5ba4834

Grzegorz Kucharczyk

Uległość w

Wyznawcy islamu nie zdobyli Wiednia szturmem w XVII w., zdobyli go teraz, zasiedlając latami Austrię. I dlatego odsiecz wiedeńska dziś to dla niektórych wyraz islamofobii

Oferta złożona mieszkańcom Wiednia była jednoznaczna: „Proponujemy najpierw wam we własnych osobach islam. Jeżeli staniecie się muzułmanami, będziecie ocaleni. Jeżeli nie stając się nimi, poddacie zamek bez walki, to zastosujemy się w nim do przykazania Allaha: maluczkim z was ani wielmożom, bogatym ani biednym nie będzie wyrządzona żadna krzywda – wszyscy będziecie żyć w bezpieczeństwie i pokoju".

Oferta uwzględniała także inny scenariusz: „Jeśli będziecie się sprzeciwiać i stawiać opór, to wówczas z łaski Allaha Najwyższego zamek Wiedeń zostanie przemożną potęgą padyszacha zdobyty i opanowany, a wtedy ani jednej osoby nie oszczędzi się i nie pożałuje, lecz gwoli Allaha Najwyższego, który stworzył ziemię i niebiosa, a żadnych wspólników nie ma – wy sami będziecie wyrżnięci, mienie wasze i zapasy żywności będą złupione, zaś wasze dzieci pójdą w jasyr".

W ten sposób do wiedeńczyków zwracał się we wrześniu 1683 r. dowódca armii tureckiej oblegającej stolicę monarchii Habsburgów – wielki wezyr Kara Mustafa. „Przemożna potęga padyszacha" okazała się jednak za słaba w konfrontacji z armią państw chrześcijańskich, która przybyła na odsiecz Wiedniowi. Dowodził nią specjalista od zwycięstw nad Turkami i Tatarami (nieprzypadkowo nazywany nad Bosforem Lwem Lechistanu), co m.in. udowodnił 10 lat wcześniej, gromiąc Turków i Tatarów pod Chocimiem, król Polski Jan III Sobieski. Armia koronna, która pod jego dowództwem przybyła pod mury Wiednia, stanowiła również najliczniejszy kontyngent wśród wojsk chrześcijańskich. To polska husaria 12 września 1683 r., szarżując na obóz turecki, zadała ostateczny cios wojskom Porty, zmuszając je do ucieczki w popłochu spod habsburskiej stolicy.

CZY TO BYŁA WIKTORIA?

W ciągu ponad 300 lat, które upłynęły od tego wydarzenia, powstała odrębna historia pamięci o wiedeńskiej wiktorii. W XIX w., gdy nie było państwa polskiego na mapach Europy, w historiografii krajów niemieckojęzycznych (przede wszystkim pruska, ale również austriacka) przekonywano, że bitwa wiedeńska w 1683 r. była „wielkim niemieckim zwycięstwem". Wymazywanie kluczowego dla zwycięstwa w tej bitwie wojsk chrześcijańskich udziału króla Polski i jego ponaddwudziestotysięcznej armii miało wspomagać prowadzoną wówczas – także na kartach dzieł historycznych – swoistą wojnę kulturową przeciw Polakom, której integralną częścią było przedstawianie naszych przodków jako nieucywilizowanych nieudaczników potrzebujących pruskich i austriackich kulturtregerów. Przypominanie tego, że Polacy walnie przyczynili się do uratowania Austrii, a w dalszej konsekwencji reszty Europy, przed kolejną falą podbojów islamskich, rzecz jasna kłóciło się z taką propagandową tezą.

Dzisiaj jesteśmy świadkami innego konstruowania „kultury pamięci" (modne słowo) wokół wiedeńskiej wiktorii. O ile wcześniej „rekonstruowano" skład zwycięskiej armii chrześcijańskich władców (bez Sobieskiego i armii koronnej), o tyle obecnie przedmiotem podobnych zabiegów jest słowo „wiktoria". Czy to aby na pewno było zwycięstwo? A jeśli tak, to kogo nad kim? Czy we wrześniu 1683 r. nie doszło czasem do erupcji jakiejś straszliwej islamofobii, której apogeum była napaść przybyszów z katolickiej (czytaj: kulturowo zapóźnionej) Polski na chcących kulturowo ubogacić Wiedeń przybyszów z Turcji i innych

eprasa.pl cfc5ba4834

krajów Orientu? Przez polską agresję ta próba kulturowej i etnicznej dywersyfikacji monarchii naddunajskiej została brutalnie zduszona w zarodku.

HOMOFOBICZNY POMNIK?

Publicystyczna przesada? W żaden sposób. To tylko krótkie streszczenie głosów przeciwników umieszczenia w dniu 12 września 2018 r. na Kahlenbergu (z tego wzgórza dowodził armią chrześcijańską Jan III Sobieski) pomnika króla Polski, który został ufundowany staraniem austriackiej Polonii (zbiórka funduszy trwała od 2013 r.). Konny wizerunek polskiego władcy w otoczeniu szarżującej husarii (to z Kahlenbergu skrzydlaci rycerze ruszyli na Turków) stał się dla rządzącej Wiedniem austriackiej socjaldemokracji pomnikiem „kontrowersyjnym", bo mogącym „rozbudzać antytureckie resentymenty".

W ten sposób swój sprzeciw latem tego roku uzasadniał socjaldemokratyczny burmistrz Wiednia Michael Ludwig. Zakomunikował to prezydentowi Krakowa Jackowi Majchrowskiemu jako włodarzowi partnerskiego dla stolicy Austrii miasta. Pomnik Jana III na Kahlenbergu miał być dowodem na istnienie tego wiedeńsko-krakowskiego partnerstwa, ale opierając się na negatywnej opinii miejscowej rady ds. pomników, wiedeński magistrat wstrzymał zgodę na erygowanie monumentu. Teraz strona austriacka „pozwala" na postawienie gotowego już pomnika nie w Wiedniu, ale w Krakowie, a na Kahlenbergu ma stanąć jakiś inny pomnik „zgodny z obecnymi standardami" i zaopatrzony w tablicę o treści wspólnie uzgodnionej ze stroną polską.

Tekst, który ma zostać umieszczony na tablicy, już znamy i jest on klasycznym przykładem postawy, którą można określić mianem „wstydliwego upamiętniania". Osoby zatrzymujące się, aby przeczytać, jakie wydarzenie jest w ten sposób przypominane, będą mogły dowiedzieć się, że bitwa wiedeńska w 1683 r. była kolejnym wydarzeniem towarzyszącym „starciu dwóch imperiów" – osmańskiego i habsburskiego. To tak, jakby na pomnikach upamiętniających bitwę nad Bzurą z 1939 r. pisać, że była ona jednym z wydarzeń towarzyszących „długiej historii konfliktów polsko-niemieckich".

Czytając tego typu wygibasy semantyczne, gubiące podstawową kwestię, kto był agresorem, a kto się bronił, przypominają się słowa Gilberta Chestertona. Autor „Wiekuistego człowieka" już dawno temu zauważył, iż „ci, którzy twierdzą, że krucjaty były po prostu agresywnym najazdem, wymierzonym przeciw islamowi, padli ofiarą przedziwnego zapomnienia. Zapomnieli, że sam islam był po prostu agresywnym najazdem, wymierzonym przeciw starej i rządzonej prawem cywilizacji, kwitnącej niegdyś na wybrzeżach śródziemnomorskich. […] Arabski dżentelmen, którego nakryliśmy, gdy galopował drogą na Paryż albo łomotał w bramy Wiednia, nie powinien się uskarżać, że i my odnaleźliśmy go potem w jego prostym namiocie na pustyni".

„NOWY LUD" Z „NOWĄ PAMIĘCIĄ"

Oczywiście wyprawa wiedeńska nie była częścią krucjaty do Ziemi Świętej, ale była jednym z kluczowych wydarzeń w długiej, trwającej od VII w. wojnie muzułmańsko-chrześcijańskiej, rozpoczętej agresją islamu najpierw na chrześcijański Bliski Wschód, potem na katolickie królestwo Wizygotów w Hiszpanii i na Konstantynopol. Od XIV w. kolejną odsłoną tych agresywnych działań była ekspansja Turków osmańskich najpierw na Bałkanach, a potem w środkowej Europie. Po raz pierwszy „turecki dżentelmen" załomotał w bramy Wiednia już w XVI w., zaledwie parę lat po zbrojnym podboju Węgier (bitwa pod Mohaczem w 1526 r.). Wiktoria wiedeńska w 1683 r. była kolejnym dowodem – po Poitiers (732 r.), Belgradzie (1456 r.), Lepanto (1571 r.) i Chocimiu (lata 1621 i 1673) – na to, że ekspansji islamu w głąb Europy nie powstrzyma żaden dialog międzyreligijny, mizdrzenie się do agresorów, tylko siła militarna. Każda z tych wojen była po stronie wyznawców Chrystusa klasyczną wojną sprawiedliwą (chrześcijaństwo nie zna pojęcia wojny świętej, tak charakterystycznej dla islamu) – obronną,

W 1683 r. odparcie Turków spod Wiednia przez Jana III Sobieskiego było ocaleniem chrześcijańskiej Europy. Dzisiaj już nie dla wszystkich to jest takie jasne FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl cfc5ba4834

toczoną przeciw tym, którzy chcieli zgubić ich dusze i ciała.

Jakże jednak upamiętniać takie wydarzenia w dzisiejszej politpoprawnej Europie, której nową religią polityczną stała się ideologia multikulturalizmu promowana przez „pokolenie '68", które dokonało zwycięskiego marszu przez polityczne, naukowe i medialne instytucje świata zachodniego. Rządząca Wiedniem socjaldemokracja nie jest pod tym względem żadnym wyjątkiem, wręcz odwrotnie – stanowi doskonałą egzemplifikację mechanizmu uległości, duchowego i intelektualnego rozbrojenia się europejskich elit wobec ekspandującego islamu, co opisał w swojej głośnej powieści Michel Houellebecq.

Polacy wykonali pomnik odsieczy wiedeńskiej, ale władze Wiednia uznają teraz, że jest to zbyt islamofobiczne FOT. KOMITET BUDOWY POMNIKA KRÓLA JANA III SOBIESKIEGO

Najpierw jest kryzys wiary, a za nim postępuje kryzys rozumu (w tym rozumu politycznego). Wypowiadające wojnę resztkom chrześcijańskiego dziedzictwa kultury europejskiej „pokolenie rewolucji '68" da religię „zastępczą" przyjęło ideologię multikulturalizmu. Po 1989 r. stało się jasne, że marksizm okazał się martwy, ale przecież rewolucja musi trwać. Na przełomie stuleci jej głównym narzędziem stało się zideologizowane pojęcie wielokulturowości, wspomagane przez politpoprawność i coś, co kanadyjski socjolog M. Bock-Côté nazywa pokutną historiografią.

Chodzi o to, aby „nowy lud" (stare marzenie wszystkich rewolucjonistów) był wyposażony w „nową pamięć służącą celebracji różnicy [kulturowej, etnicznej]". Jak pisze ten sam kanadyjski uczony: „Dyskurs historyczny jest niezbędny do przebudowy legitymacji politycznej. Dla swoich promotorów, którzy wierzą, że nauczają prawdy, którą wreszcie udało się im odsłonić, historyczne »wyrzuty sumienia« są elementem pedagogii niezbędnej dla osłabienia systemu odpornościowego społeczeństw zachodnich i doprowadzenia ich do zgody na ich całkowitą transformację".

Także transformację etniczną, a to na skutek podejmowanych w oderwaniu od norm zdrowego rozsądku decyzji politycznych odnoszących się do nadzorowania (a właściwie jego braku) ruchów migracyjnych. Można argumentować, że z punktu widzenia lewicy kierującej się wyżej zarysowanym ideologicznym konceptem polityka „otwartych drzwi" (Willkommen Politik) zgadza się z projektem uczynienia „nowego ludu". Tyle że przez szeroko otwarte drzwi napływają ci (tj. muzułmanie), którzy są jak najdalsi od afirmowania drogich dla starej i nowej lewicy „wartości" typu: prawa tzw. mniejszości seksualnych, feminizm czy wreszcie laicyzacja sfery publicznej. W ten sposób wspierająca faktycznie muzułmańską imigrację europejska lewica kręci bicz na siebie. Gdybyż tylko na siebie! Jej intelektualna i polityczna uległość wobec rosnących liczebnie muzułmańskich populacji w Europie dotyka nas wszystkich. Jak pokazują perypetie wokół pomnika Jana III Sobieskiego w Wiedniu, dotyczy także Polski, choć na razie pośrednio i w sposób symboliczny.

SĄ JUŻ ZA BRAMĄ

Niemniej jednak „kontrowersje" wokół „homofobicznego" pomnika polskiego władcy w austriackiej stolicy jak w soczewce skupiają konsekwencje tego podwójnego kryzysu – wiary i rozumu – toczącego europejskie elity polityczne i kulturowe. Według przeprowadzonych w 2016 r. badań statystycznych w liczącej ok. 8,7 mln mieszkańców Austrii muzułmanie stanowią 8 proc. ludności (700 tys.) i są najdynamiczniej rozwijającą się populacją w tym państwie. Podczas poprzedniego badania przeprowadzonego w 2001 r. ich odsetek wynosił jedynie 4 proc., a więc w przeciągu kilkunastu lat podwoił się, przede wszystkim na skutek demograficznej prężności, ale i licznej imigracji z Bliskiego Wschodu oraz z Bałkanów.

W samym Wiedniu te statystyki są jeszcze bardziej wymowne. W 2001 r. muzułmanie stanowili ok. 8 proc. ogółu mieszkańców stolicy Austrii. Według badań z 2016 r. jest ich tam już 14 proc. (260 tys.). Wiosną 2017 r. austriackie media publikowały prognozy demografów i statystyków, którzy na podstawie przeprowadzonych rok wcześniej badań kreślili różne scenariusze rozwoju sytuacji demograficznej w Austrii i jej stolicy. We wszystkich wariantach jedno pozostawało stałe: wzrost liczebności muzułmanów i spadek liczby katolików (poniżej 50 proc.). W zależności od prognozowanego nasilenia imigracji wskazuje się, że w ciągu kolejnych trzech dekad ludność muzułmańska w Austrii wzrośnie od 12 proc. do nawet 20 proc. Niektóre prognozy wskazują, że w 2046 r. w stolicy Austrii muzułmanie będą stanowić 30 proc. wszystkich mieszkańców, w ten sposób tworząc najliczniejszą grupę wyznaniową, przy stałym trendzie spadkowym wśród katolików.

Co tam prognozy! Spójrzmy na obecną sytuację. We wrześniu 2017 r. austriackie media podały, że w wiedeńskich szkołach prowadzonych przez państwo po raz pierwszy liczba uczniów muzułmańskich (32 tys.) przewyższyła liczbę uczniów chrześcijańskich (30 tys.). Według danych z lutego 2008 r. 40 proc. żołnierzy w kompanii (a właściwie: batalionie) reprezentacyjnej austriackiej Bundeswehry stanowili muzułmanie. Wygląda więc na to, że „zamek Wiedeń" został zdobyty przemożną potęgą demografii i imigracji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Oblężenie '39

To niebywałe, że ta książka dopiero w 2018 r. została przetłumaczona i wydana w Polsce! „Widziałem oblężenie Warszawy" Alexandra Poloniusa pierwszy raz ukazało się w 1941 r. w Wielkiej Brytanii. I zrobiło furorę na świecie. Autorem był polski naukowiec z brytyjskim paszportem, który w 1939 r. przyjechał na wakacje do kraju. I tu zastała go wojna.

Polonius przebywał w Warszawie podczas niemieckiego oblężenia i w swojej barwnej, żywej relacji odmalował wstrząsający obraz wojny. Pikujące bombowce Luftwaffe, płonące budynki, sterty gruzów, ciała zalegające na ulicach, szalejące pożary. Bohaterstwo obrońców. A także narastające rozczarowanie z powodu braku wsparcia aliantów.

„Sobota, 23 września. Z każdym dniem sytuacja staje się coraz smutniejsza – notował Polonius. – Częściowo powodem jest narastający głód, częściowo fakt, że tak wyczekiwana przez wszystkich pomoc nie nadchodzi. Za granicą nasza odwaga wzbudza podziw i… słowa, słowa, słowa".

Książka obfituje w wartkie opisy walk.

„Nagle około dwudziestu naszych żołnierzy wyskoczyło z nasadzonymi bagnetami i rzuciło się w kierunku niemieckich pozycji. Odgłos karabinów maszynowych brzmiał jak zwielokrotniony stukot setki gigantycznych maszyn do pisania. Jeden z naszych żołnierzy przewrócił się, po nim następny i następny, ale wciąż posuwali się do przodu. Jednak Niemcy nie zamierzali dać się wyprzeć z okopów. Strzelali wściekle i zarzucili naszych gradem granatów. Ci nie pozostali dłużni i cisnęli granaty na niemieckie pozycje".

Autor wydostał się z okupowanej Polski i wrócił do Wielkiej Brytanii. Aby dostać się na statek, odbył – pełną przygód – podróż przez sowiecką strefę okupacyjną, Litwę i Łotwę. Alexander Polonius to oczywiście pseudonim. Autor nie mógł w 1941 r. podpisać książki własnym nazwiskiem, Niemcy mogliby bowiem zemścić się na jego przebywającej w kraju rodzinie.

Prawdziwe nazwisko autora ustalił tłumacz książki Marek Przybyłowicz. Zawarty w posłowiu zapis śledztwa Przybyłowicza jest nie mniej ciekawy niż sama książka Poloniusa. ©℗

★★★★★★

ALEXANDER POLONIUS
„WIDZIAŁEM OBLĘŻENIE WARSZAWY"
REBIS 2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć Wieniawy

Najgorzej mają ludzie, którzy w trudnych sytuacjach usiłują pogodzić ze sobą skłóconych polityków. Doświadczył tego osobiście Bolesław Wieniawa-Długoszowski, który po likwidacji polskich placówek we Włoszech (był ambasadorem w Rzymie) chciał być dalej przydatny dla kraju. Gdy jednak wraz z personelem ambasady przedostał się do Lizbony, otrzymał informację o zwolnieniu go ze służby, ponadto odmówiono mu zgody na przyjazd do Wielkiej Brytanii. Przedostał się wraz z rodziną do USA, gdzie utrzymywał się z drobnych prac zleconych i odczytów dla Polonii.

Człowiek honoru, który przeżył życie tak, jak chciał

Potrafił wznieść się ponad prywatne uprzedzenia i służby pod kierownictwem Sikorskiego nie uważał już za sprzeniewierzenie pamięci Komendanta. Polska była najważniejsza, a wszelkie partyjne spory należało odłożyć.

W efekcie spotkał się z zarzutami karierowiczostwa czy wręcz zdrady. Dla zwaśnionych emigrantów liczyło się tylko załatwianie porachunków, co nie przeszkadzało żadnej stronie w deklarowaniu miłości do Polski.

Wprawdzie otrzymał nominację na ambasadora na Kubie i nawet rozpoczął przygotowania do wyjazdu, w rzeczywistości jednak czekał tylko na zatwierdzenie decyzji. Do końca dbał o rodzinę, chciał, by otrzymała po nim rentę. 1 lipca 1942 r. wyskoczył z balkonu piątego piętra domu przy Riverside Drive w Nowym Jorku.

Jego śmierć wzbudziła kontrowersje, pomimo problemów bytowych i zdrowotnych Długoszowski nie był typem samobójcy. Poza tym człowiek kochający elegancję, oficer kawalerii i ambasador nie mógł skoczyć z balkonu w piżamie. List znaleziony przy zwłokach napisano częściowo ołówkiem, a resztę piórem. Czy samobójca pisuje listy pożegnalne na raty? Czy było to: samobójstwo, wypadek, morderstwo? Bez względu jednak na rzeczywisty przebieg wypadków do jego zgonu przyłożyli rękę wszyscy. Zarówno piłsudczycy, jak i zwolennicy gen. Sikorskiego, a on chciał tylko służyć Polsce…

Początkowo pochowano go w Nowym Jorku, jednak 15 września 1990 r. na krakowskim cmentarzu Rakowickim odbył się ponowny pogrzeb. Pozostał w pamięci jako wielki patriota, godny następca księcia Józefa Poniatowskiego, Kozietulskiego, ostatni polski ułan. Człowiek honoru, który przeżył życie tak, jak chciał, co potwierdzał w swoim wierszu:

Lecz gdyby mi kazały wyroki ponure
Na ziemi się meldować, by drugi raz żyć
Chciałbym starą wraz z mundurem wdziać na siebie skórę,
Po dawnemu… wojować… kochać się… i pić. ©℗

eprasa.pl cfc5ba4834

STAN WOJENNY WE WSPOMNIENIACH

NIE POZWÓLMY, ABY WYDARZENIA SPRZED LAT ULEGŁY ZATARCIU. DZIELMY SIĘ RELACJAMI Z TEGO TRUDNEGO CZASU. KAŻDY, KTO PAMIĘTA ROK 1981, NOSI W SOBIE WYJĄTKOWE WSPOMNIENIA. UŁÓŻMY Z NICH JEDYNY W SWOIM RODZAJU OBRAZ TAMTYCH DNI.

PARTNER LOTOS

PATRONAT MEDIALNY DO RZECZY wprost

eprasa.pl cfc5ba4834

WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU
MUZEUM WSPOMNIEŃ!
PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI
ZE STANU WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ
W KONKURSIE. SZCZEGOŁY NA:
WWW.SUPERHISTORIA.PL

Z prof. Andrzejem Nowakiem, historykiem, sowietologiem
rozmawia Maciej Pieczyński

Rosja nie umie nie być imperium

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czym rosyjski imperializm wyróżnia się na tle innych imperializmów?

ANDRZEJ NOWAK: Brytyjski historyk Geoffrey Hosking trafnie zauważył, że o ile Anglia, Francja czy Hiszpania miały imperia, o tyle Rosja jest imperium. Nie chodzi o czas – w pierwszych trzech przypadkach przeszły, w czwartym – teraźniejszy. Chodzi o różnicę pomiędzy „mieć" a „być". Anglia może istnieć bez kolonii, Francja podobnie. Rosja nie może (nie umie) odciąć się od imperium, ponieważ jej kolonie/podboje/peryferie nie są oddzielone od rosyjskiego centrum imperialnego żadną wielką wodą. „Naturalnymi" granicami Rosji są z jednej strony Atlantyk, z drugiej – Pacyfik. Jak dotąd udało się jej opanować tylko część tego obszaru. Specyficzny jest też sposób traktowania podbitych narodów. Prześladowano niepokorne elity poddanych ludów, zachowywano przy tym lokalne tożsamości i odrębne instytucje. W polityce imperialnej Rosji – zanim jeszcze w ramach otwarcia na Europę Piotr Wielki wprowadził nawiązującą do starożytnego Rzymu nazwę Imperium Rosyjskie – od samego początku powszechną praktyką było eksterminowanie bądź wysiedlanie ludności na zajętych terenach. Pierwszą zdobyczą Księstwa Moskiewskiego był Nowogród Wielki. Tamtejszą „wierchuszkę" wycięto w pień, część zwykłych mieszkańców wysiedlono, a na ich miejsce sprowadzono zupełnie nowe, posłuszne nowej władzy elity z terenów moskiewskich. Dokładnie w ten sam sposób kolejne wcielenia rosyjskiego imperium postępowały aż do połowy XX w., co doskonale pamiętają ostatni świadkowie likwidacji Kresów II RP.

W swojej książce pt. „Metamorfozy Imperium Rosyjskiego 1721–1921. Geopolityka, ody i narody" wymienia pan trzy czynniki orientacji geopolitycznej Rosji: dziedzictwo Złotej Ordy, zebranie ziem ruskich oraz obrona prawosławia. Na ile pierwszy z tych czynników wpłynął na brutalną, centralistyczną i radykalnie hierarchiczną specyfikę Rosji?

Dwuipółwiekowa okupacja mongolska nie miała znaczenia decydującego. To był splot wielu czynników. Po pierwsze, trudna walka o przetrwanie w surowych warunkach Dalekiej Północy, gdzie jest kolebka Rosji. Po drugie, do zarządzania ogromną, nieograniczoną przeszkodami naturalnymi przestrzenią silna ręka wydawała się niezbędna. Po trzecie, rzeczywiście Rosja, rozpięta na pograniczu eurazjatyckim, kontynuowała ekspansję terytorialną stepowych ludów azjatyckich, tyle że w przeciwnym kierunku – nie z Azji do Europy, jak choćby Mongołowie, lecz z Europy do Azji. I przyjmowała tradycje i techniki zarządzania po swoich poprzednikach.

Czy Rosja jest skazana na bycie agresywnym imperium z rządami bardzo silnej ręki?

To nie jest żaden wyrok. Rosjanie nie mają imperializmu w genach. Zbieg okoliczności historycznych doprowadził do wytworzenia pewnej kultury politycznej, odmiennej niż w Europie. Sens tej odmienności najlepiej uchwycił Jurij Łotman, wybitny rosyjski semiotyk i historyk. Wyróżnił dwie kultury polityczne. Pierwsza to kultura powierzenia siebie: poddani powierzają siebie władcy, a ten robi z nimi, za ich przyzwoleniem, co tylko uważa za słuszne. Druga to kultura umowy: poddani (obywatele) zawierają z władcą umowę, która na równych zasadach obowiązuje obie strony. W Rosji dominuje kultura powierzenia się. Władza staje się obiektem bezwarunkowego posłuszeństwa. Wiąże się to również z innym niż na Zachodzie stosunkiem do przemocy. W tym momencie politycznie poprawni, ale nieznający Rosji komentatorzy mogą się oburzać. Tymczasem to nie jest diagnoza rusofobów, tylko autointerpretacja samych Rosjan. Wystarczy poczytać Zachara Prilepina, wielkiego współczesnego pisarza rosyjskiego. W swoich powieściach, rozgrywających się w Czeczenii czy na Wyspach Sołowieckich, o zabijaniu tysięcy wrogów Rosji pisze bez żadnego oburzenia, a wręcz z fascynacją, z pewną pogardą dla życia – zarówno swoich pobratymców, jak i obcych – czyli wrogów. Car/Stalin ma prawo zabijać, także „swoich", jeśli tylko służy to imperium. „Niech będę niewolnikiem, ale niewolnikiem cara wszechświata" – tak ujął sedno tej mentalności Lermontow.

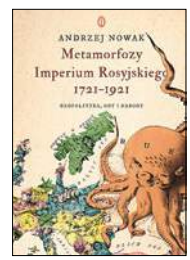

ANDRZEJ NOWAK „METAMORFOZY IMPERIUM ROSYJSKIEGO 1721–1921" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2018

Jak pisze pan w swojej książce, caryca Katarzyna rozbiory Polski uzasadniała na dwa sposoby. Na użytek europejski tłumaczyła je koniecznością stłumienia „jakobińskiego" buntu niesfornych Polaków. Na użytek wewnętrzny używała idei zebrania ziem ruskich. W jednej ze swoich notatek nakreśliła granice Polski przybliżone do późniejszej linii Curzona. Sama zresztą podkreślała, że nie zabrała ani piędzi ziemi polskiej, „tylko ruską". Dlaczego więc jej następcy wzięli także „etniczną" Polskę? Wiadomo przecież, że byli bardzo zapatrzeni w oświeconą Europę, której częścią de facto była Rzeczpospolita.

Obszar dzisiejszych Ukrainy, Białorusi i Litwy, a ówczesnej Rzeczypospolitej, na wschód od rzeki Bug, był już po czterech wiekach unii z Polską pod silnym wpływem wspomnianej kultury umowy, cywilizacji europejskiej. Rosyjska władza, nawet gdy sprawowali ją „oświeceni", tacy jak Katarzyna, dokonywała na tym terenie prawosławnej rekonkwisty, w imię utwierdzania swej imperialnej kontroli. Władcy wychodzili z założenia, że Rosja jest naturalnym sukcesorem dawnej Rusi Kijowskiej. To była jednak fikcja. Następcy Katarzyny przekonali się, że ziemie, które w X–XII w. nazywały się ruskimi, pod względem kulturowym nie są już ani tamtą Rusią, ani współczesną Rosją. Są związane tradycją, kulturą polityczną ze swoistym dziedzictwem Rzeczypospolitej. Nie można było oczekiwać, że półmilionowa polska lub spolonizowana szlachta zamieszkująca na wschód od Bugu nagle odkryje w sobie rosyjską tożsamość.

Żeby dawną Ruś „przywrócić" Rosji, trzeba było zniszczyć Polskę?

Tak. Nie chodziło jednak o eksterminację polskości rozumianej etnicznie, lecz o likwidację konkretnej kultury politycznej, którą stworzyła Rzeczpospolita na tym ogromnym obszarze międzymorza bałtycko-czarnomorskiego. Sto lat prób rusyfikacji tego obszaru zakończyło się klęską. Ale nie dlatego, że polskość zatriumfowała, lecz dlatego że w międzyczasie wytworzyły się nowe, odmienne od rosyjskiej, wersje tożsamości – ukraińska, białoruska i litewska.

W swojej książce wspomina pan o marzeniach części elit polskich, które – godząc się z dominacją Rosji – chciały u jej boku, w jej ramach, stworzyć polską autonomię, która byłaby dla imperium carów tym, czym dla Imperium Romanum starożytna Grecja, a więc prowincją słabą politycznie, podporządkowaną centrum, za to silną kulturowo. Dlaczego taki scenariusz jest z założenia niemożliwy?

W pierwszych latach istnienia Królestwo Polskie rzeczywiście cieszyło się liberalną autonomią. Ważny był też sam

eprasa.pl cfc5ba4834

fakt przywrócenia nazwy polskiego państwa na mapie Europy. Jednak w dłuższej perspektywie car Aleksander I musiał ustąpić ze swoich ugodowych pozycji. I to nie z winy polskich elit, które żądały od imperatora objęcia tą autonomią także ziem zabranych w pierwszych trzech rozbiorach. Autonomię Królestwa krytykowały przede wszystkim rosyjskie elity, którym nie podobało się, że to państewko – jako poligon dla liberalnych instytucji w Imperium – otrzymało własną konstytucję i parlament przed Rosjanami. Zwyciężyła ostatecznie koncepcja nadwornego carskiego historyka Nikołaja Karamzina, który uważał, że istnienie Polski w jakiejkolwiek formie jest zagrożeniem dla Rosji. Uważał bowiem, że nawet kadłubowe państewko polskie będzie mniej lub bardziej otwarcie dążyć do tego, by kiedyś odzyskać Grodno czy Wilno, a potem Kijów i Smoleńsk. To właśnie fenomen rosyjskiego imperializmu. Traktuje on panowanie nad ziemiami Rzeczypospolitej jako geopolityczny klucz do Europy i zarazem ma wciąż przed oczami widmo zupełnego rozpadu.

Jakie miejsce w rozwoju rosyjskiego imperializmu zajmuje komunizm?

Rosja Sowiecka tak naprawdę przejęła geopolitykę Imperium Rosyjskiego. Hasła Lenina niewiele różniły się od haseł eurazjanizmu. Eurazjaniści chcieli pójść z Azją przeciw Zachodowi. Komuniści sowieccy chcieli „wyzwolić" wyzyskiwanych mieszkańców azjatyckich i afrykańskich kolonii Zachodu. Rosja w swej imperialnej retoryce zawsze kierowała się misją „obrony słabszych". Słychać to było nawet w przemówieniu Putina na Westerplatte 1 września 2009 r. Ówczesny premier Rosji stwierdził wówczas, że jedną z przyczyn II wojny światowej była krzywda, jaką traktatem wersalskim wyrządzono… Niemcom. A zatem 17 września 1939 r. Rosja po raz kolejny stanęła w obronie pokrzywdzonego – nie tylko uciśnionych przez „pańską Polskę" Ukraińców i Białorusinów, lecz także skrzywdzonej przez Zachód III Rzeszy.

Największą część swojej książki poświęca pan idei eurazjanizmu. Jakie jest w niej miejsce dla Polski?

Eurazjanizm z założenia miał przenieść główny ciężar rosyjskiej ekspansji w kierunku Azji. Dlatego początkowo wydawało się, że koncepcja ta stwarza dla Polski szansę na pokojowe istnienie na zachodniej rubieży imperium. Taką nadzieję miał m.in. Roman Dmowski.

Eurazjanizm wciąż jest popularną koncepcją w kręgach rosyjskich elit. Ponadto Polska nie rości sobie już prawa do „dawnych ziem ruskich", więc ten antypolski argument Katarzyny i Karamzina stracił swoje znaczenie. Co więc stoi na przeszkodzie, by się z Rosją dogadać?

Polscy entuzjaści owego „dogadania się" nie biorą pod uwagę bogatej i wciąż aktualnej tradycji współpracy rosyjsko-niemieckiej. Nam ta tradycja kojarzy się jak najgorzej, natomiast w Rosji i w Niemczech, a nawet w niektórych kręgach na Zachodzie jest oceniana pozytywnie. W niedawno wydanej przez profesora Oksfordu historii I wojny można znaleźć namiętne ubolewanie, iż to zerwanie współpracy rosyjsko-niemieckiej doprowadziło do tragedii Europy. Sojusz Moskwy z Berlinem jawi się jako jedyna gwarancja na przetrwanie Europy także w szalonym świecie początku XXI w. A skoro tak naturalna i tak zbawienna jest współpraca Rosji i Niemiec, to właściwie dlaczego ma istnieć jakiekolwiek państwo między nimi?! Jeśli ktoś roi o zgodzie z Rosją imperialną, nie zrozumie, że logika imperialna zawsze pchać będzie Rosję nie do porozumienia z Polską, lecz z Niemcami.

Polscy entuzjaści „dogadania się" z Rosją nie biorą pod uwagę bogatej i wciąż aktualnej tradycji współpracy rosyjsko-niemieckiej

Putin jednak nawet „Noworosji" dotąd nie podbił. Nie usłuchał namów imperialistów, takich jak Dugin, Striełkow czy Prilepin, zatrzymał się na Donbasie i Krymie. Skąd pewność, że zechce pójść dalej?

Putin jest politykiem bardziej roztropnym niż naiwni „idealiści" skrajnego rosyjskiego imperializmu, którzy najchętniej by szli dalej z kałachem na zachód i zabijali wrogów Rosji.

Putin chce tego samego, tylko powoli? Może częścią tego planu jest formułowana od niedawna przez agencję Regnum.ru koncepcja rozbioru Ukrainy przez Polskę i Rosję?

Podobne propozycje padają właściwie od 30 lat. Celem jest Ukraina. Zadziwiające, jak skuteczna jest dziś w Polsce rosyjska, antyukraińska propaganda. Putin nie potrzebuje kontynuować podboju militarnego. Chce natomiast przekonać Ukraińców (upokorzywszy ich najpierw), że wobec konfliktu z Polską, braku szans na integrację z UE oraz mając świadomość, że USA też kiedyś przestaną wspierać Kijów, jedyną drogą dla Ukrainy jest powrót pod skrzydła rosyjskiego imperium. Polski Putin na razie nie chce podbić – my figurujemy niżej w karcie dań.

Kiedy, jak i dlaczego nas skonsumują?

Na podstawie doświadczeń historycznych można nakreślić dwie wersje wydarzeń. Pierwsza zakłada zatrzymanie ekspansji na Bugu i Sanie (żaden rosyjski imperialista nie pozwoliłby oddać Lwowa Polsce: Lwów jest przecież „odwiecznie ruski"!). Zgodnie z tą wersją Polska może istnieć w swoich „etnicznych", czyli de facto obecnych granicach, ale pod warunkiem że wyrzeka się własnej polityki zagranicznej, wychodzi z NATO. Ustrój nad Wisłą musi być podobny do tego, jaki panuje w Rosji. Nie może być tak, że w Rosji panuje autorytaryzm, a w Polsce demokracja, bo wtedy rosyjscy dysydenci szukaliby wsparcia w „jakobińskiej" Warszawie. Stalin zawsze mówił, że Polska musi być przychylna Rosji nawet wewnętrznie. To samo mówili sto lat przed nim dekabryści. Trzeba więc zmienić tożsamość kultury politycznej w Polsce – na rosyjską modłę. Gdyby nikt się w Polsce przeciwko takiemu scenariuszowi nie zbuntował, mogłaby dalej istnieć. Trudno sobie to jednak wyobrazić. A gdyby już choć niewielkie grupy zaczęły protestować, Rosjanie pomyśleliby tak: „Po co nam ci niesforni Polacy, skoro tuż za Odrą mamy prawdziwego, poważnego partnera do rozmów". I wtedy nic nie stałoby na przeszkodzie, by Niemcy i Rosja znów miały wspólną granicę. I to jest drugi scenariusz. Nie twierdzę, że taki właśnie jest plan Putina, ale niebranie takiej wersji zdarzeń pod uwagę jest nieroztropne. A to dlatego, że podobne rozwiązania są wręcz zakodowane w pamięci kulturowej elit rosyjskich, o czym przekonuję w swojej książce „Metamorfozy Imperium Rosyjskiego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

FOT. FOTOLIA

EROTYCZNE OTWARCIE PRZEDSZKOLA

Każdy dobrze wie, jak jest na początku roku szkolnego – hymn, sztandar, a potem dyrektor, który najczęściej śmiertelnie przynudza i jeszcze obowiązkowo przedstawia zastępców wójta i radnych „uświetniających uroczystość". Można inaczej. W przedszkolu Xinshahui w chińskim mieście Shenzhen podczas ceremonii otwarcia placówki odbył się pokaz tańca na rurze. Film zrobił furorę w sieci, rodzice zaczęli wypisywać dzieci, a dyrektor stracił posadę.

REKRUTACJA PRZEZ ŚLUB

21-latka, która chciała dostać pracę w jednej z firm jako konsultantka weselna w Hongkongu, otrzymała zadanie rekrutacyjne: wziąć udział w ślubie. Firma zapewniała, że ślub jest fikcyjny, ale dziewczyna musiała podczas niego podpisać dokumenty. Okazało się, że realnie poślubiła nieznajomego – bo to jeden z nowych sposobów oszustów, którzy załatwiają prawa do pobytu w Hongkongu.

KASK GORSZY NIŻ BURKA

Brytyjski instruktor jazdy – Liam Bradley – ujawnił w sieci, co spotkało go na jednej ze stacji benzynowych. Kiedy stanął, by zatankować motocykl, obsługa domagała się od niego zdjęcia kasku – choć był to model z podniesioną szczęką, w którym widać całą twarz. Obsługa uznała kask za niebezpieczny. W tym samym czasie na tej samej stacji bez przeszkód obsługiwano kobietę w muzułmańskiej burce, która to zakrywała całe jej oblicze. W jej przypadku obsługa nie wyrażała obaw o bezpieczeństwo.

PIĘĆ LAT ZA MEMA

Arabia Saudyjska w nowy sposób interpretuje cyberprzestępstwa. Od teraz – jak poinformowała tamtejsza prokuratura generalna – jako przestępstwo postrzegane jest też publikowanie w sieci satyrycznych materiałów, które „ośmieszają, prowokują lub zakłócają porządek, religię lub moralność". Za publikacja mema grozi teraz w tamtym kraju pięć lat więzienia lub grzywna do ok. 3 mln zł.

BEZRADNE JAK DZIECI

Prawie połowa małych Brytyjczyków – w wieku do 10 lat – nie potrafi zawiązać sznurowadeł. Tak pokazało niedawne badanie zamówione przez jedną z firm obuwniczych. Nawet wśród tych 55 proc., które potrafią, jedna trzecia woli wsadzić ich końcówki do buta i pomaszerować w rozwiązanych. To samo badanie pokazało jeszcze gorsze rzeczy – prawie połowa dzieci w tym wieku nie zna się na zegarku i nie potrafi określić czasu, jedna czwarta nie umie poprawnie używać sztućców, a 44 proc. nie poradziło sobie z odczytaniem mapy. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O sprawiedliwości postępu

Co się z trudem mieści w głowie, a zupełnie nie mieści w koncepcji apolitycznego wymiaru sprawiedliwości, we Włoskim Stowarzyszeniu Sędziów, skupiającym 90 proc. wszystkich sędziów i prokuratorów Italii, politykują, aż miło.

Członkowie należą do politycznych frakcji. Centrowcy siedzą w miarę cicho, prawicowcy się nie liczą, niezależnych jak kot napłakał, za to potężna frakcja lewicowo-postępowa, „Sędziowie demokratyczni", cierpi na ADHD. Wysyła delegatów na sabaty antyglobalistów, potępia Izrael, demonstruje, wydaje pismo, w którym ocenia wydarzenia i polityków. Sędziowie aktywiści przekonują, że wymiar sprawiedliwości powinien stać w awangardzie walki o postęp. Nie kryją, że często ich poglądy przekładają się na ferowane wyroki.

Naturalnie demokratyczni sędziowie są wyznawcami kultu migranta. W Mediolanie złapany po raz piąty na handlu narkotykami Gambijczyk został puszczony wolno. Sąd w uzasadnieniu wyjaśnił, że „społeczna szkodliwość przestępstwa jest niewielka" (sic!). Poza tym, jak tłumaczył sędzia trybunału rewizyjnego, handel narkotykami był dla oskarżonego jedynym możliwym źródłem utrzymania. Gambijczyk skazany został jedynie na wygnanie z Mediolanu.

Doradzam nieodległy Turyn. Tam Marokańczyk wezwał karetkę do chorej żony. Z powodów obyczajowo-religijnych pobił medyków, bo nie było wśród nich kobiety. Gdy pobici wezwali policję, rzucił się na policjantów. Okazało się, że to też handlarz narkotyków, i to z półtorarocznym wyrokiem do odsiadki. Karę zawieszono, bo przybysz to jedyny żywiciel rodziny, a żona jest w kolejnej ciąży. Marokańczyk już jest wolny (bo działał pod wpływem stresu) i kontynuuje działalność handlową. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl cfc5ba4834

FOT. DADO RUVIC/REUTERS/FORUM

Kontrrewolucjoniści z Facebooka

Piotr Włoczyk

Część pracowników Facebooka podniosła bunt przeciw „politycznej monokulturze" panującej w ich firmie. Czy ten protest ma szansę cokolwiek zmienić?

Jesteśmy polityczną monokulturą, która nie toleruje innych poglądów" – pierwsze zdanie najlepiej streszcza tekst, który narobił ostatnio w Facebooku sporo namieszania. Autorem tego wewnętrznego postu jest Brian Amerige, jeden z wysoko postawionych programistów Facebooka. Pracownicy firmy mogli się z nim zapoznać 20 sierpnia, jego treść tydzień później upublicznił „The New York Times". Jak podkreśla gazeta, tekst Amerige'a okazał się szybko sensacją wśród pracowników Facebooka.

„Twierdzimy, że z otwartością przyjmujemy wszystkie poglądy, ale szybko atakujemy – często całymi hordami – każdego, kto prezentuje pogląd, który stoi w kontrze do lewicowej ideologii. Etykietujemy ludzi słowami kończącymi się na »fob« i »ista« […] – napisał Amerige. – Robimy to tak często, że pracownicy boją się powiedzieć cokolwiek, gdy nie zgadzają się w sprawach politycznych ze swoim otoczeniem. W dziale kadr usłyszałem, że takie sprawy nie są rzadkie, a ja sam dostałem w związku z tym ponad sto wiadomości. Wasi koledzy boją się, ponieważ wiedzą, że to oni zostaną zaatakowani, a nie ich poglądy. Wiedzą, że cała ta gadka o »otwarciu na inne perspektywy« nie dotyczy spraw takich jak »sprawiedliwość społeczna«, »imigracja«, »różnorodność« czy też »równość«. W tych sprawach możesz albo milczeć, albo poświęcić własną reputację i karierę".

Amerige powołał równocześnie grupę pod nazwą „Facebookowicze na rzecz Politycznej Różnorodności". Jak donosił „NYT", już po tygodniu od powstania grupy dołączyło do niej ponad 100 pracowników Facebooka.

„Ta akcja to rzadka oznaka zorganizowanego oporu w Facebooku, w związku z jego – w znacznej mierze – liberalną kulturą – komentował »NYT«". – Chociaż nową grupę tworzy bardzo niewielka część spośród 25 tys. pracowników firmy, to do tej pory wydawali się oni mniej skłonni do stawiania oporu kierownictwu niż ich koledzy z innych firm z tej branży".

CORAZ GORZEJ

Amerykańska prawica od lat narzeka na lewicowy przechył Facebooka. Prawdziwy alarm wszczęto jednak przy okazji wyborów prezydenckich w 2016 r. Blokowanie prawicowych treści pod zarzutem siania „mowy nienawiści", banowanie konserwatywnych publicystów, faworyzowanie tekstów wspierających liberalno-lewicową wizję świata – te zarzuty szczególnie często zaczęły padać właśnie w okresie ostatniej amerykańskiej kampanii prezydenckiej.

Atmosferę wokół Facebooka podgrzał w maju 2016 r. Gizmodo, niezwykle popularny serwis technologiczny. Opierając się na rozmowach z pracownikami Facebooka, Gizmodo opublikował tekst, z którego wynikało, że pracownicy Facebooka celowo marginalizują zasięg prawicowych mediów. Systemem doboru newsów podsuwanych użytkownikom przez Facebooka miał rządzić neutralny algorytm, ale informatorzy bloga twierdzili, że wszystko opiera się na ręcznym sterowaniu, przez co użytkownicy serwisu częściej trafiają na teksty o liberalno--lewicowej treści.

Dziennikarz Gizmodo, który odpalił tę bombę, miesiąc wcześniej opublikował inny niepokojący tekst – wśród pracowników Facebooka robiono sondaż wokół pytania: „Jakie obowiązki ma Facebook, by pomóc zapobiec prezydenturze Trumpa w 2017 r.?".

Facebook zaprzeczał doniesieniom o stronniczości, ale publikacje tego rodzaju mogły tylko potwierdzać najgorsze obawy konserwatywnych komentatorów (nie tylko z USA): największy na świecie serwis społecznościowy bardzo nie lubi prawicy.

To, że kampania z 2016 r. była pod tym względem przełomowa, potwierdza z wewnątrz Facebooka Brian Amerige. „Jestem tu prawie od 6,5 roku i to wszystko znacząco pogorszyło się w ciągu ostatnich dwóch lat" – napisał twórca „Facebookowiczów na rzecz Politycznej Różnorodności". I pokazuje konkretne przykłady: „Prosimy nasz departament kadr, by zbadał tych, którzy

eprasa.pl cfc5ba4834

ośmielają się krytykować przestrzeganie praw człowieka w islamie, ponieważ mają oni w ten sposób tworzyć »wyłączające środowisko«. Z kolei mnie samego nazwali »transfobem«, kiedy nazwałem sztukę widoczną w naszej korporacji mianem »politycznie radykalnej«".

O autorze postu niewiele wiadomo, poza tym, że jest fanem myśli Ayn Rand i od wielu lat publikuje na swoim facebookowym profilu teksty w obronie wolności wypowiedzi. Amerige odmawia rozmów z mediami, traktując najwyraźniej całą sprawę jako kwestię czysto wewnątrzfirmową.

Autor postu przyznaje, że nie wie, jak samemu zmienić środowisko panujące w Facebooku. „Jeżeli jesteście zainteresowani uczynieniem z Facebooka firmy, która jest bardziej tolerancyjna i otwarta na różne polityczne i ideologiczne poglądy, to dołączcie do »Facebookowiczów na rzecz Politycznej Różnorodności«. Zobaczymy, dokąd to nas zaprowadzi" – napisał Amerige.

W jego tekście pojawiają się wreszcie dwa nazwiska, które są szczególnie emblematyczne w kontekście sporu o zaangażowanie ideologiczne Facebooka.

Pierwszym jest miliarder Peter Thiel. Wraz z Elonem Muskiem stworzył PayPala, a następnie został jednym z najbardziej znanych inwestorów branży IT. Thiel na samym początku biznesowej drogi Zuckerberga zainwestował w jego serwis 500 tys. dol. Jego udziały przez lata zyskały na wartości ok. dwa tysiące razy (do ok. miliarda dolarów), a Thiel dzięki temu został członkiem zarządu Facebooka.

„Regularnie proponujemy usunięcie Thiela z naszego zarządu, ponieważ popiera Trumpa" – napisał Brian Amerige. Pochodzący z Niemiec Thiel to zdeklarowany zwolennik amerykańskiej prawicy, niekryjący się ze swoimi libertariańskimi poglądami. Miliarder był nawet członkiem ekipy, która pomagała Trumpowi przejąć władzę od administracji Baracka Obamy. Amerykańskie media od dawna zastanawiają się w związku z tym, kiedy w końcu zostanie wypchnięty z Facebooka.

Mimo to Zuckerberg publicznie twierdzi, że Thiel to dla Facebooka atut. „Osobiście uważam, że jeżeli chcesz mieć firmę, która dba o różnorodność, to musisz dbać o wszystkie rodzaje różnorodności, włączając w to różnorodność ideologiczną. Myślę, że ludzie, którzy mówią, iż nie powinniśmy mieć w zarządzie kogoś tylko dlatego, że jest republikaninem, wykazują się szaleństwem" – powiedział Zuckerberg w marcu zeszłego roku, podkreślając jednocześnie, że jest to jego „osobista" opinia. Wydaje się, że to wiele mówiąca uwaga. Jeżeli są to szczere słowa, to najwyraźniej pod względem tolerancji wobec republikanina w zarządzie szef Facebooka jest w mniejszości.

UCIECZKA Z DOLINY KRZEMOWEJ

Thiel stwierdził ostatnio, że ma już tego wszystkiego serdecznie dosyć, i postanowił wynieść się z ultraliberalnej Doliny Krzemowej (obszar w okolicy San Francisco) do Los Angeles.

„Jedna sprawa to sytuacja, gdy większość wyznaje pewne poglądy. Tu jednak mamy do czynienia z sytuacją, gdy praktycznie wszyscy myślą tak samo" – powiedział Thiel w marcu tego roku na antenie Fox Business, komentując swoją przeprowadzkę. „Kiedy wszyscy są po jednej stronie, to nie oznacza to, że oni wszyscy odkryli prawdę, tylko że żyją w quasi--totalitarnym miejscu, gdzie nie można mieć innych poglądów. Dolina Krzemowa przeszła przemianę od miejsca dosyć liberalnego do postaci jednopartyjnej".

Ta wyprowadzka to część większego procesu. Innym znanym „uciekinierem" jest Tim Ferriss, barwny inwestor i autor bestsellerowych poradników biznesowych, który w grudniu zeszłego roku porzucił Dolinę Krzemową dla Teksasu. Głównym powodem stojącym za tą decyzją było zmęczenie panującym tam klimatem politycznej poprawności. Jak twierdzi Ferriss, w Dolinie Krzemowej ludzie w sprawach politycznych „otwarcie kłamią jeden drugiemu z powodu strachu przed utratą pracy lub przed publicznym »ukrzyżowaniem«".

Drugim z wymienionych w liście Briana Amerige'a nazwisk jest Palmer Luckey. „Rozpętaliśmy wokół Palmera polowanie na czarownice, ponieważ okazało się, że wpłacił pieniądze na kampanię wymierzoną w Hillary" – podsumował tę sprawę Amerige.

Luckey to 25-letni multimilioner, który zyskał sławę w tej branży w 2012 r., gdy współzałożył firmę Oculus VR, specjalizującą się w produkcji sprzętu do zabawy rzeczywistością wirtualną. Niestety – dla swojej kariery w Dolinie Krzemowej – Luckey mocno kibicuje prawicy.

Gdy w 2014 r. jego firmę wykupił za 2 mld dol. Zuckerberg, Luckey stał się jego pracownikiem. Reprezentował firmę na konferencjach, był przedstawiany jako wizjoner branży. To wszystko przestało być aktualne, gdy pod koniec 2016 r. okazało się, że Luckey ośmielił się wpłacić 10 tys. dol. na akcję jednej z protrumpowych grup, która wymierzona była w jego konkurentkę. Genialny Luckey nagle przestał być wysyłany na ważne konferencje jako twarz Facebooka, a jego rola w firmie była coraz bardziej marginalizowana. Wreszcie w 2017 r. Luckey „odszedł" z Facebooka. Firma w pożegnalnym komunikacie napisała, że wszyscy „będą za nim tęsknić".

Dopiero w tym roku, podczas przesłuchania przed amerykańskim Senatem, Zuckerberg przyznał – odpowiadając na pytanie senatora Teda Cruza – że Luckey nie „odszedł", tylko stracił pracę. Równocześnie Zuckerberg stanowczo podkreślił, że względy natury politycznej nie odgrywały w tej sprawie żadnej roli.

W maju tego roku przedstawiciele najważniejszych konserwatywnych organizacji z USA postanowili w końcu zjednoczyć szeregi i we wspólnym liście wezwali gigantów z Doliny Krzemowej do trzymania się zasad neutralności światopoglądowej.

„Cenzura w mediach społecznościowych i restrykcje, które spotykają konserwatystów i ich organizacje, osiągnęły poziom kryzysowy. Przesłuchania szefa Facebooka Marka Zuckerberga na Kapitolu zwróciły uwagę, jak powszechny stał się ten problem" – czytamy w liście podpisanym przez 63 czołowych amerykańskich konserwatystów.

– Uważamy, że firmy z Doliny Krzemowej mają problem z przejrzystością, jeżeli chodzi o stronniczość – mówi „Do Rzeczy" Marco Bruno z Project Veritas, organizacji będącej jednym z sygnatariuszy listy. – Dopóki firmy z branży mediów społecznościowych oficjalnie twierdzą, że są bezstronne, ale w rzeczywistości mechanizmy ich działania utrzymywane są w tajemnicy, dopóty wyrządza się krzywdę społeczeństwu.

Facebook uznał najwidoczniej, że tak zmasowana krytyka z prawej strony może mu zaszkodzić biznesowo. Już następnego dnia po publikacji protestu konserwatystów serwis ogłosił, że były republikański senator Jon Kyl przeprowadzi audyt, który ma jednoznacznie stwierdzić, czy Facebook faktycznie wykazuje uprzedzenia względem prawicy. Tymczasem nic nie wiadomo o szczegółach audytu, można się jednak domyślać, że tekst Briana Amerige'a będzie jednym z jego ważniejszych załączników.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

Triumf i upadek

FOT. SAM SIMMONDS/POLARIS/EAST NEWS

Joanna Bojańczyk

Podając się za córkę niemieckiego miliardera, młoda Rosjanka zawojowała nowojorską elitę. Pobyty w luksusowych hotelach, przyjęcia i podróże dokumentowała na Instagramie

Prokuratorzy w sądzie na Manhattanie, gdzie Olga Sorokin, ubrana w beżowy kombinezon więzienia Rikers Island, odpowiada za oszustwa na setki tysięcy dolarów, muszą się sporo napracować, żeby odtworzyć jej prawdziwy życiorys. Tak go zamąciła, że sama już nie wie, co jest prawdą, a co zmyśleniem. Wiadomo, że urodziła się w Rosji w roku 1991. Że jej ojciec był kierowcą, potem właścicielem małej firmy transportowej, która zbankrutowała. Że potem założył następną, zajmującą się ogrzewaniem i klimatyzacją. W roku 2007 rodzina wyemigrowała do Niemiec, gdzie osiedliła się w niewielkiej miejscowości niedaleko Kolonii. Szesnastolatka poszła do liceum, niezbyt dobrze radziła sobie z niemieckim. Za to wymagania miała na wysokim poziomie. Drogie ciuchy, kosmetyki…

Olga interesowała się sztuką i modą. Zatem Londyn i szkoła Central Saint Martins College of Art and Design (jego absolwentami są John Galliano i Alexander McQueen) wydawały się właściwym wyborem. Jednak kto zapłaci czesne – 7,5 tys. euro za trymestr? Ten problem Oldze udaje się jednak rozwiązać, o czym świadczyć może tytuł „bachelor of arts", którym chwali się w swoim CV.

Jako specjalistka od networkingu dostała pracę w agencji PR w Berlinie, potem zdobyła staż w Paryżu, w magazynie „Purple" poświęconym modzie, sztuce i designowi. W środowisku pismo ma opinię kultowego. Rosjance udało się zaprzyjaźnić z redaktorem naczelnym, Olivierem Zahmem.

BOGATY MOŻE WSZYSTKO

W Paryżu panna Sorokin zrywa z przeszłością. Umarła Olga Sorokin, urodziła się Anna Delvey – córka niemieckiego potentata przemysłowego. Jej nowe wcielenie postanawia udać się tam, gdzie ogniskują się cywilizacje XXI w. – do Nowego Jorku.

Na Manhattanie Anna rozpoczyna światowe życie z rozmachem. Bywa tam, gdzie trzeba bywać: na imprezach, wernisażach, koktajlach. Nawiązuje znajomości w świecie mody. Jednym opowiada, że jej ojciec jest właścicielem wielkiej fabryki paneli słonecznych, innym – że rosyjskim królem ropy naftowej i miliarderem. Wszystkie poczynania dokumentuje na Instagramie, gdzie zdobywa szybko 40 tys. followersów.

W Nowym Jorku liczą się pieniądze. Bogaty może wszystko. A jak nie wierzyć komuś, kto mówi, że ma na koncie 60 mln? Trzeba tylko umiejętnie stwarzać pozory.

eprasa.pl cfc5ba4834

Na początku 2017 r. udaje się jej zamieszkać w 11 Howard, supersnobistycznym butikowym hotelu, ulubionym miejscu celebrytów. 400 dol. za dobę. Jak to możliwe, że nie sprawdzono jej karty kredytowej? Widocznie za pomocą 100-dolarowych napiwków wystarczyło zaprzyjaźnić się z menedżerką, skądinąd rówieśniczką. Bywają razem na imprezach, chodzą do klubu. Anna zachowuje się jak wielkoświatowa bywalczyni, choć słów „dziękuję" i „proszę" nie ma w jej słowniku. Niektórym pracownikom hotelu wydaje się nieco dziwaczna, ale cóż, bogaci mają niecodzienne maniery. Spaceruje po hotelu z kieliszkiem białego wina ubrana w hotelowy szlafrok, a załoga walczy o to, kto zaniesie jej przesyłkę do pokoju, bo to oznacza duży napiwek. Opowiada, że zamierza otworzyć klub w Soho, z filiami w Londynie, Hongkongu, Dubaju. Dla pracowników hotelu jest jedną z tych córek bogaczy, które włóczą się po ekskluzywnych miejscach na świecie, wydając ojcowskie miliony. Jej pokój pełen jest toreb z zakupami, drzwi nie zamykają się za manikiurzystkami, fryzjerami, masażystkami. 4,5 tys. dol. w gotówce dla wziętej nowojorskiej trenerki osobistej. Studolarówki spływają z portfela Anny Delvey jak z taśmy produkcyjnej.

Mało tego. Anna nie tylko jest na wszystkich przyjęciach i imprezach, lecz także sama wydaje w hotelu kolacje, na które zaprasza nowojorską elitę. Przychodzą właściciele galerii, klubów, ludzie ze świata mody. Znajomy przedstawia Annę Michaelowi Xufu Huangowi, kuratorowi muzeum sztuki w Szanghaju. Anna proponuje mu wspólny wyjazd na Biennale w Wenecji. Huang jest trochę zdziwiony, że za jej bilet samolotowy ma zapłacić własną kartą, ale cóż... Gdy Anna zapomina zwrócić dług, myśli, że drobne 2 tys. dol. nie mają dla bogatego człowieka znaczenia, i sam zapomina o sprawie.

PRZELEW BĘDZIE ZA CHWILĘ

Skąd Anna Delvey ma pieniądze? Jej adwokaci twierdzą, że dostała z banku kredyt poręczony sfałszowanymi czekami. „Pożycza" też pieniądze od znajomych. Zaproszona do nich wykrada dane potrzebne do kupowania w sieci z wykorzystaniem ich kart kredytowych. Potem przychodzą rachunki na 70 tys. dol.

Ma talent do nawiązywania znajomości. Zaprzyjaźnia się z Gabrielem Calatravą, synem słynnego architekta Santiago Calatravy. Przez dwa lata prowadza się z obiecującym młodym informatykiem, o którym napisał „New Yorker". On opowiada o swojej aplikacji, ona o klubach, które zamierza otworzyć. Z aplikacji nic nie wychodzi, amant ulatnia się do Emiratów.

Agentowi nieruchomości w Nowym Jorku Annę poleca znajomy. Przedstawia się jako „dziedziczka niemieckiej fortuny", wydaje się sympatyczna. Chce wynająć mieszkanie w supernowoczesnym wieżowcu przy 23 ulicy i High Line, dawnej linii kolejowej obecnie przerobionej na linearny park. Miejsce jest prestiżowe, podobnie cena – 12,5 tys. dol. Wymagany jest zadatek 150 tys. Anna obiecuje, że ojciec za chwilę zrobi przelew. Jednak dni mijają i pieniądze nie nadchodzą. Niemiecki dokument z konta, który przedstawia, jest nieudolnie podrobiony. „Sprawiała wrażenie, że wierzy w swoje kłamstwa. Co parę dni pytała: »Czy przelew przyszedł?«".

Agent myśli, że trafił na mitomankę, i macha ręką na sprawę.

TA OSOBA NIE ISTNIEJE

Anna plany ma większe. Chce założyć fundację sztuki własnego imienia – Anna Delvey Foundation. Siedziba: zdesakralizowany neogotycki kościół przerobiony na biurowiec, nowojorski zabytek historyczny, na rogu Park Avenue i 22 ulicy. Koszt inwestycji – 50 mln dol. Kredyt ma poręczyć fundacja rodziny Calatrava, a rzekomy wkład 25-letniej inwestorki, czyli jej fortuna, wynosi 25 mln. Potrzeba drugie tyle. Anna uruchamia swoje finansowe znajomości. Wierzy, że z jej karnetem towarzyskim inwestorzy znajdą się łatwo. Andy Lance, adwokat polecany przez finansistę z Wall Street, ma pilotować projekt i wskazać, do jakich drzwi zapukać. „Nasza klientka zamierza podjąć bardzo ekscytujące przedsięwzięcie. Posiada poważne zasoby finansowe poza obszarem Stanów Zjednoczonych" – zapewnia. O powadze klientki zaświadcza również niejaki Peter W. Hennecke, rzekomy bankier, który ma nadesłać konieczne zaświadczenia o wypłacalności. – Kim jest ten pan? – pyta menedżer City National Bank, w którym Anna występuje o kredyt. Zastanowiło go, że adres e-mailowy Henneckego nie jest bankowy, tylko prywatny, na domenie AOL. Anna odpowiada, że to „menedżer rodzinny". W rzeczywistości ta osoba nie istnieje, numer telefonu pochodzi ze skradzionego aparatu. Gdy bank wymaga dokumentu potwierdzającego rzeczywisty majątek, Anna przedstawia fałszywkę. Tak samo w Fortress Investment LLC.

Tymczasem hotelowy rachunek Anny sięgnął już kilkudziesięciu tysięcy dolarów i wciąż rośnie. Menedżerka hotelu zaproszona przez nią na kolację sama musi zapłacić, bo karta Anny nie działa. Nie działa również 12 innych, których numery podaje kelnerowi... Jednak następnego dnia Anna zwraca koleżance trzykrotną wartość rachunku i daje w prezencie T-shirt Ricka Owensa za 400 dol.

W końcu zniecierpliwione szefostwo hotelu zmienia kod w pokoju i rzeczy lokatorki wstawia do przechowalni bagażu – wciąż licząc jednak, że rachunek zostanie zapłacony. W tym samym czasie na adres hotelu przychodzi skrzynka szampana Dom Pérignon rocznik 1975 do rozdania pracownikom.

KOLACJA Z BILLEM GATESEM

Anna udaje się w podróż do Omahy na konferencję z udziałem najbogatszych ludzi Ameryki. W e-mailu do przyjaciółki pisze, że było wspaniale, jadła kolację z Warrenem Buffettem i Billem Gatesem. Zaraz też jest następna podróż. Pierwszą klasą do Maroka lecieć mają na zaproszenie Anny jej osobista trenerka, fotoedytorka z „Vanity Fair" i znajomy, który na wideo dokumentuje przygotowania do fundacji Anny Delvey. Menedżerka hotelu też jest zaproszona, ale hotel nie daje jej urlopu, więc z żalem zostaje i śledzi na Instagramie pobyt znajomych w Marrakeszu. W Marrakeszu okazuje się, że karta Anny nie działa i rachunek za ekipę – 62 tys. dol. – musi zapłacić fotoedytorka. To więcej niż jej roczna pensja. Zaciąga dług na służbowej karcie. Anna nie ma również pieniędzy, żeby zapłacić za powrotny lot do Stanów. Prosi trenerkę o pożyczkę.

Po powrocie do Nowego Jorku kolejne hotele wyrzucają Annę. Nie ma gdzie się podziać, błąka się po ulicach z walizką. Dzwoni zrozpaczona do trenerki, prosząc o nocleg. Ta przyjmuje ją tylko na jedną noc, już przeczuwa, że coś tu jest nie tak. Gazety zaczynają pisać o podejrzanej kobiecie, która zostawia za sobą niezapłacone rachunki w drogich hotelach. Zgłaszają się kolejni poszkodowani.

W październiku Anna zostaje aresztowana. Proces rozpocznie się we wrześniu. Netflix zamierza nakręcić serial oparty na jej historii. Ona z więzienia planuje obsadę: najbardziej chciałaby, żeby zagrała ją Jennifer Lawrence. O pobycie w celi mówi: „To doświadczenie socjologiczne".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

O luce VAT bez cepa

Stefan Sękowski

Czy PO i PSL przyłożyły się do powstania ogromnej luki VAT, a rząd PiS bohatersko ją zaklajstrował? A może za poprzedniego rządu nie było problemu ze ściągalnością podatków?

Jeśli nie możesz rozwiązać jakiegoś problemu, to musi istnieć prostszy, który potrafisz rozwiązać – znajdź go" – tak zjawisko zastępowania opisał węgierski matematyk George Pólya. Zdobywca Nagrody Nobla z ekonomii psycholog Daniel Kahneman pisze w książce pt. „Pułapki myślenia", że ten mechanizm występuje także w psychologii. Jeśli ktoś zada nam trudne pytanie, na które nie jesteśmy w stanie od razu odpowiedzieć, to umysł często zastępuje je innym, pokrewnym pytaniem.

Przykładem takiej zamiany jest pytanie: „Czy powinna działać komisja śledcza ds. wyłudzeń VAT i akcyzy?". Żeby na nie odpowiedzieć, trzeba by wiedzieć, co to jest luka VAT-owska i skąd się wzięła. Trzeba znać kompetencje, jakie ma komisja śledcza, i zastanowić się, czy jednak nie wykorzysta tych narzędzi do jakichś innych celów. Można by także zastanowić się, ile dotychczasowe komisje śledcze wyjaśniły. Dlatego umysł podsuwa nam pytanie: „Czy należy coś zrobić z mafiami VAT-owskimi?". Odpowiedź jest oczywista – należy, a zatem trzeba powołać do życia komisję śledczą, która „coś" z tym zrobi.

KOGO ZŁAPIE KOMISJA?

Tylko że „komisja VAT-owska" (jak ją w skrócie będziemy nazywać), która niedawno zaczęła pracę, nie ma ścigać osób uchylających się od opodatkowania bądź wyłudzających z budżetu pieniądze, jakie im się – z tytułu fikcyjnych zwrotów – nie należą. Przewodniczący komisji Marcin Horała i inni posłowie nie złapią konkretnych złodziei ani ich nie osądzą. Od tego są prokuratura i sądy. Komisja może jedynie zbadać, czy członkowie rządu, prezes Najwyżej Izby Kontroli, prokuratorzy, szefowie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Centralnego Biura Antykorupcyjnego i Komendy Głównej Policji – a także podlegli im ludzie – dołożyli wszelkich starań (a także czy nie złamali prawa), by do Skarbu Państwa wpłynęły te środki z tytułu podatku od towarów i usług oraz akcyzy, które powinny.

Komisja może najwyżej napisać sprawozdanie i wystąpić ze wstępnym wnioskiem o postawienie ewentualnych winnych przed Trybunałem Stanu, na co jednak musi zgodzić się Sejm. Historia kolejnych komisji śledczych pokazuje, że wyjaśniły one niewiele, a TS był dotąd jedynie straszakiem na politycznych przeciwników.

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl cfc5ba4834

Wiele wskazuje na to, że i teraz będzie podobnie. Już to, że pierwszym „świadkiem" ma być powołany w 2014 r. do rady programowej PiS doradca podatkowy prof. Witold Modzelewski, nie wróży dobrze. Także zakres czasowy to sugeruje – posłowie mają bowiem badać okres między grudniem 2007 a listopadem 2015 r. To okres rządów Donalda Tuska i Ewy Kopacz. Przewodniczący komisji Marcin Horała tłumaczył niejednokrotnie, że ta cezura ma merytoryczne uzasadnienie: to za rządów PO i ludowców zaczęło wypływać najwięcej pieniędzy z budżetu, gdy zaś do władzy doszedł PiS, luka zaczęła maleć.

PÓŹNE ZALEPIANIE

Takie postawienie sprawy sugeruje, że rządy PO-PSL pobłażały złodziejom (a może im pomagały), PiS odebrał zaś im miliony i rozdał je dzieciom. Jeśli chcemy jednak dowiedzieć się, jak było, to warto przyjrzeć się liczbom – i nie tylko.

Jak powtarzają za każdym razem autorzy raportów Komisji Europejskiej na ten temat („Study and Reports on the VAT Gap"), luki VAT „nie można traktować jako bezpośredniego zamiennika oszustw VAT-owskich. Oprócz oszustw, unikania i uchylania się od opodatkowania na lukę VAT wpływają także bankructwa i zaległości". Krótko mówiąc, jeśli ktoś twierdzi, że luka VAT to ukradzione pieniądze, to mija się z prawdą, bo takowe stanowią jedynie jej część.

Mimo to szacunki KE sprawiają, że włos jeży się na głowie. Z najświeższego raportu z 2017 r. wynika, że w 2015 r. luka VAT w 28 państwach członkowskich wyniosła łącznie 151,5 mld euro. Problem mają z nią wszystkie państwa UE. Polska ma jednak większy niż inne. Co prawda daleko nam do Rumunii, w której w 2015 r. luka wynosiła 37 proc., ale z 24,5 proc. znajdowaliśmy się na niechlubnym szóstym miejscu, znacznie powyżej średniej unijnej (12,8 proc.). Bardzo trudno jest przy tym oszacować, ile wynosiła luka VAT za rządów PO-PSL, ponieważ na przestrzeni lat zmieniała się metodologia badań (a w efekcie także same szacunki) i jeśli ktoś sumuje dane z różnych raportów, to popełnia błąd w sztuce. Na przykład luka VAT w 2011 r. wyniosła według raportu z 2013 r. 15 proc., ale wedle opracowania z 2017 r. – aż 21 proc. Na jego podstawie możemy stwierdzić, że w latach 2011–2015 luka wyniosła łącznie ponad 198 mld zł.

Politycy PiS mają rację, gdy wskazują, że rząd PO-PSL zaczął walczyć z nią późno, a pieniędzy mających zwiększyć wpływy do budżetu szukał przede wszystkim w kieszeniach uczciwych podatników (a de facto konsumentów), podwyższając podatek VAT. Jednak nie można powiedzieć, że nie walczył z nią wcale. Wprowadził m.in. odwrócony VAT na pręty stalowe i blachę, telefony komórkowe czy gry komputerowe. Mechanizm polega na tym, że z tego podatku rozlicza się nie sprzedający, ale kupujący. To rozwiązanie miało ograniczyć tzw. karuzele VAT polegające na wyłudzaniu zwrotów podatku z tytułu (fikcyjnych) transakcji między firmami z różnych państw członkowskich UE. Rząd PO-PSL do akcji ruszył głównie pod koniec kadencji, kiedy przyjęto m.in. ustawę o jednolitym pliku kontrolnym, czyli obowiązku księgowania i przechowywania danych w odpowiednim formacie, i przekazywania ich organom podatkowym.

REKLAMA

KOŃSKA DAWKA NA
TWOJE STAWY

Dowiedz się więcej
tel.: 32 226 65 08
www.zdrowestawy.net

MADE IN GERMANY
Hyalutidin HC Aktiv Suplement diety

Dystrybutor:
Zdrowe Stawy Sp. z o. o., ul. Grota Roweckiego 10/4, 43-100 Tychy.
Producent:
Gramme-Revit GmbH, Im Oberdorf 10, 99428 Niederzimmer, Niemcy.

1 litr preparatu = 1 rok ochrony Twoich stawów

Hyalutidin HC Aktiv® suplement diety to odżywiający stawy płyn do picia. Zawiera kompleks HCK, czyli rewolucyjne połączenie kwasu hialuronowego i siarczanu chondroityny. Dzięki takiej formule oba składniki preparatu są jednocześnie dostarczane do wszystkich stawów, uzupełniając naturalne zasoby mazi stawowej. Preparat nie podrażnia żołądka i jest bezpieczny w stosowaniu przez diabetyków.

1 MIESIĄC SPOŻYWANIA

1 OPAKOWANIE
ZAWIERA 1 LITR PŁYNU

1 ROK
OCHRONY WSZYSTKICH STAWÓW

Preparat jest zalecany dla osób, u których z wiekiem zmniejsza się ilość mazi stawowej, ze zwyrodnieniem stawów, narażonych na nadmierne przeciążenia stawów. **30 - dniowy cykl przyjmowania** preparatu zapewnia odpowiednią suplementację i dostarcza składników stanowiących **naturalny budulec stawów.**

Badania kliniczne potwierdzają poprawę w zakresie:

Sztywności stawów		Dolegliwości występujących podczas codziennej aktywności		Redukcji bólu	
Po 60 dniach	Po 90 dniach	Po 60 dniach	Po 90 dniach	Po 60 dniach	Po 90 dniach
84% POPRAWA	91,7% POPRAWA	95,8% POPRAWA	100% POPRAWA	87,5% POPRAWA	95,7% POPRAWA

Niniejsze badania zostały przeprowadzone z wykorzystaniem preparatu Hyalutidin HC Aktiv® suplement diety. Zbadano grupę pacjentów z ograniczeniami funkcji ruchowych wskutek strukturalnych uszkodzeń stawu kolanowego ze zwyrodnieniem II stopnia. Badania kliniczne były przeprowadzone w kooperacji ze Szpitalem Specjalistycznym w Vogelsang-Gomern-Niemiecki Ośrodek Transplantacji Chrząstki i Kości / Oddział Ortopedii Klinicznej. W badaniach zastosowano 2 L preparatu Hyalutidin HC Aktiv®. Suplement nie jest substytutem zbilansowanej i zróżnicowanej diety.

eprasa.pl cfc5ba4834

Być może w okolicy rządu byli ludzie, którzy celowo blokowali możliwość uchwalenia sensownego prawa. To może badać komisja, ale musi brać także pod uwagę – zwłaszcza kierując się domniemaniem niewinności i rozpatrując wątpliwości na korzyść „podejrzanych" – inne scenariusze. Przykładowo ten, że luka pojawiła się w wyniku ideologicznego zaślepienia. W postrzeganiu przedsiębiorców odbijamy się niestety w Polsce od ściany do ściany – albo uchodzą oni za sól tej ziemi, ciemiężoną przez drapieżne państwo, albo przeciwnie: za wyzyskiwaczy i oszustów. PO mogła, obawiając się uderzyć w tych uczciwych, nie uchwalać jednocześnie rozwiązań, które uderzały w nieuczciwych. Narracja Platformy jest też taka, że w dobie kryzysu nie chciano nakładać na biznes dodatkowych obciążeń. Także w ten sposób patrząc, PO nie wypada najlepiej, ale przynajmniej nie ma tu intencji uszczuplenia budżetu.

DWA KOŃCE KIJA

Jednak nie tylko PO patrzyła na przedsiębiorców w ten sposób. Niektórzy wskazują, że jednym z elementów, który mógł np. zachęcić do wystawiania „lewych" faktur, mogła być likwidacja 30-procentowej kary za błędy w deklaracjach VAT, przygotowana w Ministerstwie Finansów za Zyty Gilowskiej, a uchwalona wspólnie przez PO i PiS już za rządów PO-PSL. Pojawia się jednak pytanie: Czy uczciwy przedsiębiorca, który popełnił błąd, powinien być za to ukarany? Tak naprawdę każda forma „uszczelnienia podatków" jest kontrowersyjna. Weźmy choćby podzieloną płatność (czyli split payment) wprowadzoną przez PiS i na razie dobrowolną. W jej ramach przedsiębiorca płaci kontrahentowi na dwa konta – na jedno opłatę dla firmy, na drugie sam podatek. Kłopot pojawia się, gdy (omyłkowo lub nie) wpłaci np. całą kwotę na subkonto VAT-owskie. Biznesmen musi czekać 60 dni, aż bank „pomyłkę" zweryfikuje, i dopiero wtedy może skorzystać ze swoich pieniędzy. To poważne zagrożenie dla płynności finansowej wielu firm. Odwrócony VAT też ma swój rewers, z którym spotykają się np. podwykonawcy w branży budowlanej. Także jednolity plik kontrolny oznacza dodatkowe koszty i obowiązki biurokratyczne dla przedsiębiorców. Z kolei Krajowa Administracja Skarbowa to nowa służba specjalna, która dysponuje ogromnymi możliwościami. Czy rąbać drwa i liczyć się z tym, że polecą wióry, czy jednak godzić się z brakiem wpływów do budżetu – to poważny dylemat polityków.

Być może ostatecznie podjęli słuszną decyzję, a przejściowe problemy z wdrożeniem uszczelnień okażą się chorobą wieku dziecięcego, przedsiębiorcy zaś do dodatkowych obowiązków się w końcu przyzwyczają. Jednak żeby zająć się problemem szybciej, trzeba było wiedzy. Ta docierała do rządu w szczątkowej formie. Jeszcze z raportu KE z 2012 r. wynikało, że nasza luka co prawda rośnie, ale wolniej niż w innych państwach. Byliśmy poniżej średniej UE i ktoś mógł powiedzieć, że nie było się czym martwić. Dodatkowo dane dotyczące Polski zmieniały się w kolejnych raportach KE wraz z udoskonalaniem metodologii.

CZYJ TO SUKCES

Być może MF powinno prowadzić własne badania, być może powinno się tym zająć np. Rządowe Centrum Studiów Strategicznych – gdyby nie zostało zlikwidowane jeszcze za rządów Kazimierza Marcinkiewicza. W każdym razie obecny rząd już wiedzę ma. I wdraża kolejne rozwiązania mające uszczelnić VAT. Część z nich została jednak zaplanowana jeszcze za rządów PO-PSL. PiS zrealizował choćby split payment i pakiet paliwowy, który zakładał, że firma sprowadzająca paliwo z innego kraju UE do Polski musi mieć u nas siedzibę bądź oddział i być płatnikiem VAT. Uchwalono także pakiet energetyczny wprowadzający m.in. koncesje na przeładunek paliw, a pakiet przewozowy nakładał na firmy transportujące liczne kategorie towarów (od paliw do suszu tytoniowego) dodatkowe obowiązki związane z informowaniem o transportach.

Efekt? W latach 2016 i 2017 do budżetu wpłynęło odpowiednio 126,6 mld i 156,8 mld zł z tytułu VAT. W 2015 r. było to 125,1 mld zł. Jednak to wcale nie oznacza, że w ciągu roku luka zmalała jakoś drastycznie. Wzrost przychodów z VAT wiąże się ze wzrostem gospodarczym: im więcej kupujemy, tym więcej płacimy VAT. Ktoś może jednak powiedzieć: w 2017 r. wpływy z VAT wzrosły w stosunku do 2016 o 24 proc., a wzrost gospodarczy wyniósł „tylko" 4,6 proc. To prawda, jednak przecież wraz ze wzrostem rosną także spodziewane wpływy, od których należy odjąć wpływy realne, by obliczyć istniejącą lukę. Ile ona wynosi? Szacunki są różne. Ministerstwo Finansów, bazując na unijnej metodologii, obliczyło, że luka w 2017 r. mogła wynieść ok. 25 mld zł (14 proc.). Z kolei według prof. Jana Czekaja z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie w 2016 r. luka mogła wynieść 46,8 mld zł (27 proc.), a w 2017 r. – 29,5 mld zł, czyli 15,7 proc.

Zwolennicy PO powiedzą, że za rządów PiS ukradziono prawie 80 mld zł, a w 2017 r. zbierano żniwo słusznych działań z poprzedniej kadencji, z kolei zwolennicy PiS wskażą, że ich ulubieńcy w 2016 r. wypijali piwo nawarzone przez swoich poprzedników i dopiero później mogli ruszyć z kopyta z własnymi rozwiązaniami. Prawda jest jednak taka, że mamy tu do czynienia z rozwiązaniami, których nie można przygotowywać na szybko, na efekty zaś potrzeba czasu. Jeśli więc traktować uszczelnienie podatków jako sukces, to ma on wielu ojców – a jeśli jest duży, to wówczas będziemy to mogli ocenić tak naprawdę dopiero za rok lub nawet kilka lat, gdy będziemy dysponować względnie twardymi szacunkami KE.

Rządy PO-PSL pod koniec wprowadziły lub zaproponowały rozwiązania w sprawie VAT, z których korzysta obecny rząd

Podsumowując – rządy PO i PSL przez prawie dwie kadencje nie stosowały środków mających na celu uszczelnienie luki VAT. Jednak pod koniec wprowadziły lub zaproponowały rozwiązania, z których korzysta obecny rząd (dokładający także sporo własnych pomysłów). Ważne jest, by kwestię walki z nieuczciwością podatkową – bądź ze zwykłym złodziejstwem – traktować poważnie i jako wspólny cel. I pamiętać o tym, że luka VAT bierze się w dużej mierze z… luk w ustawie o VAT. Gdyby więc komisja śledcza wskazała, jak zmienić prawo, by było bardziej czytelne, byłby to z pewnością ogromny sukces.

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u „Nowa Konfederacja".

eprasa.pl cfc5ba4834

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polak, który nie narzeka?

Jeśli jedną z wyróżniających nas – Polaków – cech rzeczywiście jest – a nie da się tego wykluczyć – wrodzona skłonność do ciągłego manifestowania niezadowolenia z jakości wszystkiego, co nas otacza, inaczej mówiąc: wrodzone malkontenctwo, narzekactwo, na domiar zaprawione skrajnym czarnowidztwem i predylekcją do ustawicznego poszukiwania dziury w całym, to mamy problem. Poważny problem. I grozi nam konieczność stoczenia z samymi sobą nie lada walki, jeśli nie chcemy się w tej materii zmienić.

Oto bowiem rzeczywistość zaczyna płatać nam figle i coraz mocniej, i mocniej wystawiać w tej mierze na próbę. Z corocznego, ogólnoświatowego badania jakości życia SEDA, przeprowadzonego przez Boston Consulting Group, wynika niezbicie, że zaledwie w 10 lat (2009–2018) Polska awansowała w tym zestawieniu aż o 10 miejsc i plasuje się już na 32. pozycji (z naszego regionu wyprzedzają nas Czechy – 24. lokata – i Estonia – 25.). Jakby tego było mało, nasz kraj podciągnął się w aż 34 spośród 40 kategorii, uzyskując pod tym względem najlepszy wynik na świecie – tuż przed Chinami i Peru. A badane są przy tej okazji m.in. możliwości ekonomiczne obywateli – w tym ich dochód i wskaźnik bezrobocia, a także infrastruktura, poziom opieki medycznej i nierówności społecznych, stan środowiska naturalnego, jakość działania instytucji rządowych itd.

A gdyby komuś i to nie wystarczało, to „Rzeczpospolita" dorzuca przy okazji jeszcze jeden kamyczek do tego ogródka, przytaczając taką oto wypowiedź Mariusza Kapuścińskiego, ekonomisty Banku BGŻ BNP Paribas: „Od maja 2017 r. publikowany przez GUS bieżący wskaźnik ufności konsumenckiej przyjmuje wartości powyżej zera, co oznacza, że więcej jest konsumentów nastawionych optymistycznie niż pesymistycznie. Nie miało to miejsca nigdy wcześniej w historii tego badania, które prowadzone jest od 1997 r.".

No i co w tej sytuacji zrobimy? My – Polacy. Bo przecież chyba nie poddamy się bez walki. Tym bardziej że ten ogromny skok jakościowy, cywilizacyjny Polski dokonał się w ciągu ostatnich 10 lat – od 2009 do 2018 r., z których siedem lat u władzy była Platforma, a trzy lata – PiS. Cała nadzieja w tym, że ów rezultat, który żadną miarą nie może w całości przypaść do gustu ani obozowi PO, ani obozowi PiS, wyzwoli w nas dostatecznie kipiące od wyrazów niezadowolenia emocje.

A poza tym, gdyby tego paliwa okazało się za mało, to wiadomo – Polak potrafi, więc na pewno znajdziemy sobie niejeden wdzięczny obiekt do narzekania. W końcu, w ostatecznej ostateczności, można sobie przecież wyobrazić Polaków narzekających na to, że idzie nam za dobrze i że w związku z tym to wszystko nie może się dobrze skończyć. No bo czy może? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

4 w 1 na kryzys demograficzny

Świat Zachodu i bogate kraje Azji czeka katastrofa demograficzna. Pokolenie boomu demograficznego się starzeje, seniorzy dzięki postępom w medycynie żyją coraz dłużej, a dzieci rodzi się mało i pojawia się problem, kto będzie finansował emerytury seniorów.

W kulturze Zachodu wartości rodzinne zostały zastąpione kultem pieniądza i kariery, więc trzeba szukać innych metod wyjścia z kryzysu. Dyskurs medialny i naukowy zdominowała jedna metoda, czyli wydłużenie wieku emerytalnego. Jednak są jeszcze trzy inne możliwe do wdrożenia.

Druga metoda to dynamiczna automatyzacja, która będzie prowadziła do wzrostu produktywności człowieka w wieku produkcyjnym. W biednych krajach dziurę w ulicy naprawia 10 osób, sypiąc gorący asfalt do dziury szuflami. W Danii widziałem, jak taką dziurę naprawia jedna osoba za pomocą specjalnej maszyny. I ta jedna osoba zarabia 10 razy więcej, niż robotnik w biednym kraju.

Trzecia metoda to zwiększenie liczby urodzin. Widać jednak, że jest to bardzo trudne, program „500+" doprowadził do tylko nieznacznego zwiększenia liczby urodzin. Jeżeli ten wskaźnik się nie poprawi, to Polaków w 2100 r. będzie ok. 20 mln, połowa tego, co obecnie. Albo miasta i wsie się wyludnią, albo co drugi mieszkaniec Polski będzie imigrantem, z czego wielu z obcych nam kulturowo części świata, ze wszystkimi tego konsekwencjami, pozytywnymi i negatywnymi.

Czwarty sposób to przeprowadzenie reformy systemu edukacji w taki sposób, żeby młody człowiek zaczynał szkołę w wieku sześciu lat, a w wieku 15 lat był zdolny do podjęcia dobrze płatnej pracy zawodowej, np. jako informatyk, których teraz brakuje w całej Europie. Obecnie dorosły pamięta prawdopodobnie tylko kilka procent tego, czego się nauczył w szkole, model kształcenia jest zaś rodem z XIX w. Ten model nie stawia sobie za cel odkrywania talentów, tylko uczenie dzieci w ten sam sposób. Tak było, bo fabryki potrzebowały pracowników, którzy wykonywaliby standardowe, powtarzalne czynności. Teraz powtarzalne czynności są coraz bardziej automatyzowane, a młodzieży nie jest potrzebna pamięciowa wiedza sprawdzana za pomocą testów, tylko umiejętności cenione na rynku pracy.

W praktyce potrzebna jest kombinacja tych czterech sposobów, czyli stopniowe wydłużanie wieku emerytalnego, dalsza robotyzacja miejsc pracy, wspieranie finansowe przez państwo decyzji o posiadaniu dzieci oraz stopniowe obniżanie wieku rozpoczęcia aktywności zawodowej dzięki reformie systemu kształcenia i połączenie nauki z pracą zawodową przez praktyki i staże.

Mam nadzieję, że zobaczymy te postulaty w programach wyborczych partii w nadchodzących wyborach. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl cfc5ba4834

Radosław Wojtas

Polacy pokochali internetowe zakupy w Chinach. Bo jest najtaniej. Jednak Chińczycy sprzedają nad Wisłą bez podatków. Rząd chce to zatrzymać

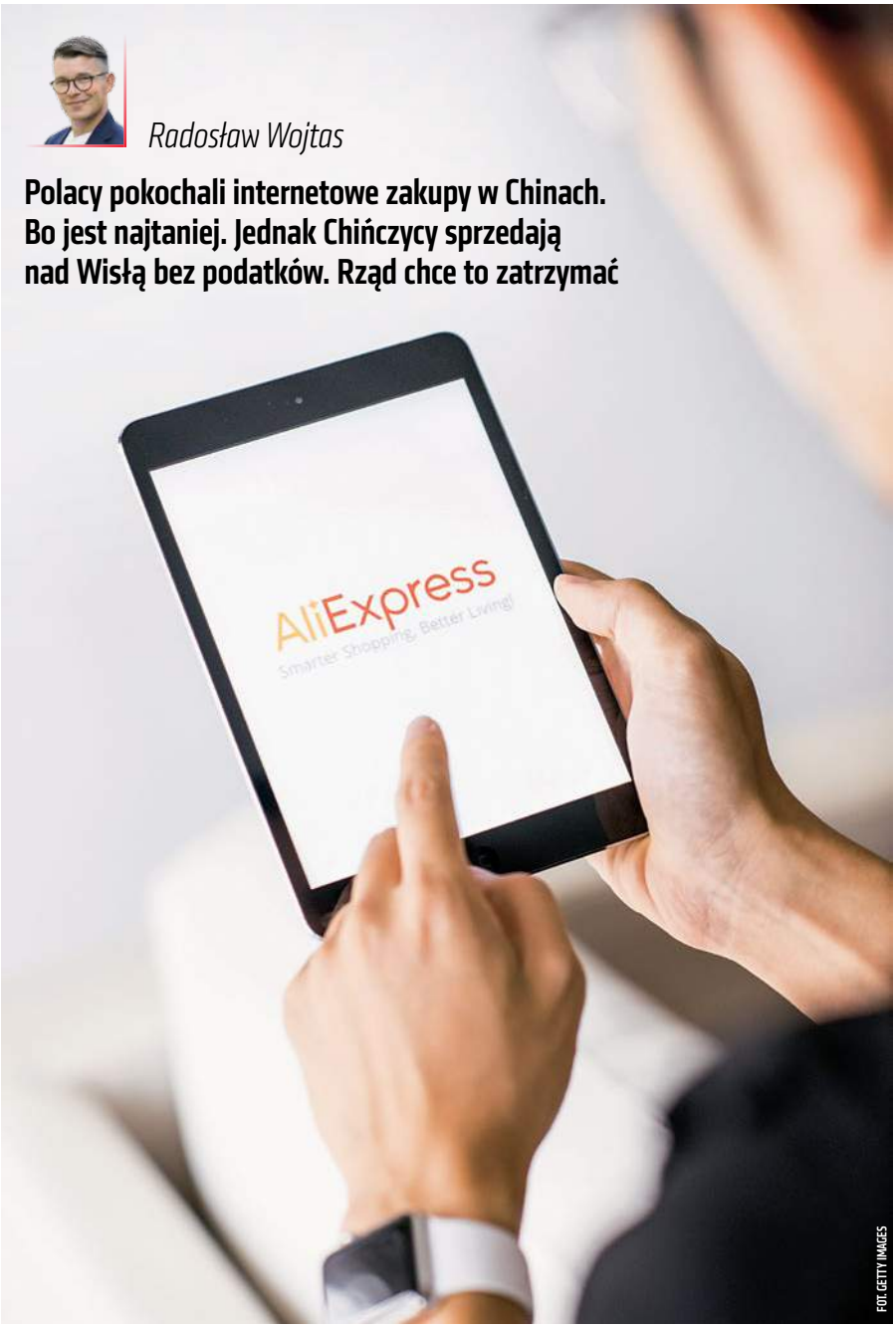

FOT. GETTY IMAGES

Szlaban na chińszczyznę

Wchodząc po raz pierwszy na AliExpress, dostajemy kupon na 4 dol. Co możemy za to kupić w jednym z największych sklepów internetowych świata? Dużo więcej niż w Polsce. Za kilkanaście złotych dostaniemy np. pokrowiec albo uchwyt na smartfona do samochodu. Tanie są ciuchy czy kosmetyki, a także lokalne wersje znanych na świecie produktów. Nożyki do maszynek do golenia znanej światowej marki kosztują nawet siedem razy mniej (z przesyłką) niż w Polsce. Na elektronice oszczędzić można od kilkuset do kilku tysięcy złotych.

A jakość? Klienci rozpoznali już dość dobrze, które chińskie marki ją utrzymują.

Wśród klientów festiwal narodowości – Rosjanie, Ukraińcy, mieszkańcy Europy Zachodniej, wielu Polaków. Do wyboru mają prawie wszystko: ubrania, buty, torebki, artykuły dla dzieci, zegarki, biżuteria, kosmetyki, żarówki, narzędzia, elektronikę.

ZŁA INTERPRETACJA

AliExpress to najpopularniejsza, ale przecież niejedyna platforma umożliwiająca kupowanie bezpośrednio od chińskich sklepów, hurtowni i producentów. Łatwość w dokonywaniu zakupów stała się w wielu krajach dużym problemem dla lokalnych przedsiębiorców i dla samych państw.

W Unii Europejskiej towary zakupione poza Wspólnotą o wartości poniżej 22 euro (a w przypadku zadeklarowania, że jest to prezent – do 45 euro) zwolnione są z podatku VAT. Za kilka lat ma się to zmienić, bo przepis ten był od dawna nadużywany. Już w 2015 r. media alarmowały, że w europejskich miastach portowych chińskie firmy wykupują magazyny na „prezenty", nie rejestrują się do celów VAT, a nawet potrafią podać fałszywy VAT-UE.

W unikaniu podatków pomocą służą swym klientom Chińczycy. Napisaliśmy do jednego ze sprzedawców z AliExpress, udając zainteresowanie zakupem najdroższego na rynku modelu iPhone'a. Nowy, ubezpieczony, prawie tysiąc złotych taniej niż w Polsce. Zaznaczamy, że chcemy uniknąć VAT. Jeden sklep proponuje, że zadeklaruje wartość paczki na 30 dol. Drugi radzi, żeby wpisać co najmniej 50 dol., bo zbyt niska wartość dla takiej paczki jest zbyt ryzykowna i mogą ją sprawdzić celnicy. A za telefon mamy zapłacić ok. 5 tys. zł.

Jednak niezależnie od wartości podatek powinniśmy odprowadzać przy każdych, nawet najdrobniejszych zakupach w zagranicznych sklepach wysyłkowych. Polskie

eprasa.pl cfc5ba4834

Ministerstwo Finansów zauważa, że klienci, którzy tego nie robią, źle interpretują obowiązujące przepisy.

Jak informuje „Do Rzeczy" biuro prasowe resortu finansów, z ustawy VAT wynika, że jeśli Polak przebywający w kraju kupuje coś od zagranicznej firmy, to od takich „towarów importowanych" przepis o zwolnieniu z VAT już zastosowania nie ma. „Oznacza to, że każdy, kto kupuje towar przez Internet (online) z kraju spoza UE o wartości już od 0,01 euro, odbiera go w przesyłce pocztowej lub kurierskiej przesłanej do Polski, staje się importerem, obowiązanym do zapłaty podatku od towarów i usług (VAT)" – ostrzega biuro prasowe ministerstwa.

W praktyce za drobne zakupy w Chinach podatek w Polsce płaci niewielu. Na tym, żeby zaczęli, zależy nie tylko państwu – które ograniczając nielegalny import towarów przez sieć, zyska wpłaty do budżetu – lecz także graczom e-comerce z polskiego rynku wartego już ponad 40 mln zł. To oni czują już mocno na plecach oddech chińskiej konkurencji. Od 2016 r., kiedy na polskim rynku zadebiutował AliExpress, sprzedaż na tej platformie w naszym kraju rośnie o ok. 150 proc. rok do roku. Według raportu „E-commerce w Polsce 2018" przygotowanego przez Gemius już 23 proc. polskich internautów zdarza się robić zakupy w zagranicznych sklepach, podczas gdy jeszcze dwa lata temu było ich zaledwie 10 proc. Jak podała „Rzeczpospolita", tylko z udziałem platformy rabatowej Planet Plus w I połowie 2018 r. Polacy wydali w chińskich sklepach 6,5 mln zł – o ponad jedną trzecią więcej niż w 2016 r. Gemius w swoim raporcie wskazuje, że Polacy w zagranicznych sklepach internetowych najczęściej kupują odzież, dodatki i akcesoria (52 proc. respondentów kupujących za granicą), kosmetyki i perfumy (32 proc.), a także książki, płyty, filmy i inne multimedia (28 proc.).

TAMA NA JANGCY

W Polsce wciąż liderem internetowej sprzedaży pozostaje serwis Allegro, któremu oczywiście zależy na tym, by tak zostało. Spółka przedstawiła swój pomysł na uszczelnienie dziurawego dziś systemu podbierania VAT od zagranicznych przesyłek. Jak podała „Rz", Allegro proponuje wprowadzenie zasady „domniemania", co pozwoli na traktowanie każdej przesyłki (nawet koperty) o określonej grubości przesłanej z zagranicy jako paczki z towarem. To Poczta Polska miałaby pobierać odpowiednie opłaty (już teraz to robi, ale wcześniej opłata musi zostać naliczona przez służby celno-skarbowe), ale miałaby zyskać uprawnienia agenta celnego. Co dla operatora może nie być korzystne, bo dodatkowe zadania to dodatkowe koszty. Jeśli te zostaną przerzucone na klientów, to zakupy w Chinach mogą przestać się opłacać.

W Ministerstwie Finansów działa zespół, który ma uszczelnić system. Jak informuje „Do Rzeczy" biuro prasowe resortu finansów: „Trwają prace i analizy dotyczące możliwości wprowadzenia stosownych rozwiązań dotykających obszaru towarów zamawianych drogą internetową, z uwzględnieniem praktyk innych krajów, wymogów unijnych, ale także uwarunkowań krajowych w obszarze informatyzacji Krajowej Administracji Skarbowej oraz analizy zakresu wymaganych ewentualnie zmian prawnych". Znając szybkość działania polskiej administracji, można zakładać, że jeszcze wiele milionów w towarze popłynie – obok budżetu – chińską rzeką do Polski. Lecz w końcu tama powstanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Polskie Radio 24.pl

Nowy portal informacyjny Polskiego Radia

WWW.POLSKIERADIO24.PL

eprasa.pl cfc5ba4834

PATRONAT DO RZECZY

FOT. ALEKSEJ WITWICKI/FORUM

Sposób na gospodarkę

Państwa Europy Środkowo-Wschodniej szukają sposobu na dobrą rozgrywkę w globalnej gospodarce. Jaki on powinien być – zastanawiano się w Krynicy

W czasach, gdy okazało się, że „niewidzialna ręka rynku" nie istnieje (zwykle przyczepiona jest ona do jakiegoś ciała, które nią kieruje) i wiele zależy jednak od interwencji państwa, gospodarka znacznie wyraźniej niż do tej pory postrzegana jest jako arena rozgrywek regionalnych czy narodowych. Gdy USA wojną celną wyrąbuje nowy układ sił w pojedynku z Chinami, kraje Europy Środkowo-Wschodniej poszukują pomysłów na rozwój, który pozwoli im w przyszłości co najmniej nawiązać równą walkę z dominującymi na starym kontynencie gospodarkami.

Jaka wiedzie do tego droga – zastanawiali się nad tym eksperci i politycy z wielu krajów świata, którzy w ubiegłym tygodniu zjechali na 28. Forum Ekonomiczne w Krynicy. Wśród poruszanych tematów dwa wybijały się niezwykle mocno: globalizacja w gospodarce oraz innowacje.

100 MLN ZŁ IMPULSU

Ten, kto nie ma innego zaplecza, musi stawiać na nowe obszary – to już dość dobrze pokazali w Europie np. Estończycy, starając się budować przewagę w innowacjach związanych ze światem cyfrowym. Pozostaje „tylko" jeden problem: na co dokładnie postawić i jak to zrobić.

– Ważne jest to, abyśmy mieli jak najwięcej branż, w których nasze umiejętności, nasza kreatywność będą sprzęgnięte z rozwojem gospodarczym, ponieważ gry mogą być wirtualne, ale zyski i miejsca pracy realne – mówił w Krynicy premier Mateusz Morawiecki. Jego zdaniem właśnie branża gier elektronicznych to przykład polskiej „perły eksportowej". Państwo może pomóc rozwijać tak rokujące segmenty rynku. Premier zapowiedział już wsparcie – np. ulgi podatkowe, gdy gry jednocześnie będą zawierać elementy kulturotwórcze oraz promowanie gier przez Polską Agencję Inwestycji i Handlu.

Podczas krynickiego panelu „Jak skutecznie budować innowacyjną gospodarkę? Doświadczenia – inspiracje – strategie" wskazywano, że jedną z barier jest słabe finansowanie począt-

eprasa.pl cfc5ba4834

kujących przedsiębiorstw. W Polsce jednym z pomysłów ma być nowy fundusz – SpeedUp Energy Innovation, który przeznaczy 100 mln zł na innowacyjne start-upy. Umowę w sprawie jego powołania podpisały w Krynicy Polska Grupa Energetyczna (PGE), Polski Fundusz Rozwoju (PFR) i Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (NCBiR). Fundusz ma wspierać pomysły biznesowe w sferze elektromobilności, big data, magazynowania energii i digitalizacji.

Jednak czy fundusz rozwiąże wszystkie problemy? Podczas sesji plenarnej wicepremierów i przedsiębiorców wskazywano, że choć w krajach takich jak Polska jest wielu młodych pracowników z wysokimi kompetencjami w obszarach nowych technologii, to jednak bardzo często szukają oni pracy poza granicami.

Dla tych rodaków, którzy zdecydowali się mieszkać za granicą, najciekawsza będzie zapewne zapowiedź, która padła w trakcie Forum Polonijnego. Podczas panelu, w którym brał udział m.in. redaktor naczelny „Do Rzeczy", marszałek Senatu Stanisław Karczewski zapowiedział, że pojawi się nowelizacja pozwalająca Polonii wybierać swojego reprezentanta do Izby Wyższej.

Debata oksfordzka tygodnika „Do Rzeczy" i Ministerstwa Zdrowia z udziałem ministra profesora Łukasza Szumowskiego na temat wzrostu nakładów na służbę zdrowia do 6 proc. PKB
Zobacz całą debatę na www.dorzeczy.pl FOT. PROFESJONALNA.TV

PODSTAWY DO ROZWOJU

Z krynickich rozmów jasno wynika też, że trudno stymulować rozwój – i np. powstrzymywać przyszłych młodych biznesmenów przed emigracją – jeśli państwo nie będzie zapewniać odpowiedniej opieki i poziomu życia. Prorodzinne programy („500+" i „300+") dały już wiele, ale wciąż poprawy wymaga m.in. system opieki zdrowotnej. Główny problem jest znany od lat – pieniądze. Dlatego pod patronatem „Do Rzeczy" eksperci debatowali w Krynicy o wzroście nakładów na służbę zdrowia do 6 proc. PKB. Rozmawiano również o tym, jakie znaczenie dla systemu ma e-recepta.

Trudno też oczekiwać gospodarczego wzrostu, gdy brak jeszcze podstawy, czyli infrastruktury. Z budową dróg Polska poradziła sobie nieźle, ale wielka modernizacja kolei jest w toku. Startują też dopiero przygotowania do jednej z największych inwestycji – Centralnego Portu Komunikacyjnego. Podczas drugiego dnia Forum w strefie PMPG Business Lounge przeprowadzono debatę „Rozwój kolei – perspektywa 2030", w której udział wzięli m.in. wiceminister infrastruktury Andrzej Bittel, członek rządowego zespołu doradczego ds. CPK – Patryk Wild i prezes zarządu PKP PLK Ireneusz Merchel.

– Najważniejsze w podejściu do modernizacji są dziś nowe technologie. Koleje muszą być zmodernizowane i zautomatyzowane, nie tylko na posterunkach ruchu – mówił Merchel. – Chcemy, aby w wielu przypadkach maszyny zastąpiły ludzi. Chodzi o miejsca, w których maszyny podejmują decyzje szybciej i lepiej. Rozpoczęliśmy też szeroko zakrojony program automatyzacji ruchu.

Patryk Wild wskazywał, że inwestycja w Centralny Port Komunikacyjny w ogromnym stopniu dotyczyć będzie też właśnie kolei. – Przede wszystkim jest to budowa nowego systemu transportu, w którym system kolejowy będzie docierać do każdego regionu Polski, w czasie konkurencyjnym dla transportu samochodowego – mówił i wyliczał: – Cena całego węzła i dojazdów do niego to ok. 35 mld zł, z czego 9 mld pochłonie rozbudowa węzła kolejowego i szybkiej linii kolejowej Warszawa – Łódź. Powiązana z CPK rozbudowa infrastruktury kolejowej to w sumie – do 2030 r. – 1,3 tys. km nowych linii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Łukasz Zboralski

Partnerzy strefy PMPG Business Lounge:

ORLEN, LOT, BAYER, vivus.pl, PKP Polskie Koleje Państwowe, VIP Line, amazon, Skarbiec Kancelaria Prawna, Ab.pl Digital World, Vive Textile Recycling, Warsaw Chopin Airport / Lotnisko Chopina Warszawa, PPL Porty Lotnicze

eprasa.pl cfc5ba4834

Biznes pożera piłkę

Łukasz Majchrzyk

Wąska grupa milionerów coraz bardziej oddala się od zwykłych kibiców, których coraz częściej nie stać na kupno biletów czy karnetów

Wiadomo było, że gdy Portugalczyk, uważany przez wielu kibiców i fachowców za najlepszego piłkarza na świecie, po niemal dekadzie występów w najbardziej medialnym klubie świata odejdzie z Madrytu, wywoła lawinę komentarzy.

Stał się przecież symbolem klubu, poprowadził zespół do zwycięstw w Lidze Mistrzów, tytułów Mistrza Hiszpanii, zdobywał Złotą Piłkę, zostawał królem strzelców La Liga. Ze swoim przesadnym dbaniem o wizerunek, nienagannie ułożoną fryzurą, gdzie każdy włos musiał się zgadzać ze schematem, pasował do błyszczącego od złota Realu.

Madryt zamienił na Turyn, gdzie też są drogie butiki, piękne wille i szybkie samochody, gdzie lubią i potrafią liczyć euro oraz szanują ciężką pracę, z której Portugalczyk słynie. Ronaldo pasuje do Juventusu, który ciągle jest jednym z największych i najbogatszych klubów na świecie, a jeszcze pod koniec ubiegłego wieku seryjnie grał w finałach Ligi Mistrzów.

ZAPACH PIENIĘDZY

Kiedy taka gwiazda daje się przekonać, na ogół wszyscy powinni być szczęśliwi. Kibice skandują nazwisko, bo z piłkarzem tego kalibru w składzie kolejne tytuły są tylko kwestią czasu. Można oglądać jego popisy, a najwytrwalsi mogą dostrzec samochód, którym podjeżdża na treningi. Szczęśliwi są też właściciele, bo chociaż trzeba wyłożyć na stół naprawdę wielkie pieniądze, to liczą na szybki zwrot inwestycji. W przypadku Ronaldo mówi się o 90 mln euro samej kwoty transferu, a do tego trzeba jeszcze dołożyć jego ogromną pensję, liczoną na dziesiątki milionów euro.

Tę gorycz wydawania pieniędzy natychmiast osłodziły wieści z giełdy, gdzie Juventus jest notowany. Kurs akcji wielokrotnego mistrza Włoch po ogłoszeniu informacji o sprowadzeniu portugalskiego napastnika natychmiast podskoczył aż o ponad 30 proc. – Juventus dodał przecież do swojego zasobu najcenniejsze obecnie aktywa światowego futbolu.

Do tego doszły informacje o sprzedaży koszulek z nazwiskiem „Ronaldo" i numerem „7" na plecach. Każdy kibic chciałby taką mieć i nic dziwnego, że w ciągu 24 godzin wartość sprzedanych trykotów osiągnęła zawrotną sumę 60 mln euro, a to dopiero początek maszynerii, która się rozkręca. I nawet jeśli się weźmie pod uwagę, że tylko część z tych pieniędzy trafi na konto klubu z Turynu, to widać, jak wielkie pieniądze są tutaj do zarobienia.

Mając w składzie Ronaldo, można wybrać się na tournée po Azji, które oznaczać będzie krociowe zyski i poszerzy rozpoznawalność marki Juventus na tak chłonnych rynkach jak Chiny, Korea Południowa i Tajlandia. Tamtejsi fani potrafią być bardzo hojni i na pewno sięgną głęboko do portfeli, żeby nabyć koszulki w biało-czarne pasy.

Ronaldo w lipcu poleciał do Azji po raz kolejny, jak robi już od kilku lat. Jego CR7 tour weszły na stałe do letniego kalendarza. On wie, że tam czekają na niego ogromne pieniądze, a siłą rzeczy solidnie zarobi także klub, którego barwy reprezentuje. Na samolocie, który go zawiózł do Azji, widniało logo innego producenta strojów piłkarskich (Ronaldo ma indywidualną umowę) niż tego, który ubiera Juventus. To jednak oczywiste, że jeśli kibic azjatycki, którego Portugalczyk w sobie rozkochuje, będzie chciał mieć koszulkę z nazwiskiem „Ronaldo", to do wyboru będzie miał tylko tę w barwach mistrzów Włoch. W tym czasie Juventus, jeszcze bez swojej największej gwiazdy, buduje popularność i rozpoznawalność marki w Stanach Zjednoczonych podczas turnieju towarzyskiego. Ten sam kierunek wybrał również m.in. Real Madryt.

Cristiano Ronaldo na pewno jest szczęśliwy z przeprowadzki do Turynu, tym bardziej że wreszcie będzie dalej od hiszpańskiego fiskusa, który ścigał Portugalczyka za niepłacenie podatków. Według hiszpańskich organów podatkowych, w latach 2011–2014, grając w Realu Madryt, dopuścił się przestępstw podatkowych na łączną kwotę 14,8 mln euro. Doszedł do ugody z prokuraturą, zapłaci 19 mln euro kary i dostanie dwa lata więzienia w zawieszeniu, grać w Hiszpanii już jednak nie zamierza.

Problemy zostaną już niedługo daleko z tyłu i będą jedynie wspomnieniem. Jego nagła miłość do Turynu może mieć podłoże w ustawie podatkowej, którą pod koniec 2017 r. przegłosował włoski parlament. W skrócie stanowi ona, że nowi włoscy rezydenci podatkowi będą płacić fiskusowi daniny m.in. od przychodów osiągniętych za granicą tylko do wysokości 100 tys. euro. Dla Portugalczyka, który rocznie z tytułu kontraktów reklamowych zarabia kilkadziesiąt milionów euro, to sytuacja idealna. Być może za przykładem Cristiano Ronaldo już niedługo pójdą kolejne wielkie gwiazdy światowego futbolu i we włoskiej Serie A zaroi się znów, tak jak to było w latach 80. i 90., od znakomitych zawodników.

Na tym idealnym układzie, z którego wszyscy powinni być zadowoleni, jest tylko jedna rysa. Grupa pracowników koncernu Fiata, który podobnie jak Juventus należy do rodziny Agnelli, na wieść o tym, jaką sumę klub zamierza przeznaczyć na zakup gwiazdy światowego futbolu, zapowiedziała strajk. Ich wzywa się do oszczędności, podczas gdy lekką ręką wydawane są setki milionów euro. Koncern pompuje pieniądze w klub z Turynu na różne sposoby, choćby reklamując na koszulkach zawodników jedną ze swoich marek samochodów.

eprasa.pl cfc5ba4834

FOT. MARCO CANDNERO/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Protesty nie sparaliżowały koncernu (ostatecznie przyszło zaledwie kilkoro ludzi), na co może liczyli związkowcy, ale pokazały jedną rzecz: że rozdźwięk pomiędzy opływającym w luksusy światem dzisiejszego futbolu a zwykłymi kibicami w dalszym ciągu się powiększa. Oglądanie spotkań na stadionie staje się coraz częściej rozrywką dla zamożnych, a przecież u swoich początków futbol był rozrywką dla robotników – tanią i dostępną w każdym miejscu oraz w każdym czasie.

PATRZ, PŁACZ I PŁAĆ

Profesjonalizacja futbolu, nieustanny wyścig zbrojeń, szukanie choćby najdrobniejszych przewag, badania, sprzęt, monitorowanie zdrowia piłkarzy, zatrudnianie sztabów trenerów, kuszenie ogromnymi pensjami największych gwiazd (Ronaldo zarabia 30 mln euro rocznie) generują olbrzymie koszty. Piłka nożna stała się bardzo kapitałochłonną gałęzią gospodarki.

Jakoś trzeba zdobywać pieniądze na coraz wyższe kwoty transferów piłkarzy, prowizje dla menedżerów i pensje oraz premie dla samych zawodników. Szybujące w górę kontrakty na pokazywanie różnych rozgrywek to tylko jedno ze źródeł przychodów. Innym są tzw. przychody z dnia meczowego, a to oznacza, że trzeba sięgać coraz głębiej do kieszeni fanów. Drożeją bilety i przekąski, które można kupić podczas wizyty na stadionie, ale niektórzy kibice zaczynają się buntować. Na razie te protesty przebiegają jednak zgodnie z powiedzeniem: „Płacz i płać".

Turyn i okolice (bo w samym mieście bardzo popularny jest też inny klub – AC Torino) należą raczej do bogatszych regionów Włoch, ale i tutaj podwyżki, które zarząd zafundował kibicom w ostatnich latach, są odczuwalne. Jeszcze w sezonie 2011/2012 karnet sezonowy na trybunę za bramką, na której siadają najbardziej zagorzali kibice, kosztował 275 euro, a na najlepsze miejsca – 790 euro. W trakcie poprzednich rozgrywek za te same krzesełka trzeba było już zapłacić odpowiednio: 540 i 1795 euro. Nie był to jednak koniec podwyżek. Przed startem rozgrywek z udziałem Cristiano Ronaldo ceny podskoczyły do 595 i 2055 euro.

Po ogłoszeniu tego cennika wielu kibiców zaczęło protestować i żalić się w Internecie na to, że klub stawia na klientów zamożnych, a dla zwykłych fanów, którzy chodzili na mecze od lat (a może i od pokoleń), zaczyna brakować miejsca. Wszystko wskazuje jednak na to, że władze klubu z Turynu w najbliższym czasie nie będą musiały zmieniać swojej polityki. Wszystkie karnety zostały błyskawicznie sprzedane na kilka tygodni przed startem włoskiej ligi, której Juventus jest bezsprzecznie największym faworytem.

Niezadowolenie kibiców daje się odczuć także w innych, europejskich ligach. W angielskiej Premier League, gdzie piłkarze zarabiają fortuny, a telewizje wyrywają sobie kontrakty na pokazywanie rozgrywek (ostatnia kilkuletnia umowa opiewa na 8,3 mld euro), doszło nawet do strajku kibiców. Oburzeni fani Liverpoolu wyszli z meczu z Sunderlandem w 77. minucie po tym, jak dowiedzieli się, że najdroższy bilet na pojedynczy mecz w sezonie 2016/2017 ma kosztować 77 funtów. W mieście robotniczym, gdzie tradycje futbolu dostępnego dla wszystkich są szczególnie mocne, gdzie jedną z największych legend był trener Bill Shankly, deklarujący się jako socjalista, taki ruch był szczególnie źle odebrany.

Kibiców poparł były piłkarz drużyny Liverpoolu Jamie Carragher, który stwierdził, że 2 mln funtów, które właściciele spodziewają się dodać do budżetu dzięki podwyżce, nie zrobią żadnej różnicy. Klub argumentował, że za te pieniądze kibic dostanie wygodne miejsce na jednej z najnowszych trybun w kraju, ale Carragher pytał w odpowiedzi, dlaczego na tym miejscu nie może usiąść przeciętny kibic, którego nie stać na takie wydatki. Liverpool i tak nie jest najdroższym klubem w Anglii – dla przykładu za najdroższy bilet na mecz Arsenalu trzeba obecnie zapłacić 95,5 funta.

Protestowali nie tylko kibice w Anglii. Kilka dni po demonstracji fanów Liverpoolu kibice Borussii Dortmund zarzucili boisko w Stuttgarcie piłkami tenisowymi – nie spodobały im się ceny, które władze klubu VfB Stuttgart podyktowały za bilety dla kibiców gości. Na trybunie zajmowanej przez fanów w żółto-czarnych koszulkach pojawił się napis: „Futbol musi być dostępny". Te czasy chyba jednak minęły bezpowrotnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cfc5ba4834

Katarzyna Pinkosz

Od lipca na listach refundacyjnych pojawiła się długo oczekiwana zmiana: wprowadzono biopodobny lek stosowany w jednym z podtypów raka piersi. Czy będzie to na pewno dobra zmiana dla pacjentek?

Chodzi o transtuzumab, lek stosowany w tzw. HER2-dodatnim raku piersi. To obecnie nowotwór numer jeden, jeśli chodzi o częstość zachorowania wśród kobiet, i numer dwa, jeśli chodzi o śmiertelność (po raku płuca). Zachorowania zdarzają się w każdym wieku. Najczęściej jednak choroba atakuje po menopauzie.

Około 20 proc. to tzw. rak piersi HER2-dodatni. Oznacza to, że na powierzchni komórek nowotworowych występuje nadmierna liczba receptorów HER2. Przewodzą one do komórek nowotworowych sygnały stymulujące je do szybszego wzrostu i podziału. Rak HER2-dodatni ma często agresywny przebieg, szybko dochodzi do przerzutów. Jeszcze kilka lat temu rokowanie w tym podtypie raka piersi było bardzo złe. Poprawiło się po wprowadzeniu do terapii transtuzumabu – przeciwciała monoklonalnego blokującego funkcje receptora HER2.

W Polsce możliwość stosowania tego leczenia (z pewnymi ograniczeniami) kilka lat temu wywalczyły organizacje pacjenckie oraz lekarze. Lek podawany był początkowo tylko dożylnie, a od trzech lat – także podskórnie. Niedawno na rynku leków pojawiła się pierwsza forma leku biopodobnego – podawanego dożylnie.

Wprowadzenie leków biopodobnych może potencjalnie wpłynąć na zaoszczędzenie środków finansowych w budżecie państwa, co pozwoliłoby np. na objęcie refundacją kolejnych terapii dla chorych. Organizacje pacjenckie obawiają się jednak, że – po zarządzeniu prezesa NFZ, które wprowadziło tzw. współczynniki korygujące dające preferencje formom dożylnym – szpitale zaprzestaną kupowania leków w formie podskórnej.

Czy forma leku ma znaczenie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Forma ma znaczenie

Z prof. nadzw. dr hab. Renatą Duchnowską, kierownikiem Kliniki Onkologii Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Jak najkrócej w szpitalu

KATARZYNA PINKOSZ: Czy transtuzumab może być stosowany u wszystkich kobiet, u których stwierdzono HER2-dodatniego raka piersi?

PROF. NADZW. DR HAB. RENATA DUCHNOWSKA: Nie. Wskazania są określone w programie lekowym NFZ. Lek stosuje się u chorych na etapie leczenia radykalnego, czyli łącznie z chemioterapią poprzedzającą leczenie operacyjne i/lub w tzw. leczeniu uzupełniającym, czyli po operacji. Może być też stosowany u chorych w stadium uogólnienia choroby, łącznie z chemioterapią oraz przeciwciałem monoklonalnym – pertuzumabem. Niewątpliwie lek ten odgrywa ważną rolę na wszystkich etapach leczenia HER2-dodatniego raka piersi. Zmienił oblicze tej choroby.

Działa tak samo niezależnie od tego, czy jest podawany w formie podskórnej czy dożylnej?

Tak, leki podskórne są tak samo skuteczne jak dożylne. Znacznie poprawiają

eprasa.pl cfc5ba4834

FOT. FOTOLIA

jednak komfort życia chorych. Pacjentka musi przyjeżdżać do szpitala na podanie leku przez wiele miesięcy, co trzy tygodnie. Przy podawaniu dożylnym konieczne będzie więc założenie tzw. portu (dostępu żylnego) z uwagi na to, że żyły trzeba oszczędzać. Najczęściej zakładamy port jeszcze przed rozpoczęciem chemioterapii i można go usunąć sześć miesięcy po zakończeniu leczenia. Jeśli jednak pacjentka otrzymuje transtuzumab w formie dożylnej, to nie jest to możliwe.

Port nie jest obojętny dla organizmu: trzeba go okresowo „płukać", co ma zapobiegać zakrzepicy, uważać, żeby nie doszło do zakażenia. Korzystanie z niego wymaga stosowania specjalnych igieł. Na całym świecie dąży się do tego, żeby leki były podawane w jak najprostszej formie. Ta podskórna jest preferowana, ponieważ nie trzeba zakładać portu, podanie leku zajmuje kilka minut, a pacjentka może szybko wrócić do domu.

Pojawiały się jednak opinie, że pacjentki i tak muszą przyjmować kilka leków, w tym część dożylnie. I tak muszą mieć port, przebywać dłużej w szpitalu, a różnica czasu przy podaniu dożylnym i podskórnym to nie więcej niż 20 minut.

To prawda, gdy leczenie jest prowadzone w skojarzeniu z chemioterapią. Jednak po zakończeniu chemioterapii pacjentka przez wiele tygodni dostaje tylko transtuzumab. Udowodniono, że leki biopodobne działają tak samo jak oryginalne. Skuteczność jest podobna, niezależnie od formy podania. Forma podskórna leku to jednak bardziej zaawansowana technologia, wygodniejsza dla pacjenta. Uważam, że jeśli ceny leków są porównywalne, to pacjentka objęta ubezpieczeniem zdrowotnym powinna mieć możliwość skorzystania z takiej formy podania, która jest dla niej wygodniejsza. Jestem za tym, żeby pacjentki jak najkrócej przebywały w szpitalu i wracały do czynnej pracy zawodowej. Temu ma służyć akcja „Choroba? Pracuję z nią!". Ma zwrócić uwagę na to, że osoby, które zachorowały na raka, mogą normalnie funkcjonować w życiu i pracować.

Jeśli chora do tej pory dostawała lek oryginalny, podawany podskórnie, to czy można go zamieniać na biopodobny, podawany w formie dożylnej?

Byłabym ostrożna z tego typu zamianami. Jest to zresztą przedmiot wielu dyskusji podczas konferencji naukowych. Wszyscy są raczej zgodni co do tego, że leków z tej grupy nie powinno się zamieniać. Nie ma wyników badań, które uzasadniają takie postępowanie, nie można wykluczyć potencjalnych reakcji immunologicznych. Dlatego trzeba być bardzo ostrożnym w podejmowaniu tego typu decyzji. Najważniejszy jest moment kwalifikacji do leczenia: trzeba zdecydować, którym lekiem pacjentka powinna być leczona. Jeśli rozpoczynamy leczenie lekiem oryginalnym, to podawajmy oryginalny; jeśli biopodobnym, to wówczas podawajmy biopodobny. Jeżeli terapią podskórną, to ją kontynuujmy.

Lekarz powinien mieć możliwość kierowania się sytuacją kliniczną pacjentki. Tego nie da się przewidzieć w żadnym rozporządzeniu. Proszę zwrócić uwagę, że każdy pacjent jest inny, bywa obciążony chorobami współistniejącymi. Ważna jest też jego sytuacja socjalna: czy ma rodzinę, małe dzieci, pracuje, jak daleko mieszka. Na pacjenta trzeba patrzeć holistycznie, nie tylko „medycznie". Jeżeli ceny leków są porównywalne, to szpital powinien mieć możliwość zakupienia do leczenia zarówno podskórnej formy leku, jak i dożylnej.

Kim są pacjentki chore na ten typ raka piersi? To osoby młode, pracujące, z dziećmi?

Są z każdej grupy wiekowej. To osoby młode, które mają pracę, małe dzieci i trzeba im pomóc tak zorganizować życie, żeby mogły wrócić do pracy i zająć się rodziną. Są też pacjentki starsze, jednak w ich przypadku też jest ważne, czy mają kogoś, kto może je przywieźć do szpitala na podanie leku. Zwykle to ich dzieci, które też mają dom, pracę. Dla nich też jest ważne to, żeby jak najkrócej być w szpitalu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Tadeusz Pieńkowski, dyrektor medyczny Radomskiego Centrum Onkologii, prezes Polskiego Towarzystwa do Badań nad Rakiem:

W Polsce nie bierze się pod uwagę całościowych kosztów leczenia, a także czasu pacjentów, ich bólu, cierpienia. Z punktu widzenia chorego bardzo istotny jest czas, który poświęca na leczenie, zwłaszcza jeśli jest ono przewlekłe. Zarządzenie prezesa NFZ spowodowało, że dla szpitali bardziej opłacalne będzie kupowanie leków podawanych dożylnie. To nonsens. Żeby lek podać dożylnie, trzeba go przygotować, rozpuścić w odpowiedniej objętości płynów, podać – to wszystko zajmuje czas i kosztuje.

NFZ nie zabrania podawania leku w formie podskórnej. Jeśli jednak dyrektor szpitala będzie wiedział, że dostanie z NFZ więcej pieniędzy, gdy pacjenci dostaną lek w formie dożylnej, to wybór będzie oczywisty. Podanie podskórne jest mniej dotkliwe, pobyt w ośrodku onkologicznym trwa krócej. Z punktu widzenia chorego, jego czasu, wygody, też jest to korzystniejsze. Również z punktu widzenia szpitala podanie podskórne powinno być korzystniejsze: trwa krócej, więc można leczyć więcej chorych.

prof. nadzw. dr hab. Renata Duchnowska – kierownik Kliniki Onkologii Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie.

eprasa.pl cfc5ba4834

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Pobożny rabuś Sapieha

Mikołaj Sapieha zwany Pobożnym herbu Lis, urodzony w 1581 r., nie zapisał się prawie w dziejach politycznych Litwy i Korony. Chociaż popierał go krewny – Lew Sapieha – to niewiele o jego działalności znajdujemy choćby w pamiętnikach Albrychta Stanisława Radziwiłła stanowiących jedno z najobszerniejszych źródeł do poznania polityki Rzeczypospolitej w pierwszej połowie XVII w. Ten marszałek trybunału litewskiego, wielokrotny poseł na sejm, wreszcie pod koniec życia wojewoda miński, a potem brzeski, zasłynął jednak ufundowaniem kościoła św. Anny w Kodniu na Podlasiu. Ze znajdującym się w nim cudownym obrazem Matki Boskiej Kodeńskiej i naszym bohaterem związana jest historia, a raczej legenda, w której pobożność miesza się z zuchwalstwem i ze swawolą.

Otóż po rozpoczęciu budowy kościoła w 1629 r. Sapieha niespodziewanie został sparaliżowany. Postanowił wówczas, jako człowiek pobożny, udać się do Rzymu na pielgrzymkę. Po długiej podróży został zaproszony przez papieża Urbana VIII na mszę w prywatnej kaplicy w Watykanie, gdzie długo modlił się przed obrazem Matki Boskiej Gregoriańskiej lub Guadelupeńskiej. Efektem tego stało się jego cudowne uzdrowienie, natychmiast też obudził się w nim niespokojny duch. Poprosił przez znajomych kardynałów, aby papież podarował mu święty obraz, co – jak można się było domyśleć – spotkało się z gniewną odmową.

Sapieha nie mogąc otrzymać obrazu „prawem", nie namyślając się długo, postanowił wejść w jego posiadanie „lewem". Przekupił papieskiego zakrystiana, który za sumę 500 dukatów potajemnie zdjął Matkę Boską Gregoriańską ze ściany kaplicy i wyniósł sługom magnata. Ci skrupulatnie zabezpieczyli obraz, po czym razem z Sapiehą natychmiast ruszyli do Polski. Co działo się w Watykanie, nietrudno się domyślić. Papież wpadł we wściekłość, za uciekającym wysłano pogoń, której jednak sprytny magnat wywinął się zręcznie. We wrześniu 1631 r. przywiózł obraz do Kodnia. Ponieważ kościół nie był jeszcze gotowy, umieszczono go tymczasowo w kaplicy św. Ducha na zamku Sapiehów, który dzisiaj już nie istnieje, a jego pozostałości weszły w skład Kalwarii Kodeńskiej.

FOT. WIKIPEDIA

Tymczasem papież szalał z gniewu; ponieważ nie udało się schwytać i zawrócić Sapiehy, ogłosił go świętokradcą i nałożył na niego ekskomunikę. Doszło zatem do sytuacji niezwykłej – fundator kościoła w Kodniu i człowiek znany z pobożności nie mógł przekroczyć progu własnej świątyni. Tradycja lokalna podaje, że wówczas to Sapieha nakazał wznieść dodatkowe pomieszczenia nad zakrystią, w których znajdowało się przejście na balkon nad kaplicą, z obrazem Matki Bożej Kodeńskiej. Tylko z tego właśnie miejsca wykluczony ze wspólnoty wiernych człowiek mógł przysłuchiwać się nabożeństwom.

Dopiero w 1636 r., a więc już po ukończeniu kościoła św. Anny, Sapieha udał się w drugą podróż do Rzymu. Tym razem jako pokutnik proszący o zmiłowanie. Nie bez znaczenia było to, że ujął się za nim nuncjusz papieski Visconti. Bohater był też zaangażowany w działalność polityczną wymierzoną w dysydentów litewskich. Na przykład sprzeciwiał się małżeństwu króla Władysława IV z luteranką – siostrzenicą Karola I Stuarta – Elżbietą. Ostatecznie przebaczenie uzyskał – papież zdjął z niego ekskomunikę, darował też wykradziony z Rzymu obraz. Od tej chwili Matka Boska Gregoriańska spoczęła – wreszcie oficjalnie – w kościele św. Anny, w poświęconej jej kaplicy. Już wcześniej, podczas pierwszej pielgrzymki, Mikołaj Sapieha złożył w kościele liczne wota. Za drugim razem przywiózł z Rzymu wiele relikwii, wśród których wyróżniała się czaszka św. Feliksa – papieża i męczennika z III w.

Historia wykradzenia obrazu przez Sapiehę wydaje się niezwykła, niestety nie wiadomo, czy jest prawdziwa. Pierwszy raz bowiem przedstawiono ją na tablicach ufundowanych przez Władysława Sapiehę w 1690 r. Kradzież została szczegółowo opisana w „Historii przezacnego obrazu kodeńskiego", którą napisał i wydał w 1720 r. Jan Fryderyk Sapieha. W 1723 r. autor doprowadził do papieskiej koronacji obrazu Matki Boskiej Kodeńskiej. Jak nietrudno zatem się domyślić, żywo zainteresowany był w stworzeniu cudownej legendy świętego malowidła. Niestety, poza źródłami polskimi i pochodzącymi od Sapiehów nie zachowały się żadne wzmianki w kronikach czy przekazach włoskich. Dlatego historycy uważają dziś, że święty obraz został po prostu kupiony przez Mikołaja Sapiehę – być może w czasie pielgrzymki wcale nie do Rzymu, ale do… Hiszpanii. Jak było naprawdę – wiedzieli jednak tylko Mikołaj Sapieha i… Matka Boska Kodeńska. ©℗

eprasa.pl cfc5ba4834

KOCIOŁEK ZAMIAST GRILLA
POLECA JUSTYNA ŻYŁA

Duszonki z kociołka to moje smaki z dzieciństwa, cały czas przygotowuję je według starej, rodzinnej receptury. Żeliwny kociołek może być doskonałą alternatywą dla grilla. Z pewnością zaskoczymy naszych gości nie tylko formą przygotowania, lecz także smakiem potrawy z kociołka. Przygotowując potrawy w zamkniętym kociołku, musimy uważać, by ich nie przypalić. Ważne jest zatem, aby dokładnie wysmarować wnętrze kociołka smalcem i zabezpieczyć przed przypaleniem boczkiem oraz liśćmi kapusty.

Składniki:

- 30 dag smalcu
- skóra z boczku
- 1 główka kapusty
- 0,5 kg kiełbasy
- 1 kg nogi z kurczaka
- 300 gr boczku
- 2 cebule
- 2 kg małych ziemniaków

Przygotowanie:

Kociołek smarujemy smalcem, a na spód dajemy skórę z boczku. Następnie obkładamy boki garnka kapustą, aby składniki nie przywarły do kociołka. Wszystko układamy warstwowo: kapusta, mięso z kurczaka, kiełbasa, boczek, ziemniaki, cebula i tak na przemian aż do zapełnienia garnka. Kończymy ziemniakami, a na samą górę także kładziemy liście kapusty. Następnie podlewamy składniki ok. 0,5 l wody i zamykamy kociołek, zostawiając nasze duszonki na ok. 1,5–2 godz. na palenisku, bez zaglądania czy mieszania. Po tym czasie ściągamy duszonki z ogniska i mamy gotowe pyszne polowe danie. ***oprac. raw***

Justyna Żyła jest blogerką i vlogerką kulinarną.

FOT. YOUTUBE/UWAŻYŁA

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sok? Tak, ale z umiarem

O Piramidzie Zdrowego Żywienia trąbią media i plakaty na ulicach. Pięć porcji warzyw i owoców dziennie... Warzywa i ruch, pieczywo z pełnego przemiału, kasze, owoce, mało soli i cukru itd. Jedzmy zatem owoce i pijmy soki. Uwierzyliśmy, że sok pomarańczowy i smoothie czynią cuda. Mamy modę na „juicing". Nie masz czasu na owoc, wypijasz sok w przekonaniu, że to wystarczy. Czy na pewno?

FOT. FOTOLIA

Niekoniecznie. O ile owoc zawiera witaminy, minerały, fruktozę i włókno, o tyle zamieniony w sok traci większość tych odżywczych składników. – Największą stratą są jednak włókna niezbędne do prawidłowego funkcjonowania tranzytu jelitowego, przyczyniające się do odporności i obniżające poziom cholesterolu. Włókna zawierają również polifenole – antyoksydanty regulujące system kardiowaskularny – oraz karotenoidy – również antyoksydanty – mówi dziennikowi „Le Figaro" dr Philippe Pouillart, badacz z Institut Polytechnique UniLaSalle w Beauvais pod Paryżem.

– W szklance zostają zatem woda, sporo cukru, kilka witamin i minerałów. Jednak te dwa ostatnie pod wpływem powietrza natychmiast się utleniają, więc jeśli nie wypije się soku natychmiast po zrobieniu, to zostaje tylko cukier – dodaje dr Pouillart.

Mało tego. Wbrew temu, co się myśli, szklanka owocu nie jest równoważna z jednym owocem. Aby zrobić od 80 do 100 ml soku, potrzeba dwóch pomarańcz. Do gotowego soku – aż pięciu. Pijąc sok z supermarketu, pijemy głównie fruktozę, czyli cukier. Oczywiście organizm potrzebuje cukru, naturalnego paliwa. Ale czy aż tyle? Wszystko ponad 25 g jest magazynowane jako tłuszcz.

Co więcej – ani soku, ani smoothie nie musimy gryźć ani przeżuwać. – A te czynności pozytywnie wpływają na trawienie i obniżają indeks glikemiczny (poziom cukru we krwi) – wyjaśnia dr Pouillart. Zresztą sok sokowi nierówny. Jeśli mamy do czynienia z wyrobem przemysłowym, to sprawdzajmy, czy jest to czysty sok, bez dodatku cukru, czy też napój z koncentratu. Najmniej wartości, mimo zachęcającej nazwy, ma nektar – jest dosładzany, a często sztucznie zagęszczany. O farbowanych na niebiesko, zielono, pomarańczowo napojach nie wspominajmy.

Niedawno Instytut Żywności i Żywienia rozesłał do prasy zalecenie firmowane przez naukowców. Jest w nim mowa o warzywach, ruchu, również o sokach: „[...] u podstaw Piramidy znalazły się owoce i warzywa, które częściowo można zastąpić sokami [...]. Nawadniają, są bogate w mikroelementy i witaminy, urozmaicają jadłospis". Nic, tylko uczynić je głównym składnikiem menu.

Może czas przeformułować zalecenia? ©℗

eprasa.pl cfc5ba4834

NASZ TEST: SEAT IBIZA FR

Ibiza w wersji FR to jeden z fajniejszych małych, pięciodrzwiowych miejskich samochodów. Urzekają agresywna stylistyka nadwozia, pełne światła LED i ciekawy wzór felg. Auto daje również sporo frajdy z jazdy. Niestety, w wersji ze 150-konnym silnikiem Ibiza FR dużo też kosztuje.

W KABINIE

Wnętrze jest przestronne, ale wykończenie standardowej Ibizy to nuda. W usportowionej wersji jest ciekawiej – czerwone przeszycia i usportowione fotele. Spasowanie elementów jest jak najbardziej poprawne, ale jakość plastików nie zachwyca. Nie najlepszy jest również system nagłośnienia.

Na pochwałę zasługują za to intuicyjny w obsłudze system multimedialny, wyraźny, dotykowy wyświetlacz, a także półka na telefon (z ładowaniem indukcyjnym). Hiszpański maluch jest również całkiem praktyczny. Na tylnej kanapie może usiąść dwóch dorosłych pasażerów, a i tak kufer ma pojemność 355 l. Jak na autko z segmentu B to bardzo dobry wynik.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JAZDA

Testowany egzemplarz miał pod maską 1,5-litrowy silnik TSI Evo o mocy 150 KM. To w zupełności wystarczy, aby mierząca 4 m długości Ibiza od zera do pierwszej setki przyspieszała w 7,9 s. Wprawdzie nie ma co liczyć na efekt wpychania w fotel, ale auto chętnie i sprawnie reaguje na nogę mocniej wciskającą pedał gazu. Tym samym wywołuje lekki uśmiech na twarzy kierowcy, choć warto pamiętać, że nie jest to typowy demon prędkości.

Na pochwałę zasługują precyzyjny układ kierowniczy oraz dopracowana ręczna skrzynia biegów. Aby jeździło się jeszcze przyjemniej, zawieszenie w wersji FR jest obniżone o 15 mm, a amortyzatory są sztywniejsze niż w standardowej Ibizie, dzięki czemu auto świetnie sprawdza się w żwawym pokonywaniu krętych szos.

Prędkość maksymalna wynosi 215 km/godz. Żeby ją osiągnąć, trzeba by jednak założyć zatyczki do uszu. Już przy 180 km/godz. w kabinie robi się bowiem zbyt głośno, aby móc swobodnie rozmawiać. Przy dozwolonych w Polsce prędkościach autem podróżuje się przyjemnie i wygodnie, choć do doskonałego wyciszenia kabiny VW Golfa jest wciąż bardzo daleko.

Według producenta auto spala średnio 4,9 l/100 km. W naszym teście średnie spalanie w cyklu mieszanym wyniosło 6,1 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Seat Ibiza zdobył komplet pięciu gwiazdek, uzyskując 95 proc. punktów za ochronę dorosłego pasażera. Gorzej wypadł w kategorii ochrony podróżujących samochodem dzieci (tylko 77 proc. punktów) oraz pieszych (76 proc. punktów).

Nawet w najtańszej wersji auto jest wyposażone w system kontroli odstępu za pojazdem poprzedzającym z funkcją awaryjnego hamowania. Opcjonalnie dostępny jest też aktywny tempomat.

CENA

Za najtańszą Ibizę z silnikiem 1.0 o mocy 65 KM, manualną, pięciobiegową skrzynią biegów i najbardziej podstawowym wyposażeniem Seat żąda 44,9 tys. zł.

Ibiza w wersji FR to wydatek co najmniej 62,2 tys. zł – wówczas auto ma jednak jednolitrowy silniczek o mocy 95 KM, więc literki „FR" będą pasjonować tylko do momentu, gdy przekręcimy kluczyk. Za Ibizę o mocy 150 KM, generowanej przez 1,5-litrowy silnik benzynowy, trzeba zapłacić 70 tys. zł. A to nie koniec wydatków. Za aktywny tempomat z systemem wykrywania zmęczenia kierowcy Seat żąda dodatkowo 920 zł, nawet w najdroższej wersji FR. A jeśli chcielibyśmy mieć kamerę cofania z czujnikami parkowania, to musimy dołożyć kolejne ponad 2,3 tys. zł.

KONKURENCI

Citroën C3, Ford Fiesta, Opel Corsa, Peugeot 208, Renault Clio, Seat Leon, Skoda Fabia, Toyota Yaris, VW Polo ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl cfc5ba4834

TEST „DO RZECZY": PANASONIC DC-GX9MGF

Kompaktowy design, dobry system stabilizacji obrazu oraz możliwość nagrywania filmów w 4K i robienia zdjęć w 4K – to największe zalety ważącego zaledwie 450 g aparatu Panasonica.

Niewielka waga i niewielkie rozmiary (124 x 72,1 x 46,8 mm) sprawiają, że modelem tym mogą zainteresować się osoby, które szukają kompaktowego sprzętu do robienia zdjęć i filmów podczas podróży. Fotografowanie ułatwia odchylany wizjer o rozdzielczości 2,76 mln punktów oraz 3-calowy oraz odchylany dotykowy wyświetlacz LCD o rozdzielczości 1,24 mln punktów. Taka rozdzielczość zapewnia już obraz wysokiej jakości. Panasonic powinien jednak jeszcze popracować nad powłokami antyodblaskowymi ekranu LCD, bo korzystanie z niego w ostrym sierpniowym słońcu nie było najprzyjemniejszym zadaniem.

Intuicyjną obsługę aparatu zapewniają ergonomiczne pokrętła do regulacji oraz wystarczająca liczba przycisków funkcyjnych. Istotnym minusem jest z kolei brak wystarczających uszczelnień obudowy, przez co trzeba uważać zarówno na deszcz, jak i na kurz czy pył.

Japończycy zainstalowali w tym modelu matrycę Live MOS wykonaną w systemie Mikro 4/3 o efektywnej rozdzielczości 20,3 Mpix bez filtra dolnoprzepustowego. Obraz na fotografiach i klipach wideo jest ostry. Do czułości ISO 3200 detali jest dużo, a szumów niewiele. Model ten można też pochwalić za ładne odwzorowanie kolorów.

Filmy w rozdzielczości 4K robią wrażenie. Funkcja 4K Photo pozwala z kolei na nagranie wideo z prędkością 30 klatek na sekundę, a następnie wyodrębnienie dowolnej klatki w formie obrazu wysokiej rozdzielczości. Bardzo fajne są też nowe efekty, a zwłaszcza L.Monochrome D (zapewnia ciemniejsze tony oraz większy kontrast przy czarno-białych fotografiach). Aparat może też rejestrować zdjęcia w formacie RAW.

Podczas kręcenia filmów przydaje się też system podwójnej stabilizacji obrazu. Ułatwia on też robienie zdjęć – sprawia bowiem, że nie zawsze trzeba targać ze sobą statyw. Szkoda jednak, że niezależnie od pojemności karty pamięci pojedynczy klip MP4 w trybach 4K, FHD oraz HD może mieć maksymalnie 29 minut i 59 sekund.

Autofokus przy robieniu zdjęć błyskawicznie ustawia ostrość. Przy nagrywaniu wideo przy dobrym oświetleniu do szybkości ustawiania ostrości również nie można mieć większych zastrzeżeń. Zaobserwowałem jednak problem z właściwym śledzeniem filmowanego obiektu przy słabszym oświetleniu.

Wbudowane wi-fi pozwala na przesyłanie zdjęć i plików wideo do tabletu czy smartfona, co ułatwia błyskawiczne chwalenie się najlepszymi ujęciami w serwisach społecznościowych. Panasonic DC-GX9M można też połączyć z drukarką wyposażoną w moduł wi-fi i szybko wydrukować wybrane fotografie. Wyjście micro HDMI ułatwia zaś przeglądanie zdjęć i odtwarzanie plików wideo na telewizorze.

Cena: 3995 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

ZATAŃCZ ZE MNĄ...

Chcesz zobaczyć uśmiech swojego dziecka, a jednocześnie sprawić, że na chwilę zainteresuje się czymś innym niż absorbowaniem rodziców? Albo sprawić przyjemność swojej partnerce na przyszłoroczny Dzień Kobiet? Może warto pomyśleć w takim razie o Dancebocie, czyli – jak sama nazwa wskazuje – tańczącym, zabawnym robocie. Brzmi zagadkowo? Nic bardziej mylnego. Dancebot to bowiem nic innego jak miniaturowy robot, stylizowany na sympatycznego blaszaka znanego z kreskówek dla dzieci, który tańczy, kiedy słyszy muzykę, człowieka śpiewającego piosenkę lub... dźwięk odtwarzanej wiadomości głosowej.

„Inteligentny" tancerz nie wykonuje zawsze tych samych ruchów, ale uczy się rozpoznawać dźwięk i kombinuje z własnymi „układami tanecznymi". Jak działa? Jego inteligentny algorytm pozwala przetwarzać każdy dźwięk i przekładać go na ekspresyjne ruchy.

Urządzenie wprawiane jest w ruch przez dwa silniczki umieszczone w nogach robota. Każdy z nich obraca się o 360 stopni, co pozwala Dancebotowi na swobodny ruch. Za dodatkową opłatą można też zażyczyć sobie umieszczenia w nim specjalnej romantycznej wiadomości, np. „Najdroższa, czy ugotowałaś już zupę?", która odtwarzana będzie za każdym razem, gdy robot zacznie tańczyć.

Zamawiać można go na Kickstarterze w cenie ok. 200 zł za najprostszy model. Wspomnę tylko, że konstruktorzy Dancebota zebrali niezbędną do uruchomienia produkcji kwotę w ciągu... dwóch godzin od umieszczenia informacji na portalu.

COŚ NA PLECY

A w zasadzie na ból pleców. Tak, tak, dokładnie to uczucie, które masz po całym dniu siedzenia przy biurku i stukania w klawiaturę. Coś na ból pleców nazywa się Plexus Wheel Plus i przypomina połączenie opony z masażerem. Producenci urządzenia przekonują, że ból pleców i kręgosłupa ustępuje zaledwie po pięciu minutach ćwiczenia na urządzeniu i chwalą się ponad 100 tys. klientów. Cała sztuczka polega na podłożeniu pod plecy (w pozycji leżącej) koła pokrytego matą pełną wypustek, delikatnych wrąbków oddziaływających na bolące partie pleców i przesuwaniu koła pod korpusem właśnie za pomocą ruchów ciała. Plexus masuje, rozgniatając „kłębki" bólu, co przynosi ulgę.

Za urządzenie trzeba zapłacić ok. 200 zł. Zamawiając na Indiegogo, trzeba czekać do października na dostawę. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cfc5ba4834

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Rząd musi być gotowy

MARCIN MAKOWSKI: Ptaszki ćwierkają, że coś ważnego wydarzy się w okolicy poniedziałku w Warszawie. Konferencje, organizacje międzynarodowe, potępienie „ataku na państwo prawa"...

MATTHEW TYRMAND: Jeśli tak ćwierkają, to są dobrze poinformowane (śmiech). Faktycznie, Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) organizuje we wrześniu jedną ze swoich najważniejszych konferencji w Polsce – Human Dimension Implementation Meeting (HDIMs), której tematyka dotyczy praw człowieka, wolności mediów i wyborów. To naprawdę duża organizacja, z ogromnym budżetem i liczbą członków większą od NATO – dodatkowo mocno powiązana z Departamentem Stanu USA. Według moich źródeł tematem tegorocznego spotkania w Warszawie nie będą jednak prawa człowieka jako takie, ale reforma wymiaru sprawiedliwości dokonana przez rząd, ze szczególnym uwzględnieniem procesu wyboru członków Sądu Najwyższego. Właśnie wtedy Międzynarodowe Stowarzyszenie Prawników (International Bar Association – IBA) zamierza zaapelować do OBWE o objęcie sankcjami polskiego rządu za łamanie praworządności i niezależności sędziowskiej, jako ciągu przyczynowo-skutkowego, który doprowadzi do łamania praw człowieka. Cała akcja będzie dodatkowo wzmocniona poprzez nagłośnienie jej za pomocą licznych związanych z IBA organizacji pozarządowych na świecie.

Co można w takiej sytuacji zrobić? Trudno chyba dyskutować z kimś, kto przyjeżdża z gotową agendą spotkania.

Jeśli polski rząd ma jakiekolwiek rozeznanie w temacie, to nie zostawi tej dyskusji bez odpowiedzi, tylko zabierze głos i odpowie przygotowanymi wcześniej argumentami. Ministerstwo Spraw Zagranicznych tradycyjnie uczestniczy w obradach, dlatego nie będzie się można wymigać nieobecnością. Obawiam się jednak, że to niczego nie zmieni, ponieważ pod rządami Jacka Czaputowicza MSZ unika konfrontacji ideowej i twardej obrony stanowiska prezentowanego przez rząd, jak robi to choćby premier Mateusz Morawiecki na forum międzynarodowym. Już teraz, sprawdzając listę afiliowanych organizacji i gości, nietrudno przewidzieć, że Polsce dostanie się z każdej strony – od cenzury mediów do sądów. A wszystko z ust przedstawicieli elit akademickich i wyznawców marksizmu kulturowego, dla których cała reszta stanowi pretekst do uderzenia w „prawicowy reżim". Z tego, co wiem, podniesiona zostanie również kwestia „antyimigranckości" PiS i niechęci wobec arabskich uchodźców. Trudno mi sobie wyobrazić ministra Czaputowicza, który stawia w tym zakresie sprawy jasno, szczególnie że polskie przedstawicielstwo przy Radzie Bezpieczeństwa ONZ w osobie Joanny Wroneckiej prezentuje raczej proarabskie stanowisko. Wezwała ona przecież do minuty ciszy w intencji protestujących (a de facto bojowników Hamasu), którzy szturmowali izraelskie granice po przeniesieniu ambasady USA do Izraela.

Mam wrażenie, że trochę przesadzasz. Czym ta konferencja ma się różnić od dziesiątek podobnych?

Problem jest jeszcze szerszy, ponieważ na spotkaniu organizacyjnym poprzedzającym konferencję otwarcie poruszono temat nowej ambasador USA w Polsce – Georgette Mosbacher – która złożyła właśnie listy uwierzytelniające u prezydenta Dudy i oficjalnie rozpoczęła swoje urzędowanie. Ludzie powiązani z Departamentem Stanu oraz lewicowymi NGO-sami chcą wywrzeć na niej presję, aby zabrała głos w sprawie polskiego wymiaru sprawiedliwości. Obawiam się, że ten plan może się udać, choćby ze względu na brak dyplomatycznego obycia Mosbacher, która z biznesu wkracza na bardzo trudny politycznie teren, gdzie będzie poddawana nieustannym naciskom. Mam nadzieję, że nowa ambasador nie ulegnie i z czasem wypracuje sobie przestrzeń niezależności. Ja ze swojej strony poinformowałem o możliwym zagrożeniu kogo trzeba w kręgach rządowych, teraz piłka należy do nich. Skoro chcieli grać ostro, to muszą teraz umieć się bronić. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl cfc5ba4834

OKIEM JASTRZĘBIA

Czy liść może skłaniać do refleksji?

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Ech, taka ta miłość była amerykańska, taka wielka (w końcu koszykarz i aktorka), chyba wszystko przez tę różnicę wzrostu, ale zacznijmy od policzka, i to bynajmniej nie od buziaka!

Zajmuje mnie, proszę państwa, kwestia „policzkowa" czysto teoretycznie. Otóż proszę zauważyć, że ludzie, którzy uważają, iż można dawać dzieciom klapsa w celach wychowawczo-edukacyjnych, uważają zarazem, że nie można w takich właśnie celach spoliczkować Rudej. Ciekawe, prawda? Moim zdaniem to jednak kompletnie niekonsekwentne. Ja tu nie biorę niczyjej strony. Wcale nie twierdzę, że wywrzaskująca pani Ruda powinna być w policzek trafiona. Brzydzę się przemocą. Niemniej jednak, czysto teoretycznie oczywiście, jeśli klaps ma dziecko czegoś nauczyć, skłonić do refleksji nad naturą świata tego i hierarchią interesów innych osobników, to dlaczego plaskacz, zwany też liściem, ma nie nieść ze sobą podobnych efektów wychowawczych? Krótko mówiąc: Czy plaskacz może być pożyteczny w świecie dorosłych?

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tutaj chyba należy się niektórym kilka zdań wyjaśnienia. Pani Ruda (pod takim pseudonimem jest powszechnie znana) jest w opozycji. Ma lat tyle, że nie wypada pisać ile, ma w sobie trochę nadwagi i wiele mocy. Biega za Patrykiem Jakim, zakłócając jego wystąpienia, pokazuje policji „fucka", popycha staruszków i krzyczy: „Konstytucja!". Wszystko to jest udokumentowane, nagrane w Internecie i wyświetlone. Wiele z tych rzeczy absolutnie wolno pani Rudej robić, bo na tym właśnie polega demokracja, choć – przyznajmy szczerze – posiadaczka płomiennej czupryny jest przez swoją wolność nieco uciążliwa dla otoczenia. Może być uciążliwa. Jej prawo. Więc ta pani – kontynuując wyjaśnienia – została przez inną panią, z PiS, spoliczkowana publicznie. I przez to – ja tu będę do bólu szczery – wyszlachetniała. Tak, tak, wyszlachetniała przez plaskacza. Z drącego się i miotającego szalonego zjawiska stała się bowiem ofiarą. Ofiarą przemocy politycznej. Uspokoiła się i jakby nabrała godności (no, może tu przesadziłem z tą godnością). Udzieliła wywiadów, w których nie pokazywała „fucka", nie krzyczała ani nikogo nie popychała. Można? Czy zwolennicy rozszerzonego dawania klapsów dzieciom nie powinni tu triumfować i mówić: „Proszę, działa?". Tak, tu państwa z tym pytaniem zostawię...

No dobra, chyba już państwo wiedzą, że zajmuje mnie wielce sport i zjawisko kultury popularnej. Na pewno zajmuje mnie kariera naszego wspaniałego koszykarza Marcina Gortata (ŁKS, ale teraz gra trochę w USA). I co ostatnio chciałem przeczytać o jego dokonaniach, to dowiadywałem się np., że mama Bachledy-Curuś uważa, iż Marcin jest OK. Krótko mówiąc, że miłość Marcina i Alicji zaszła daleko, daleko, daleko i że nawet były spekulacje o ślubie. Jeśli chodzi o grę aktorską Bachledy-Curuś, to bardzo lubię Colina Farrella, ale to na osobny temat. Tutaj jeszcze się podzielę taką dygresją, że gdy o nich myślałem, znaczy o tej pięknej miłości Marcina i Alicji, to przychodziło mi do głowy, że Marcin ma wzrostu 2 metry i 11 centymetrów, a Alicja ma tego wzrostu 1 metr i 68 centymetrów. Więc jak oni razem tańczą? Serio, chodziło mi o taniec. Co? Weź! I teraz się dowiedziałem, co mnie przybiło, że oni mają różnicę charakterów i musieli się rozstać. Ech... Nie znam żadnej szczęśliwej w miłości pary, która nie miałaby różnicy charakterów. Widocznie więc to ta różnica wzrostu w tym tańcu. Co? Weź! ©℗

eprasa.pl cfc5ba4834

KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Na tropie spisku

JOANNA SCHMIDT (Nowoczesna): Mówimy o kolejnej ustawie, która stanowić będzie jedynie pozór działań. Nie zwiększy naszego poczucia bezpieczeństwa. Moje ani państwa dzieci nie będą dzięki tej ustawie bezpieczniejsze, a ja sama, wraz z milionami matek, mogę co najwyżej żyć w jeszcze większym lęku. Rejestr ogólnodostępny to jest zły pomysł. Co bowiem ma mi dać informacja, że w moim sąsiedztwie mieszka pedofil? Co mogę z taką informacją zrobić?

MICHAŁ SZCZERBA (Platforma Obywatelska): W naszej opinii szeroki zakres informacji przekazywanych w ramach tzw. rejestru publicznego może powodować stygmatyzację osób skazanych, także po wykonaniu orzeczonej kary, zwłaszcza że w niektórych przypadkach będzie zachodziła możliwość zatarcia skazania. Projektodawca nie uwzględnił wysokiego poziomu społecznej stygmatyzacji sprawców przestępstw na tle seksualnym, który może prowadzić do retorsyjnych i często niebezpiecznych zachowań innych osób względem tych sprawców.

To tylko dwa opozycyjne głosy z parlamentarnych prac nad ustawą wprowadzającą tzw. rejestr pedofilów. Gdyby to zależało od Koalicji Obywatelskiej, ustawa nie zostałaby uchwalona, bo – zdaniem jej krytyków – po pierwsze wcale nie chroni dzieci, a po drugie jest niebezpieczna dla sprawców, stanowi bowiem „istotną ingerencję w sferę ich konstytucyjnie chronionych praw". W toku prac nad ustawą opozycji nie podobał się w niej nie tylko sam rejestr pedofilów, lecz także publikowanie w Internecie mapy miejsc szczególnie niebezpiecznych. „Przecież żaden przestępca mający dostęp on-line do tej mapy nie będzie grasował w tych miejscach. Opublikowanie mapy on-line spowoduje wręcz wzrost poczucia zagrożenia na tych obszarach, które mapa uzna za niebezpieczne" – argumentował poseł Mirosław Suchoń, określając sam pomysł publikowania mapy zagrożeń jako „dyskwalifikujący". Ostatecznie opozycji nie udało się storpedować pomysłów rządu, więc w głosowaniu nad ustawą wstrzymała się od głosu. Gdyby miała większość, projekt by po prostu przepadł i dzieci nadal chroniłaby tylko masowa przymusowa kastracja pedofilów wprowadzona przez rząd Donalda Tuska. Oh, wait…

Dzisiaj obie partie, które dwa lata temu tak bardzo opierały się wprowadzeniu rejestru pedofilów, dla odmiany awanturują się, że w efekcie jakiegoś spisku nie są w nim umieszczani księża. Rozumiem, że argumenty o tym, iż rejestr nie ma znaczenia dla bezpieczeństwa dzieci, a sprawców powinno się chronić przed linczem, są już nieaktualne? Nie muszę dodawać, że na razie nikt z nich nie przedstawił żadnych dowodów na „wyjmowanie" księży spod działania ustawy, choć przecież ujawnienie i udowodnienie takiego spisku raczej zakończyłoby karierę Ziobry i Jakiego. Nie o fakty jednak, a na pewno nie o dobro dzieci chodzi. Środowiska antykościelne, licznie reprezentowane w Nowoczesnej, próbują zaistnieć na fali powszechnego – i słusznego! – oburzenia skandalami pedofilskimi w Kościele i podpiąć pod te skandale partię rządzącą. Ciekawe, kiedy zauważą, że dużą część odpowiedzialności za bezkarność sprawców ponoszą niezawisłe sądy. Takie jak ten, który pedofila z Tylawy skazał na dwa lata w zawieszeniu. Wyjątkowo łagodne orzecznictwo w sprawach o przestępstwa seksualne jest realnym problemem, ciekawe, dlaczego mniej zajmuje opozycję niż wyimaginowany spisek chroniący księży przed rejestrem. ©℗

PODSŁUCHANE

Nie jestem Beatą

Ja już nie mogę, Joachim. Ja chcę do gabinetu, do banku.
Przestań się mazać, Mateusz. Popatrz na Beatę. Ona może jednego dnia zrobić 10 spotkań, a na tym 10. wciąż będzie serdeczna, opiekuńcza i przez godzinę będzie sobie robić zdjęcia z wdzięcznymi wyborcami. A potem jeszcze podejdzie porozmawiać z KOD-owcami.
Ale ja nie jestem Beatą!
To już wszyscy wiemy.
Każdy ma jakiś talent…
Ty na przykład do zachwalania kredytów walutowych.
Daj spokój, nikt wtedy nie myślał…
Dobra, dobra.
Wszystko jedno. Ale ja się trzymam ostatkiem sił! Ostatnio mi zadeptali nowiutkie buty Edward Green, pięć tysięcy para. Koszulę mi poplamili, od Armaniego, tysiąc złotych. I jeszcze wciąż muszę mówić, jak jest wspaniale…
Bo jest.
Ja wiem, ale ja mogę to pokazywać na pałerpoincie albo w ekselu, w jakichś przyzwoitych warunkach, a nie tu w upale…
Sam chciałeś. Nikt ci nie obiecywał, że będzie łatwo.
Ale ja muszę mieć warunki do odpoczynku. W Kapeerem robią mi już takie miejsce.
Jakie?
Imitację salki zebrań w banku. Może wpadniesz w tym tygodniu? Będę pokazywał w pałerpoincie, jak nam rośnie PKB. Wiesz, jak ja się wtedy relaksuję? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Co rano budzę się i zastanawiam, co mi jest. A, to Polska".

KRYSTYNA JANDA, *aktorka w wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej"*

eprasa.pl cfc5ba4834

Nihilizm

fot. Jerzy Gumowski

Najpierw przyjrzyjmy się tytułowi felietonu, bo niekoniecznie wszyscy wiedzą co ten wyraz oznacza. Termin ów — odkąd ponad dwieście lat temu wprowadził go niemiecki filozof Friedrich Heinrich Jacobi — przechodził w XIX wieku ewolucję znaczeniową, a rozpowszechniony został za sprawą twórczości literackiej dwóch Rosjan, Turgieniewa i Dostojewskiego. Dzisiejsze znaczenie etyczne (ściślej: kontr–etyczne) wywodzi się z amoralizmu (czyli z kwestionowania/negowania wszelkich obowiązujących zakazów tudzież norm moralnych) oraz z anarchizmu. Jest więc nihilizm brutalną/chamską/drapieżną wersją relatywizowania tradycyjnych wartości, zwłaszcza tych, na których opiera się elementarna przyzwoitość. Głównie etycznych i estetycznych. Stąd definicja nihilisty brzmi tak: *„Skrajny anarchista, dążący do obalenia istniejącego lub ośmieszenia minionego porządku społecznego, kulturowego, religijnego, moralnego”*. Gdyby ktoś chciał wszystko to, co eksplikowałem wyżej, objaśnić w radykalnie lapidarniejszy sposób — mógłby ograniczyć się do stwierdzenia, że czasownik *„nihilować”* znaczy: unicestwiać, albo mógłby jednozdaniowo wskazać tożsamość nihilizmu i anarchizmu.

Alibi nihilistów nazywa się: wolność. Oni chcą zrywać pęta krępujące ekstremalną wolność. I robią to przekraczając wszelkie granice, depcząc każde tabu, czym redukują wolność *„ad absurdum”*, produkując jej przeciwieństwo. Nicolás Gómez Dávila słusznie zauważał w 1986 roku: *„Wolność, jako najwyższy ideał, jest pierwszym krokiem ku ostatecznemu nihilizmowi”* (tłumaczenie Krzysztofa Urbanka). Dziwne, że nie rozumieli i nie rozumieją tego renomowani *„ludzie pióra”*, exemplum Jarosław Marek Rymkiewicz (który lansuje zbrodniczy anarchizm hagiografując Samuela Zborowskiego jako anioła wolności) czy Witold Gombrowicz (który radośnie depcze i obsikuje wszystko co święte i szacowne). Nigdy szczególnie nie przepadałem za Gombrowiczem, gdyż ten stale nadęty/napuszony pedał był według mnie lepszym bufonem niż pisarzem. Jego wykrzykiwane serio samochwalby (*„ — Mickiewicz to przy mnie średniak!”*) zostały celnie obśmiane przez Gałczyńskiego:

„Wiodą mnie metafory i różne natchnienia,
Mickiewicz przy mnie mucha,
a Szekspir to szczeniak”.

Zaś jego relatywizm, hucpiarstwo i nawet maniera pisarska znajdowały ostrych krytyków wśród cenionych twórców, co może być ciekawym przyczynkiem do dzisiejszego chóru apologetów, który się rozśpiewał dytyrambicznie po niedawnej dwutomówce o Gombrowiczu. Nie cierpiał literatury Gombrowicza (jak również poezji Miłosza) świetny emigracyjny pisarz Andrzej Bobkowski — listy Bobkowskiego do Giedroyca oraz do Iwaszkiewicza są pod tym względem mordercze. Inny emigrant, Wit Tarnawski (poeta, publicysta, conradysta), wytykał Gombrowiczowi, że *„jego wezwanie do buntu przeciwko formie i dojrzałości wiedzie do anarchii i łatwizny, z której będą korzystać przede wszystkim miernoty”*, a Gombrowiczowskie pseudowolnościowe dezawuowanie tradycji równał z próbą powrotu na drzewo (*„Gdyby spełniły się marzenia autora «**Ferdydurki**», ludzkość byłaby dzisiaj małpim stadem”*). Według Tarnawskiego bratem Gombrowicza w nihilistycznym nadużywaniu wolności był Jean–Paul Sartre: *„Obaj uciekają od niewoli szkół w chaos, u którego krańca nie czeka wolność, tylko nicość, strach i nowa niewola”*.

∞

Poeta
Zbigniew Herbert
*w **„Rozmowie o pisaniu wierszy”**:*
„Kulturze najbardziej zagraża nihilizm”

∞

Nową niewolę (niemiecką, a trochę później sowiecką) przyniosły Polakom rok 1939 i 1945. Wtedy również objawili się rodzimi piewcy nihilizmu noszący duże nazwiska. Exemplum Tuwim. Wiosną 1943 roku pisał: *„Gdyby miało się okazać, że oficerów w Katyniu zamordowali Rosjanie, to wszystko, co pisałem o stosunkach polsko–rosyjskich, stanie się bełkotem idioty”*. Wkrótce się dowiedział, że Rosjanie, a mimo to bez żenady podjął ohydną kolaborację ze stalinizmem, mając pełną świadomość, że tym wspiera piekło. Taka postawa sama w sobie wyczerpywała znamiona nihilizmu, a Julian Tuwim praktykował go też swą twórczością propagandową, czymże bowiem innym jak nie nihilizmem kulturowym było wysławianie rymami tyranów i oprawców? Gdy w 1952 roku zmarł naczelny kulturowy politruk komunistycznej Polski, Jerzy Borejsza (Beniamin Goldberg), brat szefa ubeckich katów Jacka Różańskiego (Józefa Goldberga) — Tuwim łkał wazeliniarsko:

„Czerwieńszy on i piękniejszy
W swej dawnej i przyszłej sławie,
Niż wszystkie czerwone róże,
Których nie mogłem złożyć
Na trumnie komunisty Jerzego Borejszy,
Bo ich nie było w Warszawie”.

Czyż identycznym nihilizmem poetyckim, który Zbigniew Herbert uważał za największe zagrożenie dla kultury, nie były proleninowskie i propartyjne oraz antyreligijne wersy Wisławy Szymborskiej, a także teksty Jarosława M. Rymkiewicza sławiące ubeków? Dramaturg, scenarzysta i reżyser Artur Ilgner słusznie określił literatów tamtej (Bierutowskiej i Gomułkowskiej) doby PRL–u jako *„środowisko serwilistów, którzy dla sutych apanaży bez skrupułów gloryfikowali sowietyzm”* (2018), dodając, że literackimi decydentami było wtedy grono pederastów (Iwaszkiewicz, Andrzejewski, Stryjeński, Bereza i Mach). Prostalinowski serwilizm jako ewidentny nihilizm — taka analogia wydaje się w pełni uprawniona i mogłaby teraz znaleźć oponentów tylko wśród zapiekłych (ergo: całkiem debilowatych) salonowców. Trudniej byłoby bronić obecnie egzegezy, że swoistym nihilizmem jest pedalstwo (zwłaszcza pedalstwo terrorystyczne), chociaż moim zdaniem ma ona ręce i nogi bez dwóch zdań, bo smród homoekscesów jest równie dojmujący co odór lizusowskich rymów.

Dzisiaj, w III RP, kulturowy nihilizm lansują mniej rymotwórcy, bardziej natomiast plastycy (szerząca się sztuka bluźniercza i profanacyjna) tudzież ludzie teatru — pornorozwydrzeni reżyserzy i aktorzy. Wszelako jedni i drudzy nie mogliby uprawiać tego nihilizmu, gdyby nie mieli odbiorców, czyli fanów i widzów, podziwiaczy i oklaskiwaczy. Tymczasem mają publiczność, częstą pełną entuzjazmu, bo *„przeżartą wirusem nihilizmu”*, jak słusznie twierdzi teatrolog i krytyk Elżbieta Morawiec (2017).

Nieodparcie nasuwa się pytanie: dlaczego ta dzisiejsza publiczność jest *„przeżarta wirusem nihilizmu”*? Ano dlatego, że nihilizm zdobywa świat od lat (od co najmniej rewolty ’68) za sprawą *„postępaków”* (progresistów, pseudoawangardzistów, anarchistów, et consortes). Komentatorzy kulturowi, obyczajowi i polityczni widzą to w całej *„cywilizacji zachodniej”*, po obu stronach Atlantyku — tak w USA (Jacek Kornacki: *„Amerykańska nowa klasa wyższa przyjęła za swój język liberalizm i przyzwoliła na promocję etycznego nihilizmu”*, 2016), jak i w Europie (Marek Magierowski: *„Współczesny nihilizm Starego Kontynentu wytworzył pustkę, którą pewnie wypełnią barbarzyńcy”*, 2015). Lecz to nie oblegający są najbardziej winni, ale oblegani, bo tym, co proponują jedni oblegani i tolerują drudzy oblegani, jest autodestrukcja. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl cfc5ba4834

Przystąp do Programu VITAY i zacznij czerpać korzyści!

Zbieraj punkty za zakupy w e-sklepach partnerów, odbieraj prezenty z katalogu VITAY!

1. Wybierz produkty i sklep
2. Wejdź na vitay.pl i zaloguj się
3. Znajdź wybrany przez siebie sklep i przejdź do niego
4. Zrób zakupy
5. Zyskaj dodatkowe punkty VITAY

CLUB VITAY

Zasady przyznawania punktów VITAY za zakupy u partnerów oraz aktualną listę e-sklepów znajdziesz na vitay.pl

ORLEN

eprasa.pl cfc5ba4834